

*Najpiękniejsza i najbardziej wzruszająca powieść
ostatnich dziesięcioleci o bezgranicznej miłości.*
„Kirkus Reviews”

Sztuka Słyszenia Bicia Serca

JAN-PHILIPP SENDKER



Jan-Philipp Sendeker

Sztuka słyszenia bicia serca

The Art of Hearing Heartbeats

Przekład Irena Kołodziej

Opowieść obejmuje siedem dziesięcioleci, od lat 20. do 90. XX wieku, dwa kontynenty, dwie kultury, dwie filozofie życia, dwa systemy wartości.

Sławny nowojorski prawnik znika bez śladu w dzień po obronie dyplomu córki. Ani Julia ani jej matka nie rozumieją tajemniczego zaginięcia. Wszelkie próby poszukiwania prowadzą w ślepią uliczkę. Aż pewnego dnia po czterech latach Julia znajduje niewysłany list miłosny, jaki ojciec napisał przed czterdziestu laty do kobiety, o której nigdy nie słyszały.

Pragnąc rozwiązać zagadkę przeszłości ojca, Julia wyrusza do birmańskiej wioski, gdzie mieszkała adresatka listu. Tam usłyszy niewiarygodną opowieść o bezgranicznym zaufaniu i bezmiernym uczuciu – uczuciu bezwarunkowym.

Opowieść, która dowodzi, że miłość naprawdę może przenosić góry.



Część I

Rozdział 1

Najpierw uderzyły mnie jego oczy. Głęboko osadzone, patrzyły uparcie, jakby nie mógł ich ode mnie oderwać. Wszyscy w herbaciarni przyglądali mi się mniej lub bardziej jawnie, on jednak był najbardziej pozbawiony skrupułów. Tak jakbym była jakimś egzotycznym stworzeniem, którego nigdy dotąd nie oglądał. Nie umiałabym powiedzieć, ile ma lat. Twarz była poorana zmarszczkami; musiał mieć co najmniej sześćdziesiąt, może siedemdziesiąt. Miał na sobie białą koszulę, żółtkłą ze starości, zielone *longyi* i gumowe klapki japonki. Próbując go zignorować, rozejrzałam się po herbaciarni, drewnianej szopie z paroma stolikami i krzesłami stojącymi wprost na zakurzonej klepisku. Na jednej ze ścian wisały kartki ze starego kalendarza, fotografie młodych kobiet. Ich sięgające ziemi spódnice, długie rękawy, wysokie kołnierzyki i szczerze, poważne twarze przypominały mi tamte stare, z przełomu wieków, ręcznie barwione zdjęcia dziewcząt z szacownych rodzin, na które natrafiałam czasem na pchlim targu w Nowym Jorku. Pod przeciwległą ścianą oszklona gablota zachwalała ciasta i ryżowe ciasteczka, obsiadłe przez stada much. Obok, na gazowym palniku, gotowała się w zasmolonym czajniku woda na herbatę. W jednym z kątów stały drewniane skrzynki z pomarańczową oranżadą. Nigdy dotąd nie byłam w tak nędznej budzie.

Było gorąco jak w piekle. Pot ściekał mi po skroniach i karku. Dżinsy przylgnęły do ciała. Nagle stary wstał i podszedł do mnie.

— Tysiącrotnie przepraszam, młoda damo, że zwracam się do pani tak bez ceremonii — powiedział, siadając przy moim stoliku. — To bardzo niegrzecznie, wiem, zwłaszcza że się nie znamy, a w każdym razie pani nie zna mnie, choćby przelotnie. Nazywam się U Ba i wiele o pani słyszałem, choć przyznaję, że w żadnym razie nie usprawiedliwia to mego śmiałego zachowania. Domyślam się, jak niezręcznie musi się pani czuć: w dziwnym mieście, w dziwnym kraju podchodzi do pani w herbaciarni jakiś dziwny człowiek. Doskonale rozumiem pani sytuację,

chciałbym jednak — a raczej powinienem powiedzieć bardziej szczerze: muszę — zadać pani pewne pytanie. Tak długo czekałem na tę sposobność, że teraz, gdy pani tu jest, nie mogę siedzieć i patrzeć na panią w milczeniu.

Ściśle biorąc, czekałem cztery lata i wiele popołudni spędziłem, chodząc tam i z powrotem po zakurzonej głównej ulicy, gdzie autobus przywozi nielicznych turystów, którym zdarzyło się zabłąkać do naszego miasta. Od czasu do czasu, w te rzadkie dni, kiedy przylatuje samolot ze stolicy i kiedy mogłem sobie na to pozwolić, jeździłem na nasze niewielkie lotnisko, aby daremnie pani wypatrywać.

Dużo czasu to pani zajęło.

Nie, nie zamierzam robić pani wymówek. Proszę mnie źle nie zrozumieć. Jestem jednak starym człowiekiem i nie mam pojęcia, ile lat mi zostało. Ludzie w naszym kraju szybko się starzeją i wczesnie umierają. Kres mego życia jest coraz bliższy, a mam jeszcze do przekazania pewną historię. Historię przeznaczoną dla pani.

Uśmiecha się pani. Myśli pani, że coś ze mną nie tak, że jestem trochę zwariowany, a przynajmniej dość ekscentryczny? Ma pani rację. Ale proszę, proszę, niech się pani ode mnie nie odwraca. Może brzmi to dla pani dziwnie i zagadkowo, zgodzę się też, że mój wygląd nie może budzić pani zaufania. Chciałbym mieć pani lśniące białe zęby, a nie te brązowe pieńki, którymi trudno nawet gryźć, ruiny uśmiechu.

Moja skóra jest zwiędła i luźna, zwisa mi z ramion, jakby rozwieszono ją tam do wyschnięcia. Ludzie mówią, że mam nieświeży oddech, stopy są brudne i zniszczone — całe dziesięciolecia chodzę w tanich sandałach. Koszula, niegdyś biała, już dawno temu powinna była wylądować na śmietniku. Jestem człowiekiem pedantycznym, proszę mi wierzyć, ale widzi pani, w jakim stanie jest nasz kraj. W haniebnym. Wiem o tym doskonale, ale nie mogę tego zmienić, a od lat uczę się godzić z tym, czego zmienić nie mogę. Niech nie zwiedzie pani mój wygląd zewnętrzny. Proszę nie mylić mego stoicyzmu z obojętnością czy rezygnacją. Takie uczucia są ode mnie jak najdalsze, moja droga.

Ale zaczynam snuć dygresje, a widzę po pani oczach, że wystawiam na próbę pani cierpliwość. Proszę mieć dla mnie wyrozumiałość i nie odwracać się ode mnie. Nikt na panią nie czeka,

mam rację? Przyjechała pani sama, tak jak się spodziewałem. Niech mi pani podaruje parę minut swego czasu. Niech pani posiedzi ze mną jeszcze przez chwilę, Julio.

Jest pani zdumiona? Pani śliczne brązowe oczy zaokrąglają się i po raz pierwszy patrzy pani na mnie naprawdę. Jest pani wstrząśnięta. Zadaje sobie pani pytanie, skąd na Boga mogę znać pani imię, skoro nigdy dotąd się nie spotkaliśmy i jest to pani pierwsza wizyta w naszym kraju? Czy to przypadek? A może, zastanawia się pani, zobaczyłem gdzieś etykietkę z pani imieniem, na kurtce czy na chlebaku? Nie, nie widziałem, proszę mi wierzyć. Znam nie tylko pani imię, znam także dzień i godzinę pani narodzin. Wiem wszystko o małej Jule, która najbardziej na świecie lubiła, kiedy tatuś opowiadał jej bajki. Mogę także powiedzieć, jaka była ulubiona bajka na dobranoc małej Jule: baśń o księciu, księżniczce i krokodylu.

Julia Win. Urodzona dwudziestego ósmego sierpnia 1968 roku w Nowym Jorku. Matka Amerykanka, ojciec Birmańczyk. Pani nazwisko stanowi część mojej historii, część mego życia, odkąd pięćdziesiąt pięć lat temu wyszedłem z łona matki, a od czterech lat nie było ani jednego dnia, abym o pani nie pomyślał. Wszystko wyjaśnię we właściwym czasie, proszę jednak pozwolić, że najpierw zadam pytanie: czy wierzy pani w miłość?

Śmieje się pani. Jaka pani jest ładna. Mówię serio. Czy wierzy pani w miłość, Julio?

Oczywiście nie chodzi mi o te wybuchy namiętności, co to wyobrażamy sobie, że będą trwać do śmierci, co sprawiają, że robimy i mówimy rzeczy, których później żałujemy, każą nam błędnie myśleć, że nie potrafimy żyć bez danej osoby, wprawiają nas w drżenie na samą myśl, że moglibyśmy ją kiedykolwiek stracić... To uczucie raczej nas osłabia, niż wzbogaca, gdyż pragniemy osiąść to, czego osiąść się nie da, uchwycić się tego, czego uchwycić się nie sposób. Nie chodzi mi też o pożądanie cielesne ani o miłość siebie samego, tego pasożyta, co tak chętnie przybiera pozór miłości bezinteresownej.

Nie. Mówię o miłości, która przywraca wzrok niewidomemu. O miłości silniejszej niż strach. Mówię o miłości, która nadaje życiu sens, która opiera się naturalnym prawom regresji, sprawia, że rozkwitamy, o

miłości, która nie zna granic ni barier. Mówię o triumfie ludzkiego ducha nad egoizmem i śmiercią.

Kręci pani głowę? Nie wierzy pani w takie rzeczy? Nie wie pani, o czym mówię? Nie dziwię się. Ze mną było tak samo, dopóki nie spotkałem pani ojca. Chwilkę, proszę poczekać. Zrozumie pani, co mam na myśli, kiedy opowiem pani historię, którą od czterech lat noszę w sercu dla pani. Potrzebuję tylko odrobiny cierpliwości z pani strony. Późna już pora, a pani z pewnością jest zmęczona po długiej podróży. Jeśli chodzi o mnie, muszę oszczędzać siły. Mam nadzieję, że zrozumie pani, jeśli wstrzymam się teraz z opowieścią. O ile pani zechce, możemy się spotkać jutro o tej samej porze, przy tym stoliku w tej herbaciarni. Nawiasem mówiąc, jeśli wolno mi coś jeszcze dorzucić, tu właśnie spotkałem pani ojca, co więcej, siedział na tym samym stołku co pani i snuł swoją opowieść, a ja siedziałem tu gdzie teraz, zdumiony, muszę przyznać, niedowierzający, a nawet zbity z tropu. Nigdy dotąd nie słyszałem, żeby ktoś tak opowiadał. Czy słowa mogą rozwinąć skrzydła? Czy mogą polatywać w powietrzu niczym motyle? Czy mogą nas urzec, przenieść do innego świata? Czy mogą wprawić nas w drzenie, tak jak wstrząsają ziemią siły przyrody? Czy mogą otworzyć najbardziej sekretne zakątki naszych dusz? Nie wiem, czy potrafią to sprawić same słowa, ale w połączeniu z ludzkim głosem mogą, Julio, a pani ojciec miał tego dnia głos, jaki człowiek miewa chyba tylko raz w życiu. Nie tyle mówił, co śpiewał, a choć głos miał niski, nie było w tej herbaciarni ani jednego człowieka, którego nie wzruszyłoby do łez samo jego brzmienie. Zdania szybko przyjęły kształt opowieści, a z opowieści wyłoniło się życie, odsłaniając swą moc i magię. To, co usłyszałem tamtego dnia, sprawiło, że stałem się głęboko wierzący, tak jak pani ojciec.

— Nie jestem człowiekiem religijnym, U Ba, i miłość... miłość to jedyna siła, w jaką naprawdę wierzę. — To słowa pani ojca.

U Ba popatrzył na mnie i wstał. Przyłożył dłonie do piersi, skłonił się lekko i szybkim, zręcznym krokiem opuścił herbaciarnię.

Patrzyłam za nim, dopóki nie zniknął w ulicznym tłumie.

Nie, chciałam za nim zawołać, nie! Nie wierzę w żadną siłę, która

przywraca wzrok niewidomemu. Nie wierzę w cuda, i w magię też nie wierzę. Życie jest krótkie — za krótkie, by je trwonić na daremne nadzieje. Lepiej cieszyć się życiem, jakie jest, niż się łudzić. Czy wierzę w miłość? Co za pytanie! Tak jakby miłość była religią, bóstwem, w które człowiek może wierzyć lub nie. Kiedy miałam osiemnaście lat, marzyłam o księciu, który przybędzie, aby mnie uratować i wyzwolić, ale kiedy się pojawił, zapłaciłam gorzką cenę za wiedzę, że księżęta istnieją tylko w baśniach i że miłość oślepia. Nie, chciałam zawołać za staruszkiem, nie wierzę w żadną siłę potężniejszą niż strach. Nie wierzę w żaden triumf nad śmiercią. Nie. Nie!

Nie zawołałam. Siedziałam skulona na niskim stołku, wciąż mając w uszach jego głos. Był melodyjny, spokojny, podobny w swej uprzejmości do głosu mego ojca. Jego słowa dźwięczały mi w głowie jak niegasnące echo.

Proszę posiedzieć tu ze mną jeszcze przez chwilkę, Julio, Julio, Julio...

Czy wierzy pani w miłość, miłość, miłość...

Słowa pani ojca, ojca...

Głowa mnie bolała, byłam wyczerpana. Tak jakbym się przebudziła z koszmarnego snu. Wokół brzęczały muchy, przysiadając mi co chwila na włosach, czole, na rękach. Nie miałam siły, żeby je spędzić. Przede mną leżały trzy wyschłe ciastka, stół pokrywały lepkie drobiny brązowego cukru.

Spróbowałam łyknąć herbaty. Była już zimna, a mnie trzęsły się ręce. Ścisnęłam szklankę w dłoni, ale i tak mi się wysliznęła. Patrzyłam, niby w zwolnionym tempie, jak wysuwa mi się z ręki. Dźwięk roztrzaskanego szkła. Wytrzeszczone oczy innych gości. Tak jakbym przewróciła szafkę pełną naczyń. Dlaczego tak długo słuchałam tego nieznanego? Mogłam poprosić, żeby przestał. Powiedzieć mu jasno i wyraźnie, żeby zostawił mnie w spokoju. Mogłam się zabrać i pójść. Coś mnie jednak powstrzymywało. W chwili gdy już, już miałam się podnieść, powiedział: Julia, Julia Win. Nigdy bym nie sądziła, że dźwięk mojego imienia może mnie tak wytrącić z równowagi. Serce biło mi gwałtownie. Skąd on wie, jak mam na imię? Czy znał mojego ojca?

Kiedy go widział ostatni raz? Czy wie, gdzie ojciec może się ukrywać, czy w ogóle jeszcze żyje?

Rozdział 2

Kelner nie chciał ode mnie pieniędzy.

— Jest pani znajomą U Ba. Jego przyjaciele są naszymi gośćmi — powiedział z ukłonem.

Pomimo to wyjęłam z kieszeni banknot. Był pomięty i brudny. Z odrazą wsunęłam go pod talerzyk z ciastkami. Kelner sprzątnął ze stołu, ale zignorował pieniądze. Wskazałam je palcem. Uśmiechnął się tylko.

Za mało? Zbyt zniszczone? Położyłam na stole większy i czystszy banknot. Skłonił się, uśmiechnął ponownie i także pozostawił nietknięty.

Na zewnątrz było jeszcze goręcej. Żar mnie sparaliżował. Stałam przed herbaciarnią, niezdolna zrobić kroku. Słońce paliło skórę, oczy bolały od oślepiającego blasku. Włożyłam bejsbolówkę i naciągnęłam daszek na czoło.

Ulica była pełna ludzi, a mimo to dziwnie spokojna. Czegoś tu brakowało... Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, czego: nie było prawie żadnych pojazdów zmotoryzowanych. Ludzie szli pieszo albo jechali na rowerach. Na skrzyżowaniu stały trzy konne furmanki i wózek zaprzęzony w osła. Nieliczne samochody na jezdni, stare, powgniatane i zardzewiałe japońskie pick-upy, wypchane były po brzegi wyplatanymi koszami i workami, których czepiali się kurczowo młodzi mężczyźni.

Po obu stronach ulicy stały niskie, parterowe drewniane budy, kryte blachą falistą, jakie znałam z widywanych w telewizji slumsów Afryki czy Ameryki Południowej. To były sklepy, domy towarowe, gdzie na powierzchni dziesięciu metrów kwadratowych oferowano wszystko — od ryżu, orzeszków ziemnych, mąki i szamponu do coca-coli i piwa. Towar leżał w skrajnym nieładzie, bez śladu jakiegokolwiek uporządkowania, w każdym razie nic takiego nie udało mi się wyśledzić.

Co drugi sklep to była, zdaje się, herbaciarnia; na zewnątrz na maleńkich drewnianych stołeczkach siedzieli goście. Na głowach mieli

zawoje z czerwonych i zielonych ręczników, akcesorium równie oczywiste dla nich, jak dla mnie moja granatowa bejsbolówka z emblematem New York Yankees. Mężczyźni zamiast spodni mieli na sobie coś, co wyglądało jak portfelowa spódnica. Palili długie ciemnozielone papierosy.

Przede mną stało kilka kobiet. Policzki, brwi i nosy miały wysmarowane żółtą pastą; wyglądały jak Indianie na wojennej ścieżce. Wszystkie zaciągały się tymi cuchnącymi zielonymi cygaretkami.

Przewyższałam ich wszystkich co najmniej o głowę, nawet mężczyzn. Byli smukli bez oznak wychudzenia, a ich ruchy miały w sobie lekkość i elegancję, które zawsze podziwiałam u ojca. Przy moim metr siedemdziesiąt pięć wzrostu i pięćdziesiąt dziewięć kilo wagi czułam się w porównaniu z nimi gruba i niezgrabna.

A najgorsze, że się tak gapili.

Zamiast odwracać wzrok, ludzie patrzyli mi prosto w oczy i uśmiechali się. O co tu chodzi? Nie rozumiałam.

Jak groźny może być uśmiech!

Inni pozdrawiali mnie skinieniem głowy. Czyżby mnie znali? Czyżby wszyscy, jak U Ba, oczekiwali mojego przyjazdu? Staralam się na nich nie patrzeć. Nie wiedząc, jak zareagować na pozdrowienia, szłam ulicą najszybciej jak mogłam, ze wzrokiem utkwionym w jakiś nieistniejący punkt w oddali.

Zatęskniłam za Nowym Jorkiem, za ulicznym tłumem i zgiełkiem. Za poważnymi, zamkniętymi twarzami przechodniów, którzy nie interesują się sobą nawzajem. Zatęskniłam nawet za smrodem przepelnionych pojemników na śmieci w duszne letnie wieczory. Zatęskniłam za tym, co znane, czego można się ucześcić, co daje poczucie bezpieczeństwa. Zapraǳnęłam, by znowu znaleźć się tam, gdzie wiem, jak się poruszać, jak się zachowywać.

Po jakichś stu metrach ulica się rozwidlała. Zapomniałam, gdzie stoi mój hotel. Rozglądałam się za jakimś punktem orientacyjnym, drogowskazem lub szczegółem na poboczu, spotkanym po drodze krzakiem, drzewem, budynkiem, który mógłby podpowiedzieć mi właściwy kierunek. Jedyne co widziałam to przerośnięte bugenwille (wyższe nawet od bud, które okrywały), spalone słońcem pola, pełne

kurzu chodniki i wyboje tak głębokie, że zmieściłaby się w nich piłka do koszykówki. Gdziekolwiek się zwróciłam, wszystko wyglądało tak samo: dziwnie i złowieszczo.

Czyżbym ja, Julia Win z Nowego Jorku, znająca każdą ulicę i aleję Manhattanu, mogła się zgubić w tej prowincjonalnej dziurze, długiej na trzy przecznice i na dwie przecznice szerokiej? Gdzie moja pamięć, gdzie orientacja w terenie, gdzie przytomność umysłu, na których bazowałam, przemierzając San Francisco, Paryż czy Londyn? Jak to możliwe, że tak łatwo pomyliłam drogę? Poczulałam się samotna i zagubiona, tak jak nigdy nie zdarzyło mi się w Nowym Jorku.

— Panno Win, panno Win! — usłyszałam czyjś głos.

Ledwie odważyłam się obejrzeć. Za mną stał młody nieznany mężczyzna. Przypominał mi hotelowego boya. Albo kelnera z herbaciarni. Bagażowego na lotnisku w Rangunie, taksówkarza. Wszyscy oni wyglądali tak samo: czarne włosy, głęboko osadzone brązowe oczy, ciemna cera i ten osobliwy, niepokojący uśmiech.

— Szuka pani czegoś, panno Win? Może pomóc?

— Nie, dziękuję — odparłam. Nie ufałam nieznajomemu i nie chciałam być od niego zależna.

— Tak... mój hotel... droga — dodałam po chwili, nade wszystko pragnąc znaleźć jakąś kryjówkę, choćby hotelowy pokój, w którym zameldowałam się dziś rano.

— Tędy, na prawo, pod górę, i zaraz zobaczy pani hotel. Najwyżej pięć minut drogi — wyjaśnił.

— Dziękuję.

— Mam nadzieję, że miło spędzi pani czas w naszym mieście. Witamy w Kalaw — powiedział i ruszył w swoją stronę.

W hotelu przeszłam bez słowa obok uśmiechniętego recepcjonisty, wspięłam się po masywnych drewnianych schodach na drugie piętro i padłam na łóżko. Rzadko kiedy się zdarza, żebym czuła się tak wyczerpana.

Podróż z Nowego Jorku do Rangun trwała ponad siedemdziesiąt dwie godziny. Później spędziłam całą noc i pół dnia w rozklekotanym autobusie, pełnym ludzi, którzy śmierdzeli i nie mieli na sobie nic

oprócz brudnej koszuli, wytartego podkoszulka i znoszonych plastikowych sandałów. W towarzystwie kurczaków i pokwikujących prosiąt. Dwadzieścia godzin jazdy drogami, które w niczym nie przypominały jezdni. Raczej wyschłe koryta rzek. Tylko po to, żeby dostać się ze stolicy do tej odległej górskiej miejsciny. Dlaczego?

Co ja tu robię w tej birmańskiej dziurze? Niczego tu nie zgubiłam, a jednak liczę, że coś znajdę. Szukam czegoś, nie mając wyraźnego wyobrażenia, co by to miało być...

Potrzebowałam snu. Słońce zaszło, na zewnątrz zapadła ciemność, a pokój pogrążył się w półmroku. Walizka leżała nieotwarta na sąsiednim łóżku. Rozejrzałam się wokół, wodząc oczami tam i z powrotem, jakbym próbowała sobie przypomnieć, gdzie jestem. Nade mną zwisał z sufitu ogromny drewniany wentylator. Pokój był duży, a spartańskie umeblowanie nadawało mu klimat klasztornej celi. Koło drzwi prosta szafa, pod oknem stół i krzesła, pomiędzy łóżkami mały nocny stolik. Ściany były pomalowane na biało, bez żadnych obrazów czy lustera. Starą drewnianą podłogę wydeptały przez lata na gładko setki stóp. Jedyne luksus stanowiła maciupcia koreańska lodówka. Nie działała. Przez otwarte okna wpłynęło chłodne powietrze wieczoru, żółte zasłony zaszeleściły na wietrze, powoli, kojąco.

W półmroku, z parogodzinnego oddalenia, spotkanie ze starym człowiekiem wyglądało jeszcze bardziej absurdalnie i tajemniczo niż w świetle dnia. Jego wspomnienie zamgliło się, straciło ostrość. W głowie kłębiły mi się widmowe obrazy, obrazy, których nie umiałam zinterpretować, bez żadnego sensu. Usiłowałam sobie przypomnieć... U Ba miał białe, gęste, krótko przycięte włosy, na ustach uśmiech, którego znaczenia nie potrafiłam odczytać. Czy był szyderczy, drwiący? Pełen współczucia?

Czego on chciał ode mnie?

Pieniędzy! Czegóż by innego. Nie poprosił mnie o nie wprost, ale te uwagi o jego zębach i koszuli były w pełni czytelne, doskonale je zrozumiałam. Mojego imienia mógł się dowiedzieć w hotelu. Na pewno był w zмовie z portiernią. Oszust, który chciał podsycić moją ciekawość, zrobić wrażenie, zanim zaoferuje mi swoje usługi jako wróżbita, astrolog czy chiromanta. Nie ze mną te numery. Gdyby

wiedział, jak dalece traci czas...

Czy powiedział cokolwiek, co świadczyłoby, że istotnie znał mojego ojca? Ojciec powiedział mu jakoby: „Nie jestem człowiekiem religijnym, U Ba, i miłość... miłość to jedyna siła, w jaką naprawdę wierzę”. Mój ojciec nigdy by nawet nie pomyślał czegoś takiego, a co dopiero wypowiedział na głos! A jeszcze wobec obcego! A może oszukuję sama siebie? Może to raczej ja jestem śmieszna, zakładając, że wiedziałam, co ojciec myśli i czuje? Jak dalece go tak naprawdę znałam?

Czy ojciec, o którym sądziłam, że go znam, zniknąłby, nie pozostawiając żadnej wiadomości? Porzuciłby żonę, syna, córkę bez słowa wyjaśnienia, bez krótkiego choćby listu?

Jego ślad zaciera się w Bangkoku, twierdzi policja. Możliwe, że obrabowano go i zamordowano w Tajlandii.

A może był ofiarą wypadku w Zatoce Syjamskiej? Może dla odmiany zapragnął dwóch tygodni ciszy i spokoju? Może poszedł na plażę popływać i utonął? Taka jest wersja naszej rodziny, oficjalna w każdym razie.

W wydziale zabójstw podejrzewano, że prowadził podwójne życie. Nie przyjęto zapewnień matki, że nic nie wiedziała o pierwszych dwudziestu latach życia ojca. Uważano to za taką nedorzecznosc, że z początku podejrzewano nawet, iż odegrała jakąś rolę w jego zniknięciu, jako współniczka bądź sprawczyni. Dopiero kiedy stało się jasne, że nie wchodzi w grę żadne polisy ubezpieczeniowe na życie, że nikt nie skorzystałby finansowo na jego domniemanej śmierci, zdjęto z matki wszelki cień podejrzenia. Czy za tajemnicą owych dwudziestu lat nie kryje się jakaś strona osobowości ojca, której my, jego rodzina, nigdyśmy nie znali? Może był ukrytym homoseksualistą? Pedofilem, który zaspokajał swoje żądze w burdelach Bangkoku?

Czy naprawdę chcę to wiedzieć? Czy chcę splamić jego wizerunek — lojalnego męża, prawnika o doskonałej pozycji zawodowej, dobrego ojca, który był oparciem dla dzieci, ilekroć tego potrzebowały? „Nie czyńcie sobie bożków...” Tak jakbyśmy potrafili bez nich żyć! Ile prawdy potrafię udźwignąć?

Co w takim razie gna mnie na drugi koniec świata? Nie żałoba, ta faza jest zakończona. Cztery lata to długo. Byłam w żałobie, ale zarazem

szybko zdałam sobie sprawę, że stare, wytarte powiedzenie mówi prawdę: życie trwa dalej. Nawet bez niego. Moi znajomi twierdzili, że całą tę historię — jak to nazywali — będę miała dość szybko z głowy.

Również nie troska o niego skłania mnie do poszukiwań. Jeśli mam być szczerą, nie wierzę, że nadal żyje. Albo że — o ile jestem w błędzie — potrzebuje mojej pomocy czy że byłabym w stanie coś dla niego zrobić.

To niepewność mnie dręczy. Pytanie, dlaczego zniknął i czy to zniknięcie może ujawnić coś na jego temat, o czym dotąd nie wiedziałam. Czy rzeczywiście rozumiałam go tak dobrze, jak sądziłam, czy też nasza relacja, nasza intymność były złudzeniem? Te wątpliwości są gorsze niż mój strach przed prawdą. Rzucają cień na moje dzieciństwo, na moją przeszłość, i łapię się na tym, że nie ufam wspomnieniom. A oprócz wspomnień nie mam nic. Kim był mężczyzna, który mnie wychował? Z kim żyłam pod jednym dachem przez ponad dwadzieścia lat mego życia? Kim tak naprawdę był mój ojciec?

Rozdział 3

Moje ostatnie wspomnienie o nim liczy sobie już cztery lata.

Był to ranek następnego dnia po ukończeniu przeze mnie college'u. Spałam u rodziców, w domu mojego dzieciństwa przy Sześćdziesiątej Czwartej ulicy na East Side na Manhattanie. Pościelili mi w moim dawnym pokoju, obecnie gościnnym. Poprzedniego wieczoru świętowaliśmy mój dyplom. Równie dobrze mogłam wrócić do siebie — moje mieszkanie przy Drugiej Alei leżało o niecałe dziesięć minut drogi. Było jednak późno, po północy, no i szampan i czerwone wino uderzyły mi trochę do głowy. Wieczór był niezwykle przyjemny. Z San Francisco przyleciał mój brat. Ojciec, który nie cierpiał przyjęć i nigdy nie pił alkoholu, tryskał entuzjazmem jak rzadko, i poczułam tęsknotę za rodziną, domem, moim dawnym pokojem, dźwiękami i zapachami dzieciństwa.

Obudzić się raz jeszcze na brzęk talerzy, kiedy krótko po szóstej, tak jak każdego ranka, ojciec opróżnia zmywarkę i nakrywa do stołu. Poczuć raz jeszcze woń świeżo zaparzonej kawy i ciepłych bułeczek cynamonowych, które tak uwielbialiśmy jako dzieci. Usłyszeć w półśnie, jak otwiera drzwi wejściowe, wychodzi na zewnątrz, bierze „Timesa” i wraca. Usłyszeć, jak zamykają się z lekkim trzaśnięciem stare, ciężkie drewniane drzwi, a gruba gazeta płaska o kuchenny stół. Lata studenckie miałam za sobą — coś się nieodwołalnie skończyło. Chciałam się tego wszystkiego ucześcić, choćby na jedną noc i poranek. Rozpocząć dzień wśród bezpiecznych rytuałów dzieciństwa. Dotknąć tego poczucia bezpieczeństwa. Jeszcze tylko ten jeden raz.

Tak jakbym coś przeczuwała.

Ojciec obudził mnie wcześniej. Przez drewniane szczelbelki żaluzji prześwitywało blade światło; musiało być tuż przed wschodem słońca. Ojciec stał w nogach mojego łóżka w swoim staroświeckim szarym płaszczu i brązowym borsalino. Kiedy byłam mała, zwykłam patrzeć, jak w tym właśnie stroju wychodzi do pracy. Co ranka stawałam w oknie i

machała mu na pożegnanie, czasem zapłakana, bo nie chciałam, żeby wychodził. Nawet po latach, kiedy czekał na niego szofer w wielkiej czarnej limuzynie i miał do przejścia zaledwie parę kroków, zawsze wkładał płaszcz i kapelusz. Przez cały ten czas nigdy nie zmienił garderoby; kupował po prostu co jakiś czas nowy płaszcz i kapelusz, wyłącznie borsalino. Miał ich sześć: dwa czarne, dwa brązowe i dwa granatowe. Kiedy nie mógł już znaleźć gotowego płaszcza, nawet w najbardziej konserwatywnych sklepach Nowego Jorku, zaczął szyć je sobie na miarę.

Borsalino było jego talizmanem. Kupił po raz pierwszy ten włoski kapelusz, kiedy wybierał się na swoje pierwsze spotkanie w sprawie pracy. Dostał ją. W tamtym czasie kapelusz był oczywistą oznaką jego dobrego smaku i stylu, z czasem jednak zaczął wyglądać staroświecko, potem ekscentrycznie, aż w końcu sprawiał wrażenie rekwizytu z filmu o latach pięćdziesiątych. Jako nastolatka wstydziałam się, że ojciec tak się ubiera. Wyglądał tak strasznie niedzisiejszo, a na dodatek matki moich koleżanek witał ukłonem! Inne dzieci chichotały lub śmiały się w głos, kiedy odbierał mnie ze szkoły. Żałowałam go wtedy, gdyż nie potrafiłam sobie wyobrazić, że boli go to mniej, niż bolało mnie. Nigdy nie nosił adidasów, džinsów i podkoszulków i nie cierpiał niedbałego amerykańskiego stylu ubierania się. Twierdził, że jest to folgowanie niższemu instynktom, do których należy między innymi wygodnictwo.

Stojąc przy łóżku, ojciec wymówił półgłosem moje imię. Powiedział, że ma spotkanie w Bostonie i nie wie dokładnie, kiedy wróci. Być może dopiero za parę dni. Było to dziwne, bo jego kalendarz spotkań był równie precyzyjny jak jego zegarek, poza tym stale latał do Bostonu, ale nigdy nie zostawał na noc. Zbyt zaspana jednak byłam, żeby się dziwić. Ojciec pocałował mnie w czoło.

— Kocham cię, malutka. Nigdy o tym nie zapomnij, słyszysz?

Pokiwałam sennie głową

— Też cię kocham. Uważaj na siebie.

Odwróciłam się na drugi bok, wtuliłam twarz w poduszkę i znowu zasnęłam. Od tej chwili nikt go więcej nie widział. Zniknął bez śladu.

Pierwszy sygnał, że coś jest nie tak, nadszedł tuż po dziesiątej.

Pospałam tego ranka dłużej i dopiero co weszłam do kuchni. Brat był już w drodze powrotnej do San Francisco. Matka czekała, by zjeść ze mną śniadanie. Siedziała w solarium z filiżanką kawy, przerzucając „Vogue”; obie byłyśmy jeszcze w szlafrokach. Na stole leżały ciepłe bułeczki cynamonowe, świeże bajgle, wędzony łosoś, twarożek i dżem truskawkowy. Usiadłam na moim dawnym miejscu, plecami do ściany, i wsparłam stopy o krzesło, objęłam kolana rękami. Popijałam sok pomarańczowy i opowiadałam matce o moich planach na lato. Wtem zadzwonił telefon. Dzwoniła Susan, sekretarka ojca. Pytała, czy nie jest chory. Osoba, z którą był umówiony — nie byle kto, rzecz jasna — czeka i się niecierpliwi. Nie padło ani słowo na temat Bostonu.

Matka przejęła się mniej niż Susan, być może dlatego, że naprzeciwno niej nie siedział z marsową miną hollywoodzki magnat z armią prawników. Musiało zajść coś nieprzewidzianego, zgodziły się obie. Nie miał możliwości, aby zadzwonić, utknął na jakimś spotkaniu i za jakiś czas na pewno się pojawi, co do tego nie ma wątpliwości.

Spokojnie dokończyłyśmy z matką śniadanie. Żadna z nas nie powiedziała na temat ojca ani słowa. Po śniadaniu poszłyśmy razem do kosmetyczki, a potem przez Central Park do Bergdorfa i Goodmana. Był jeden z tych ciepłych dni wczesnego lata, kiedy nie jest ani za gorąco, ani za wilgotno. Nowy Jork w swoim najładniejszym wydaniu. W parku pachniało świeżo skoszoną trawą, na Sheep Meadow opalali się ludzie, a paru młodych chłopaków, zdjawszy podkoszulki, uganiało się za latającym talerzem. Dwu starszych mężczyzn, trzymając się za rękę, jeździło przed nami na łyżworolkach. Gdybym mogła, najchętniej po prostu stałabym bez ruchu i zamknawszy oczy, chłoneła świat. W dni takie jak ten zawsze czułam, że życie to bezmiar możliwości, które tylko czekają, by po nie sięgnąć.

Matka pociągnęła mnie dalej.

U Bergdorfa & Goodmana kupiła mi żółtą letnią sukienkę w kwiaty, a potem zaprosiła mnie na herbatę do Plazy. Nie zależało mi specjalnie na tym konkretnym hotelu. Jego styl, fałszywy francuski renesans, był jak dla mnie trochę za wymyślny, zbyt kiczowaty, ale dawno zdałam sobie sprawę, że daremne są próby skłonienia matki, byśmy poszły na herbatę gdzie indziej. Uwielbiała to foyer ze złożonymi

stiukami na wysokich stropach i ścianach, kolumny zdobione tak misternie, jakby zrobiono je z lukru. Wygrzewała się w ciepłe pretensjonalnych manier kelnerów, sposobu, w jaki witał ją francuski maître d'hôtel: „Bonjour, madame Win”. Usiadłyśmy pomiędzy dwiema palmami obok niewielkiego bufetu z ciastami, lodami i czekoladkami. Dwie wędrownie skrzypaczki grały wiedeńskie walce.

Matka zamówiła bliny z kawiozem i dwa kieliszki szampana.

— Czy jest coś jeszcze do uczczenia? — spytałam.

— Twój dyplom, skarbie.

Spróbowałyśmy blinów. Były przesolone, a szampan zbyt ciepły. Matka przywołała kelnera.

— Daj spokój, mam — zaprotestowałam. — Są całkiem w porządku.

— Nie sędzę — odparła łagodnie, tak jakbym nie miała pojęcia o takich rzeczach. — Gdyby były przynajmniej takie...

Udzieliła ostrej reprimendy kelnerowi, który tłumacząc się gęsto, zabrał z powrotem nasze talerze i kieliszki. Jej głos brzmiał niekiedy tak ostro, zimno... Był czas, kiedy się go bałam, dziś był dla mnie tylko niemiły.

— Kiedy jem bliny z kawiozem, oczekuję, że będą lepsze niż całkiem w porządku. A letni szampan to impertynencja. — Spojrzała na mnie. — Ty byś zjadła, prawda?

Skinęłam głową.

— Twój ojciec też. Pod wieloma względami jesteście niemal identyczni.

— Co przez to rozumiesz? — spytałam. Nie zabrzmiało to jak komplement.

— Tę waszą pokorę, bierność, lęk przed konfliktem, którego nie rozumiem. Dlaczego mam nie zwrócić uwagi, kiedy coś jest nie tak z moim zamówieniem?

— Dla mnie to marudzenie.

— Czy to u was nieśmiałość, czy arogancja? — ciągnęła, tak jakby mnie nie słyszała.

— Co to ma wspólnego z arogancją?

— Żadne z was nie miało nigdy ochoty użerać się z kelnerami —

powiedziała z gniewem, którego nie rozumiałam. Nie miał nic wspólnego z siuszkowatym szampanem i przesolonymi blinami. — Nie warto sobie nimi zawracać głowy. Dla mnie to arogancja.

— Nie, po prostu nie jest to dla mnie takie ważne — powiedziałam. Była to prawda połowiczna, ale nie miałam ochoty na długą dyskusję. Krępujące było dla mnie wyklócanie się o cokolwiek, czy to w restauracji, w hotelu, czy w sklepie. A jednak miało to dla mnie większe znaczenie, niż skłonna byłam ujawnić. Denerwowały mnie takie sytuacje, a po fakcie często zła byłam na siebie, że taka ze mnie frajerka. Z ojcem było inaczej. Jego milczenie w takich wypadkach było autentyczne. Naprawdę nie miało to dla niego znaczenia. Jeśli ktoś potraktował go niemiło czy ordynarnie, uważał, że to problem tej osoby, nie jego. Uśmiechał się, kiedy ktoś wcisnął się przed nim do kolejki. Nigdy nie liczył reszty; matka liczyła każdego centa. Zazdrościłam mu jego wewnętrznego spokoju. Matka nie potrafiła go zrozumieć. Była jednakowo surowa wobec siebie i innych — ojciec tylko wobec siebie.

— Jak może nie być dla ciebie ważne, czy obsłużono cię właściwie, czy nie, czy dostałaś to, za co zapłaciłaś, czy nie? Ja tego nie pojmuję.

— Może skończmy z tym? — zaproponowałam. I aby zmienić temat, dodałam: — Martwisz się o tatę?

Z uśmiechem pokręciła głową.

— Nie. A powinnam?

Patrząc wstecz, zastanawiam się, czy jej spokój to nie była gra. Żadna z nas nie powiedziała ani słowa na temat zawałonego spotkania. Matka ani razu nie zadzwoniła do biura, żeby sprawdzić, czy nie było od niego wiadomości. Dlaczego była tak pewna, że nie przytrafiło mu się nic złego? Czy w ogóle jej to nie obchodziło? A może od lat podejrzewała, że w końcu do tego dojdzie? Jej pogoda tego dnia, jej podszyta ulgą beztroska... Coś takiego czuje się chyba, kiedy wreszcie przychodzi nieunikniona, od dawna przewidywana katastrofa.

W parę tygodni później siedział u nas przy kuchennym stole Francesco Lauria, kierownik specjalnej jednostki, której przydzielono sprawę zaginięcia ojca. Szef nowojorskiej policji przedstawił go matce

jako jednego z najlepszych śledczych. Od tej chwili stał się naszym stałym gościem. Był młody, trochę po trzydziestce, szczupły, muskularny i niezwykle próżny. Czarna czupryna sprawiała wrażenie, jakby strzygł ją każdego ranka. Nosił eleganckie garnitury i włoskie krawaty. Najbardziej jednak zdumiewał jego język. Lauria był elokwentny, czarujący, dobierał słowa starannie niczym pierwszorzędnym adwokat. W ciągu tych pierwszych dni, kiedy wraz z bratem i matką niemal nie odstępowałyśmy telefonu, dzwonił z biura o wszelkich możliwych porach, nierzadko około północy. Pocieszał nas, paplając o wysokim wskaźniku wykrywalności uprowadzeń i przypadkach, kiedy zaniechano dalszego postępowania, a po dwóch czy trzech tygodniach zaginiona osoba odnajdywała się nieoczekiwanie cała i zdrowa. Przypadek ojca stanowił dla Laurii drogę do awansu, i był zdecydowany wyciągnąć z niego najwięcej, jak się da. „Wpływowy prawnik Wall Street zaginął bez śladu” — głosił nagłówek „Timesa”, rozpoczynając systematyczne cytowanie Laurii na pierwszej stronie sekcji lokalnej. Przez parę kolejnych dni gazety pełne były spekulacji. Czy to morderstwo, dokonane z zemsty przez klienta? Dramatyczne porwanie? Czy są jakieś powiązania z Hollywood?

Wszystko, co ustaliła policja podczas pierwszych dwóch tygodni, sprawiło jedynie, że sprawa stała się jeszcze bardziej tajemnicza. W dniu zaginięcia ojciec rzeczywiście pojechał na lotnisko JFK, nie poleciał jednak do Bostonu, lecz do Los Angeles. Bilet kupił na lotnisku, nie zgłosił żadnych bagaży. Z Los Angeles udał się pierwszą klasą do Hongkongu, lotem 888 linii United Airlines. Jeden ze stewardów zapamiętał go, bo w ogóle nie pił szampana, a zamiast gazety czytał tomik wierszy Pabla Nerudy. Opisał go jako bardzo spokojnego i wyjątkowo uprzejmego; niewiele jadł i prawie nie spał, nie oglądał żadnych filmów, a większość czasu spędził na czytaniu.

W Hongkongu ojciec spędził noc w hotelu Peninsula, pokój 218. Zamówił kurczaka curry i wodę mineralną i zgodnie z tym, co twierdzi obsługa hotelu, w ogóle nie wychodził z pokoju. Nazajutrz udał się lotem nr 615 linii Cathay Pacific do Bangkoku, gdzie nocował w hotelu Mandarin Oriental. Najwyraźniej nie starał się zacierać śladów: nocował w tych samych hotelach, z których korzystał podczas podróży

służbowych, wszystkie rachunki płacił kartą kredytową. Tak jakby wiedział, że będzie to kres jego podróży, przynajmniej dla śledczych. W cztery tygodnie później robotnik budowlany znalazł w pobliżu portu lotniczego w Bangkoku jego paszport.

Wiele okoliczności wskazywało na to, że nie opuścił Tajlandii. Policja sprawdziła listy pasażerów na wszystkie loty z Bangkoku. Nigdzie nie znaleziono jego nazwiska. Lauria spekulował w związku z tym, że ojciec załatwił sobie w Tajlandii fałszywy paszport, a potem poleciał gdzieś pod innym nazwiskiem. Paru stewardów Thai Air utrzymywało, że go widzieli. Jeden jakoby w samolocie do Londynu, drugi do Paryża, a trzeci — do Phnom Penh. Żaden z tych tropów nie wypalił.

W miarę trwania śledztwa relacja między Laurią a moją matką stopniowo się pogarszała. Z początku był pełen współczucia dla rodziny ofiary, zwłaszcza dla żony „na której twarzy smutek odcisnął swe piętno”, jak ujął to w rozmowie z dziennikarzami. Ilekroć dzwonił, głos jego brzmiał przyjaźnie, ciepło, nawet intymnie — niczym głos naszego rodzinnego lekarza. Stopniowo jednak współczucie ustąpiło miejsca nieufności: nie mógł zrozumieć, że nie znamy odpowiedzi na tyle pytań co do przeszłości ojca. W jego opinii utrudnialiśmy śledztwo. Jak żona może nie wiedzieć, gdzie urodził się jej mąż? Nie znać dokładnej daty lub choćby roku jego urodzenia? Imion rodziców? Moja matka kręciła głową. Rodzeństwa? Przyjaciół z dzieciństwa?

Zgodnie z danymi urzędu imigracyjnego, ojciec przyjechał z Birmy do USA w roku 1942 na podstawie wizy studenckiej. Studiował prawo w Nowym Jorku i w roku 1959 został obywatelem Stanów Zjednoczonych. Jako miejsce swojego urodzenia wymieniał Rangun, stolicę dawnej kolonii brytyjskiej. Dochodzenie FBI i Ambasady Amerykańskiej w Rangunie do niczego nie doprowadziło. Win to w Birmie pospolite nazwisko i wyglądało na to, że nikt nic nie wie o rodzinie ojca.

Lauria upił łyk kawy.

— Przykro mi, proszę pani, ale jesteśmy w impasie — powiedział, a jego ton świadczył, że obwinia za to nas, przynajmniej częściowo. — Chciałbym zadać pani jeszcze parę pytań. Wszelki szczegół, wszelka informacja, choćby się wydawała całkiem nieistotna, może sprawić, że

śledztwo znów ruszy z miejsca.

Wyjął z kieszeni długopis i notatnik.

— Czy w ciągu tygodni poprzedzających zaginięcie pani męża zauważyła pani u niego coś szczególnego? Odmienny sposób zachowania? Może wymieniał jakieś nieznane nazwiska?

— Już mnie pan o to pytał — odparła matka. Nie zadawała sobie trudu, aby ukryć irytację.

— Wiem. Być może ostatnio coś się pani przypomniało. Odrobina dystansu bywa pomocna.

— Mąż częściej niż dotąd medytował. Nie trzy kwadranse rano, jak dotąd, ale także wieczorem po kolacji. Ale już to panu mówiłam.

— Czy był bardziej spięty, nerwowy?

— Nie, wręcz przeciwnie.

— Bardziej beztroski? — spytał Lauria, zdziwiony.

— Mój ojciec nie był człowiekiem beztroskim, nie w tym sensie — wtrąciłam się. — Był spokojny, często milczący, a w dniach poprzedzających zniknięcie wołał przebywać sam ze sobą jeszcze częściej niż zwykle.

— Strasznie dużo słuchał muzyki w tych ostatnich tygodniach, bywało, że całymi godzinami przed snem — dodała matka. — Oczywiście nie potrzebował zbyt wiele snu, cztery-pięć godzin na dobę, to wszystko.

— Czy słuchał czegoś w szczególności?

— Swoich ulubionych kompozytorów, głównie Bacha, Mozarta, Beethovena. Lubił też opery Pucciniego, zwłaszcza *Cyganerię*.

Lauria skrobął w notatniku parę zdań.

— Uderzyło mnie, że nie tylko w jego biurze, ale także w gabinecie i sypialni panował nadzwyczajny ład. Czyste blaty, żadnej niezalutowanej korespondencji, nawet żadnej rozpoczętej książki na nocnym stoliku.

Matka skinęła głową.

— Taki właśnie był.

— Co pani przez to rozumie? — spytał Lauria.

— Porządnicki, drobiazgowy, skrajnie zorganizowany, zawsze planujący wszystko ze znacznym wyprzedzeniem. Czy to panu coś

mówi?

Lauria nie odpowiedział.

— Przypuszczamy — podjął po dłuższej chwili — że przyczyn tajemniczego zniknięcia pani małżonka należy szukać w okresie pierwszych dwudziestu lat jego życia. Bez pani pomocy jednak jesteśmy skazani na kręcenie się w kółko.

— Powiedziałaś panu wszystko, co wiem — przerwała mu matka. — Mąż nigdy nie mówił o tamtych czasach. Z nikim.

— Wyszła pani za człowieka, o którym nic pani nie wiedziała? — Głos Laurii nie był już krytyczny czy oskarżycielski. Był cyniczny, zimny.

— Wiedziałaś, co chciałam wiedzieć — odparła matka ostro. Jej ton mówił jasno: pora kończyć tę rozmowę. — Kochałam go. Nic innego się nie liczyło.

Lauria wstał. Wziął ze stołu papier i długopis i schował je. Nie potrafiłby zrozumieć mojej matki, nawet gdyby chciał. Był jednym z tych, którzy nie przyjmują odpowiedzi „nie”, prawdopodobnie nie tylko w pracy, ale i w małżeństwie. Nawet mu nie zaświtało, że pod tym względem stanowią z moją matką pokrewne dusze, i dlatego nie był w stanie ocenić i tego, jak trudno było jej żyć z tym ojcowskim milczeniem.

Popatrzył na nas, jakby chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Ruszył do drzwi.

— Zadzwoń, jeśli dowiemy się czegoś nowego.

— Dzięki — odparła chłodno matka.

Kiedy Lauria wyszedł, usiadła w fotelu. Zapadła cisza, z każdym oddechem coraz bardziej męcząca. Co nas powstrzymywało przed mówieniem? Czy matka kłamała? Czy była współniczką ojca? Milczenie przygniatało mi ramiona, wnętrzości, w rękach poczułam mrowienie, tak jakby ktoś kłuł je szpilkami. Mrowienie popęzło w górę, ku ramionom, ku piersi, i wiedziałam, że gdy sięgnie głowy, zemdleję. Chciałam coś powiedzieć, cokolwiek, ale nie mogłam wydobyć z siebie ani słowa.

Uratowała mnie matka. Wstała, podeszła do mnie i opasała ramieniem. Znać było, że płakała.

— Twój ojciec zostawił mnie na długo przedtem, zanim zginął.

Rozdział 4

Czy jest w życiu coś takiego jak katastroficzny punkt zwrotny? Kiedy świat, jaki znaliśmy, przestaje istnieć? Kiedy z jednego uderzenia serca na drugie stajemy się inną osobą? Chwila, gdy kochanek wyznaje, że ma kogoś innego i odchodzi? Dzień, w którym pochowaliśmy matkę, ojca, najlepszego przyjaciela czy przyjaciółkę? Sekunda, w której lekarz informuje nas, że mamy złośliwego raka mózgu?

A może takie chwile to tylko dramatyczne finały bardziej długotrwałych procesów, finały, które moglibyśmy przewidzieć, jeśli zamiast ignorować znaki, umielibyśmy je odczytywać? Czy naprawdę zmieniają one fundamentalnie nasze życie, czy też są jedynie fazą smutku czy wstrząsu, po czym wracamy do naszych starych nawyków, starych upodobań i antypatii, starych lęków i kompulsji, przebranych być może w inny strój?

A jeśli te punkty zwrotne istnieją naprawdę, czy jesteśmy ich świadomi, kiedy się przydarzają, czy też rozpoznajemy brak ciągłości dopiero później, w retrospekcji?

Pytania, które nigdy dotąd mnie nie interesowały i na które nie znam odpowiedzi. Tak czy owak, zaginięcie mojego ojca nie było tego typu przeżyciem. Kochałam go, tęskniłam za nim, nie sądzę jednak, by moje życie przez ostatnie cztery lata toczyło się choć trochę inaczej, by choć jedna ważna decyzja wyglądała inaczej, gdyby nadal z nami był. Tak przynajmniej sądziłam jeszcze tydzień temu. Ciemno już było, tuż po ósmej, kiedy pewnego wieczoru, gdy wracałam z biura, portier wywołał mnie z powrotem z windy. Na dworze lało, przemokły mi pantofle, zmarzłam i nie mogłam się doczekać, żeby znaleźć się wreszcie w domu.

— O co chodzi? — spytałam niecierpliwie.

— Paczka dla pani — odparł, znikając w magazynie.

Wyjrzałam przez wielkie okno holu na ulicę. Na mokrym asfalcie błyszcząły tylne światła samochodów. Życie oddałabym za gorący

prysznic i filiżankę herbaty. Portier podał mi torbę z szarą paczką w środku, wielkości mniej więcej pudełka do butów. Wsadziłam je pod pachę i winda zawiozła mnie do mojego mieszkania na trzydziestym piątym piętrze.

Niewielki apartament. Sypialnia, łazienka i otwarty na kuchnię living room, wszystko umeblowane oszczędnie, ale ze smakiem. Długi drewniany stół, cztery metalowe krzesła, pod oknem fotel, zestaw nagłaśniający na podłodze, na białych ścianach dwie prace Basquiata, mojego ulubionego artysty. Najlepszy ze wszystkiego był jednak widok. Okna sięgały od sufitu do parkietu podłogi i w pogodne dni rozciągał się przede mną pejzaż Manhattanu z bezkresnym niebem w tle. Widok z okna sam w sobie stanowił dzieło sztuki, genialne malowidło, zmieniające co noc formy i kolory na dowód, że żyje.

Wieczorami często stałam na moim małym balkonie i marzyłam. Wpatrywałam się w Manhattan z uczuciem, że to ja go stworzyłam, wyciągałam ramiona i wyobrażałam sobie, że potrafię latać. To było moje miasto.

Sprawdziłam sekretarkę. Osiem wiadomości, wszystkie związane z pracą. Na stole leżał plik rachunków i pocztowych śmieci. W pokoju zalaływało płynem do sprzątania, otworzyłam więc drzwi na balkon. Wciąż padało, a chmury wisiały tak nisko, że z trudem odróżniałam zarysy przeciwległego brzegu East River. W dole widać było zakorkowaną Drugą Aleję i most Queensboro. Przenikliwy dźwięk samochodowych klaksonów docierał aż tu, na trzydzieste piąte piętro.

Wzięłam prysznic i wyjęłam paczkę z torby. Z miejsca rozpoznałam pismo mojej matki. Od czasu do czasu przysyłała mi życzenia albo wycinki z prasy, o których sądziła, że mnie zainteresują — a w każdym razie powinny. Nie cierpiała automatycznych sekretarek i to był jej sposób pozostawiania wiadomości. A jednak już dawno nie dostałam od niej żadnej paczki... Dziwne, zwłaszcza że nazajutrz miałyśmy się spotkać na lunchu. Otworzyłam. W środku był plik starych zdjęć, dokumentów i papierów należących do ojca plus krótki liścik od niej.

Julio, natrafiłam na ten pakunek podczas sprzątania strychu.

Wypadł zza starej chińskiej komody. Być może zainteresują cię te rzeczy. Dołączam ostatnie zdjęcie naszej czwórki. Mnie nie jest już potrzebne. Do zobaczenia w sobotę.

Twoja Judith

Wyjęłam zawartość paczki na stół. Na samym wierzchu był rodzinny portrecik, zrobiony w dniu obrony mojego dyplomu. Stałam rozpromieniona pomiędzy rodzicami, trzymając każde z nich pod rękę. Za mną brat z rękami na moich ramionach. Matka prezentowała do obiektywu pełen dumy uśmiech. Ojciec także uśmiechał się szeroko. Jak dalece kłamać mogą zdjęcia! Idealna, szczęśliwa rodzina... Nic, co by wskazywało, że będzie to nasze ostatnie wspólne zdjęcie, gorzej — że jedno z nas od dawna potajemnie snuje plany odejścia. Po zaginięciu ojca często wpatrywałam się długie chwile w to zdjęcie, tak jakbym mogła znaleźć w nim odpowiedzi na moje pytania, jakby jakiś szczegół, jakaś subtelna wskazówka mogła pomóc w rozwikłaniu zagadki. Badałam przez lupę ojcowską twarz, zwłaszcza te jego oczy; czasami tak lśniły, że choćby chciał, nie potrafiłby ukryć radości. Na tym zdjęciu były puste. Sprawiał wrażenie nieobecnego, tak jakby już się wymknął.

Pod zdjęciem znajdowały się dwa nieważne paszporty, świadectwo nadania ojcu amerykańskiego obywatelstwa i parę starych terminarzy, wypełnionych po brzegi notatkami. Boston. Waszyngton. Los Angeles. Miami. Londyn. Hongkong. Paryż. Były lata, kiedy ojciec wiele razy okrążył glob. Robił karierę jako wspólnik, jeden z ośmiu w jego firmie, a jako prawnik szybko wyspecjalizował się w przemyśle rozrywkowym. Doradzał studiom Hollywood w zakresie filmowych kontraktów, przejęć i fuzji. Wśród jego klientów znajdowało się także kilka największych gwiazd.

Nigdy tak naprawdę nie zrozumiałam, dlaczego odniósł taki sukces zawodowy. Wiele pracował, ale nie czuło się w nim osobistych ambicji, nie był próżny i nie starał się kapitalizować sławy swoich klientów. Jego nazwisko nigdy nie pojawiało się na kolumnach plotkarskich, nie chodził na żadne przyjęcia, nawet na dobroczynne bale dla bogaczy, które organizowała matka wraz z przyjaciółkami. Pragnienie, by gdzieś

przynależeć, tak typowe dla imigrantów, było mu zupełnie obce. Był samotnikiem, przeciwieństwem tego, jak większość ludzi wyobraża sobie prawnika gwiazd show biznesu. Być może właśnie ta cecha wzbudzała zaufanie i sprawiała, że był tak pożądanym negocjatorem. Ten jego spokój i opanowanie, jego bezpretensjonalność, zamyślenie, łagodny, jakby lekko nieobecny sposób bycia, niepodległy ani pieniądзом, ani sławie.

Do tego miał dwie nadzwyczajne umiejętności, tak niezwykle, że czasami wprawiały w zakłopotanie współników i nielicznych przyjaciół: dysponował niemal fotograficzną pamięcią i bezbłędnie oceniał ludzkie charaktery. Wystarczało mu przelotne spojrzenie, by zapamiętać zestawienia bilansowe i propozycje kontraktu. Cytował służbowe notatki i listy sprzed wielu lat, i to słowo w słowo. Na początku rozmowy często zamykał oczy i koncentrował się na głosie danej osoby, tak jakby zatracił się w operowej muzyce. Już po paru zdaniach potrafił powiedzieć, jakie jest samopoczucie danej osoby, jak dalece jest pewna siebie, czy zamierza mówić prawdę, czy blefuje. Nie zawsze się to sprawdzało, ale często. Twierdził, że był czas w jego życiu, kiedy nie mylił się nigdy. Prawdopodobnie można się tego nauczyć, ale kto, kiedy i gdzie nauczył jego, nie chciał wyjawić, choć nieraz go o to błagałam.

Nigdy w życiu nie udało mi się go oszukać. Tak naprawdę.

Najstarszy kalendarz pochodził z roku 1960. Przekartkowałam go — wyłącznie spotkania biznesowe, nieznanne nazwiska, miejsca, daty... W środku natrafiłam na złożoną karteczkę. Z miejsca rozpoznałam pismo ojca.

W końcu jak długo żyje człowiek?

Żyje tysiąc lat czy tylko rok?

Żyje tydzień czy kilka wieków?

Jak długo umiera człowiek?

Co to znaczy na zawsze?

Pablo Neruda

A potem, na samym końcu, cieniutka błękitna koperta lotnicza,

starannie złożona w prostokącik. Rozłożyłam ją. Adres brzmiał:

„Mi Mi
38 Circular Road, Kalaw, Shan State
Birma”

Zawahałam się. Czy ta niepozorna bibułka zawiera klucz do tajemnicy ojca? Czy może to być pierwsza od jego zaginięcia sposobność, aby dowiedzieć się czegoś więcej?

Nie byłam pewna, czy nadal mnie to interesuje. Jakie znaczenie ma prawda dziś, po upływie czterech lat? Matka pogodziła się z tą zagadką i życie, zdaje się, układa się jej teraz lepiej niż w czasie trwania małżeństwa. Brat mieszka w Kalifornii i pracuje nad stworzeniem własnej rodziny. Nigdy nie miał zbyt dobrej relacji z ojcem i od dwóch lat nie wspominał o nim ani razu. Ja koncentruję się na karierze zawodowej i wyrabiam sobie markę jako prawniczka. Mój własny terminarz spotkań jest wypełniony na parę miesięcy naprzód. Mam teraz na tapecie dwie ważne sprawy i brak mi czasu nawet na chłopaka. Zaakceptowaliśmy naszą wersję wydarzeń i tak naprawdę nie miesza nam już ona w życiu. Nie mam w tej chwili ani energii, ani potrzeby, aby grzebać w przeszłości. Niby po co? Moje życie jest OK.

Wzięłam list i podeszłam do piecyka. Mogłam go spalić. W parę sekund płomień zmienia bibułkę w popiół. Włączyłam piecyk, usłyszałam syczenie gazu, kliknęła automatyczna zapalarka, zapłonęły języki ognia. Zbliżyłam do nich kopertę. Jeden ruch i rodzina odzyska spokój. Nie pamiętam, jak długo stałam przy piecu; pamiętam tylko, że nagle zaczęłam płakać. Łzy ciekły mi strumieniami po policzkach, nie wiedziałam, dlaczego płaczę, ale łzy wciąż płynęły, coraz szybciej, coraz obficie, aż w końcu znalazłam się z powrotem na łóżku, zanosząc się łkaniem jak dziecko.

Kiedy się obudziłam, budzik na nocnym stoliku wskazywał piątą dwadzieścia. Wciąż czułam smutek w całym ciele. Przez chwilę równą paru oddechom nie mogłam sobie przypomnieć jego przyczyny i miałam nadzieję, że to wszystko był sen. Potem spostrzegłam list. Wstałam, rozebrałam się, wzięłam prysznic, wrzuciłam na siebie szlafrok,

wstawiłam do mikrofali mrożonego croissanta i zrobiłam sobie kawę z mlekiem. Przy stole delikatnie rozłożyłam list. Tak jakby mógł pęknąć mi w rękach niczym mydlana bańka.

Nowy Jork, 24 kwietnia 1955 r.

Najdroższa Mi Mi!

Pięć tysięcy osiemset sześćdziesiąt cztery dni minęło, odkąd słyszałem ostatni raz bicie twego serca. Czy zdajesz sobie sprawę, ile to godzin? Ile minut? Czy wiesz, jak biedny jest ptak, który nie może śpiewać, kwiat, który nie może zakwitnąć? Jak nieszczęśliwa jest wyjęta z wody ryba? Trudno mi pisać do ciebie, Mi Mi. Ileż to listów do ciebie napisałem i nigdy ich nie wysłałem... Co mógłbym ci powiedzieć, czego byś już nie wiedziała? Tak jakbyśmy potrzebowali atramentu i papieru, liter i słów, żeby się nawzajem porozumiewać. Byłaś ze mną w każdej z tych 140 736 godzin — tak, upłynęło ich już tyle — i będziesz ze mną, dopóki się znów nie spotkamy. (Wybacz, że mówię oczywistości, to tylko ten jeden raz). Kiedy przyjdzie pora, powrócę. Jak nijako i bezbarwnie mogą brzmieć najpiękniejsze słowa! Jak ponure i beznadziejne musi być życie tych, którzy potrzebują słów, którzy muszą się dotknąć, zobaczyć czy usłyszeć, aby poczuć nawzajem swoją bliskość. Którzy potrzebują udowodniać swoją miłość, a przynajmniej ją potwierdzać, aby mieć pewność, że istnieje. Pewnie i ten list nigdy do ciebie nie dotrze. Dawno temu zrozumiałaś wszystko, co mógłbym ci napisać, więc te listy są tak naprawdę skierowane do siebie samego, liche próby zaspokojenia mojej tęsknoty.

Tu list się urywał. Przeczytałam go po raz drugi i trzeci, złożyłam i wetknęłam z powrotem do koperty. Sprawdziłam porę. Była sobota rano, tuż po siódmej. Deszcz ustał, chmury ustąpiły miejsca głębokiemu błękitowi, pod którym Manhattan powoli się budził. Za East River wzeszło słońce, zajrzało do mojego pokoju i oblało wszystko ciepłą, czerwonawą poświatą. Zapowiadał się piękny, chłodny dzień.

Chwyciłam kartkę. Chciałam zrobić parę notatek, zanalizować sytuację, ustalić jakąś strategię, tak jak zrobiłabym w biurze. Kartka

pozostała pusta.

Przekroczyłam punkt, za którym nie było już powrotu. Podjęto za mnie decyzję, choć nie potrafiłabym powiedzieć, kto to zrobił. Numer do United Airlines znałam na pamięć. Najbliższy lot do Rangun, przez Hongkong, a potem Bangkok, był w niedzielę. Musiałam zdobyć tam wizę, aby w środę polecieć liniami Thai Air dalej, do Birmy.

— A powrót?

Pomyślałam chwilę.

— Proszę pozostawić otwarty.

Rozdział 5

Kiedy dotarłam na miejsce spotkania, matka już czekała. Byłyśmy umówione na lunch w Sant Ambroeus na Madison Avenue o pół do drugiej. Było dwadzieścia po pierwszej, a ona siedziała tam gdzie zwykle w sobotę — w samym końcu sali, na pokrytej czerwonym pluszem ławeczce, skąd mogła obserwować wnętrze knajpki z barkiem cappuccino na froncie włącznie. W ręce trzymała niemal opróżniony kieliszek białego wina. Odkąd otwarto tę włoską restaurację jakieś dwanaście lat temu, matka i jej przyjaciółki bywały tu regularnie. Lubiły lekko zblazowanych kelnerów w czarnych frakach, a przede wszystkim Paola, właściciela, który zawsze na ich widok rozkładał powitalnie ramiona i całował je w rękę, tak jakby nie widzieli się od lat. Zwykle jadały tu dwa-trzy razy w tygodniu, zimą planując dobroczynne bale, latem narzekając na najazd wczasowiczów w Hamptons.

Matka już zamówiła jedzenie. Był to jeden z naszych rytuałów, że w Sant Ambroeus to ona coś dla mnie wybierała. Na jej talerzu leżały trzy plasterki pomidora i świeża mozzarella z bawolego mleka. Na mnie czekała niewielka porcja sałatki.

Opowiadała o planowanym balu na rzecz fundacji ochrony zwierząt, w której pełniła funkcję członkini zarządu, o obrazach Francisa Bacona, które oglądała w Muzeum Sztuki Nowoczesnej, o tym, jakie się jej wydały okropne. Kiwałam głową, ale tak naprawdę jej nie słuchałam.

Denerwowałam się. Jak zareaguje na moje plany?

— W poniedziałek wyjeżdżam — powiedziałam. Mój głos brzmiał jeszcze bardziej lęklwie, niż się faktycznie czułam.

— Dokąd? — spytała.

— Do Birmy.

— Nie bądź śmieszna — rzuciła, nie podnosząc nawet oczu znad mozzarelli.

Właśnie za pomocą takich zdań przez całe życie mnie uciszała. Upiłam łyk wody mineralnej i spojrzałam na matkę. Siwe włosy znowu

miała ufarbowane na ciemny blond i krótko przycięte. Krótka fryzurka odmładzała ją, ale także nadawała nieco surowy wygląd. Ostry nos z biegiem lat zaostrzył się jeszcze bardziej, górna warga niemal zniknęła, a kąćki ust, zawsze mające tendencję do opadania, nadawały jej twarzy odcień goryczy. Niebieskie oczy utraciły blask, jaki pamiętałam z dzieciństwa. Czy to wiek, czy może tak wygląda kobieta, której nikt nigdy nie kochał? W każdym razie tak, jak by potrzebowała czy pragnęła?

Czy wiedziała o Mi Mi i ukrywała to przed dziećmi? Czy powinnam jej powiedzieć o liście? Żuła plasterek pomidora z serem i przyglądała mi się. Nie umiałam określić wyrazu jej twarzy, ale skręcałam się pod tym spojrzeniem.

— Na jak długo wyjeżdżasz?

— Jeszcze nie wiem.

— A twoja praca? Co z tą sprawą w Waszyngtonie, o której mi mówiłaś?

— Nie wiem... Może poczekać ze dwa tygodnie.

— Zwariowałaś? Ryzykujesz swoją karierę. Po co?

Spodziewałam się tego pytania i obawiałam się go.

Nie miałam na nie odpowiedzi. List do Mi Mi liczył sobie czterdzieści lat; nie sądziłam, by miał coś wspólnego z zaginięciem ojca. Nie wiedziałam, kim jest Mi Mi, gdzie się znajduje, jaką rolę odegrała w życiu ojca, czy w ogóle jeszcze żyje. Znałam tylko imię i dawne miejsce zamieszkania — w jakimś miasteczku, którego położenie było dla mnie niejasne. Nie jestem osobą, która działa na żywioł, bardziej ufam memu rozumowi niż instynktom.

A jednak... Musiałam pojechać i zobaczyć — dla siebie samej. Coś mnie tam ciągnęło, moc, której dotąd nie znałam, wobec której byłam bezsilna i nie potrafiłam się jej przeciwstawić za pomocą racjonalnych argumentów. Po raz pierwszy w moim życiu rozum okazywał się niewystarczający.

— Liczysz, że co tam znajdziesz? — dobiegło mnie pytanie matki.

— Prawdę — odparłam. Miało to być stwierdzenie, ale zabrzmiało raczej jak pytanie.

— Prawdę, prawdę — powtórzyła. — Czyją prawdę? Jego?

Twoją? Moją prawdę mogę ci powiedzieć tu i teraz, w trzech zdaniach. O ile cię to interesuje.

Jej głos brzmiał staro i miał w sobie gorycz. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że może się czuć aż tak zraniona. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ani o ich małżeństwie, ani o zdaniu: „Twój ojciec zostawił mnie na długo przedtem, zanim zaginął”.

— Chciałabym wiedzieć, co się stało z moim ojcem. Dlaczego tak trudno ci to zrozumieć?

— Jakie to ma znaczenie? Teraz, po czterech latach od zaginięcia?

— Być może nadal żyje.

— No to co? Nie sądzisz, że gdyby chciał mieć z nami coś wspólnego, to by się skontaktował?

Dostrzegła, że mnie zaskoczyła, i dodała:

— A może masz ochotę zabawić się w detektywa? Zostaw to policji. Skoro znalazłaś coś w jego starych rzeczach, czemu nie przekażesz tego Laurii? Zadzwoń do niego. Będzie zachwycony.

I ja o tym myślałam. W parę godzin po zamówieniu lotu siedziałam w domu, wpatrując się w przestrzeń za oknem, gdy wtem cały pomysł wydał mi się śmiechu wart. W co ja się pakuję? Zachowuję się jak nastolatka, co rzuca wszystko, by gnać za ukochanym na koniec świata. Nawet jako siedemnastolatka nie byłam tak spontaniczna; dlaczego mam być teraz, gdy mam dwadzieścia siedem? Jedno spojrzenie na grafik spotkań ujawniało, jak absurdalny jest w gruncie rzeczy mój plan. Przygotowywaliśmy właśnie grunt do wielkiej fuzji firm telekomunikacyjnych. Na przyszły tydzień wyznaczono decydujące rozmowy w Federalnej Komisji Handlu w Waszyngtonie, a potem negocjacje w Phoenix i Austin.

Gdzie w tym wszystkim jest miejsce dla Mi Mi?

Zapraǳnęłam opowiedzieć Laurii o moim znalezisku. Poprosić go o radę.

— Lauria — usłyszałam głos w słuchawce.

Lauria... To wystarczyło. Z miejsca rozpoznałam ten ton wyrachowania, tę fałszywą kordialność, to sztuczne zainteresowanie. Znałam je dobrze z własnej kancelarii. Znałam je dobrze nawet u siebie samej, gdy rozmawiałam z ludźmi, od których czegoś chciałam czy

potrzebowałam. Usłyszałam jego głos i wiedziałam, że nigdy mu nie powiem o Mi Mi. Sama myśl, że miałby wziąć do ręki list ojca i go czytać, budziła we mnie odrazę. Jakakolwiek krył w sobie zagadkę, nie była to sprawa Laurii. Nie zrozumiałby jej. Podeptałby ją i zniszczył, nawet tego nie zauważywszy.

Zdałam sobie sprawę, że ojciec powierzył mi tajemnicę, skarb, część swego serca, swojej duszy, coś, co było przeznaczone wyłącznie dla mnie. Muszę tego strzec i to chronić.

— Mówi Julia Win. Dzwonię, żeby spytać, czy nie ma jakichś postępów w śledztwie — powiedziałam zmieszana.

— Nie, chyba że pani wiadomo coś nowego.

— Ja? Skąd miałabym coś wiedzieć?

— A z jakiego innego powodu dzwoniłaby pani?

To była krótka rozmowa.

Spojrzałam na matkę.

— No więc?

— Co chcesz wiedzieć?

— Prawdę.

Powoli odłożyła nóż i widelec, dotknęła serwetką kącików ust i upiła łyk wina.

— Prawda jest taka: twój ojciec mnie zdradził. Nie raz i nie dwa. Zdradzał mnie w każdej godzinie, każdego dnia w ciągu tych trzydziestu pięciu lat, które przeżyliśmy jako małżeństwo. Nie z kochanką, która towarzyszyłaby mu potajemnie w podróżach albo z którą spędzałby wieczory, gdy rzekomo miał dłużej pracować w biurze. Nie wiem, czy miał kiedykolwiek romans. To nieważne. Zdradził mnie, bo fałszywie przysięgał. Przysięgał mi siebie — czymże innym jest małżeństwo? Dla mnie przeszedł na katolicyzm. Podczas ślubu powtarzał za księdzem: w dobrych czasach i w złych. Nie mówił tego z przekonaniem. Jego wiara to był fałsz i jego miłość do mnie to był fałsz. Nigdy nie był naprawdę mój, Julio, nawet w dobrych czasach.

Myślisz, że nie pytałam go o przeszłość? Naprawdę sądzisz, że nie obchodziło mnie, gdzie i jak spędził pierwsze dwadzieścia lat swego życia? Kiedy zapytałam go o to po raz pierwszy, pocieszał mnie, spojrzał

na mnie tym swoim łagodnym, budzącym zaufanie spojrzeniem, któremu nie umiałam się jeszcze oprzeć, i obiecał, że któregoś dnia powie mi wszystko. To było, zanim się jeszcze pobraliśmy, wierzyłam mu, ufałam. Potem zaczęłam mu się naprzykrzać. Płakałam, krzyczałam, groziłam rozwodem. Powiedziałam, że się wyprowadzę i wrócę dopiero wtedy, kiedy przestanie mieć przede mną sekrety. Powiedział, że mnie kocha, czy to nie wystarczy? Jak można szczerze przysięgać komuś miłość, jeśli nie jest się gotowym do dzielenia się z tą osobą wszystkim, włącznie z przeszłością?

Kiedy byłaś już na świecie, znalazłam w jednej z jego książek stary list. Napisał go tuż przed naszym ślubem. To był list miłosny do jakiejś kobiety w Birmie. Chciał mi to wytłumaczyć, ale ja nie chciałam słuchać. To dziwne, Julio, ale wyznanie, otwarcie się jest bezwartościowe, jeśli przychodzi w niewłaściwej chwili. Jeśli zdarza się za wcześnie, przytłacza nas; nie jesteśmy na nie gotowi i nie potrafimy go docenić. Jeśli przychodzi za późno, szansa przeminęła, nieufność i rozczarowanie są zbyt wielkie, drzwi się już zatrzasnęły. W obu wypadkach rzecz, która powinna sprzyjać intymności, rodzi dystans. Dla mnie było za późno. Nie interesowały mnie już opowieści o jego dawnych ukochanych; nie zbliżyłyby nas do siebie, pogłębiłyby tylko rany. Powiedziałam mu, że jeśli jeszcze raz zobaczę podobny list, obojętne jak dawny, odejdę od niego i nigdy więcej nie zobaczy ani mnie, ani dzieci. Pomogło. Nigdy więcej nic nie znalazłam, choć co parę tygodni gruntownie sprawdzałam jego rzeczy.

Urwała, dopiła wino i zamówiła kolejny kieliszek. Spróbowałam wziąć ją za rękę, ale cofnęła ją i pokręciła głową. Na to także było za późno.

— Jak mogłam się bronić? Jak mogłam sprawić, żeby zapłacił za to, co mi robił? Postanowiłam, że i ja będę miała sekrety. Coraz rzadziej dzieliłam się z nim myślami i uczuciami, trzymałam je dla siebie. Nigdy nie pytał. Uważał, że gdybym chciała mu coś powiedzieć, podzielić się z nim czymś, zrobiłabym to. I tak żyliśmy w równoległych, nieprzystawalnych światach, aż do dnia, kiedy zniknął.

Wykorzystał mnie. Byłam młoda, nie miałam jeszcze dwudziestu dwóch lat i byłam bardzo naiwna, kiedyśmy się poznali. Na urodzinach u

koleżanki. Do tej pory widzę, jak staje w drzwiach, wysoki i smukły, z tymi pełnymi wargami, które zawsze wydawały się leciutko uśmiechnięte. Był przystojny i kobiety za nim przepadały, czy go to interesowało, czy nie. Być może nawet nie zdawał sobie z tego sprawy... Każda z moich przyjaciółek chętnie by go wzięła. Mocny nos, wysokie czoło i pociągłe policzki nadawały mu wygląd ascety, co szalenie mnie pociągało. Czarne okrągłe okulary podkreślały urodę oczu. Lekkość ruchów, wytworny głos i sposób wysławiania się, wszystko to stwarzało aurę, która robiła wrażenie nawet na moich rodzicach. Stanowił doskonały materiał na zięcia: wykształcony, inteligentny, o nienaganych manierach, pewny siebie bez cienia arogancji. Pomimo to, rzecz jasna, sprzeciwiali się temu małżeństwu. Do śmierci mi nie wybaczyli, że wyszłam za „kolorowego”. Był to pierwszy i ostatni raz, kiedy się naprawdę wobec nich zbuntowałam. Jak wiesz, nie należę do tego typu ludzi. Raz tylko przekroczyłam granicę... i płacę za to przez całe moje życie.

Odetchnęła głęboko. Kelner przyniósł risotto. Stało przed nią, parując, ale go nie tknęła.

— Jedź do Birmy, skoro tego chcesz — powiedziała wyczerpana. — Kiedy wrócisz, o nic cię nie zapytam i nie chcę też, żebyś mi cokolwiek opowiadała. Niezależnie od tego, co tam odkryjesz, już mnie to nie interesuje.

Limuzyna, która miała mnie zawieźć na lotnisko, czekała przed wejściem. Był zimny, jasny poranek. Widać było oddech kierowcy, gdy spacerował przed samochodem z papierosem w ręce. Portier pomógł mi wynieść walizki i władował je do bagażnika. Już miałam wsiadać, kiedy podał mi list. Starsza pani pozostawiła go dla mnie pół godziny temu. Pismo było matki. Dlaczego do mnie nie weszła? Kierowca skręcał z Drugiej Alei w tunel Midtown, kiedy otworzyłam kopertę.

Kochana Julio!

Czytając ten list, będziesz już w drodze do Birmy, rodzinnego kraju twego ojca. Czegokolwiek tam szukasz, życzę ci, żebyś znalazła.

Piszę do Ciebie, bo wciąż mam w głowie naszą rozmowę w Sant Ambroeus. Tego, co mam ci do powiedzenia, nie chciałam omawiać

przez telefon, kiedy żegnałyśmy się wczoraj wieczorem.

Wtedy, podczas lunchu, zareagowałam negatywnie na twoje plany wyjazdu. Zraniły mnie, nie wiem dlaczego. Może to rozczarowanie i żal związane z porażką małżeństwa, które mimo to trwało trzydzieści pięć la? Nigdy nie przyznaliśmy się do tej porażki, ani twój ojciec, ani ja. A może złękłam się, że staniesz po jego stronie? Wybacz mi te myśli.

Miałam noc na przemyślenie twojego pytania o prawdę i obawiam się, że w sobotę zataiłam przed tobą coś ważnego.

Twój ojciec nie chciał się ze mną ożenić. W każdym razie z początku. Od chwili, gdy spytałam go, czy nie moglibyśmy się pobrać, do dnia naszego ślubu minęły dwa lata. Robiłam w tym czasie co się tylko da, żeby go zdobyć. Najpierw powiedział, że za mało o sobie wiemy, że powinniśmy poczekać, aby się lepiej poznać. Później twierdził, że potrzebujemy więcej czasu, bo jesteśmy za młodzi. Na krótko przed ślubem ostrzegwał mnie, że nie będzie mógł mnie kochać tak, jak być może oczekuję. Nie chciałam tego słuchać, nie wierzyłam mu. Jego opór, jego wahania zwiększały tylko moją determinację. Chciałam jego, tylko jego, a nie kogoś innego.

Przez pierwsze parę miesięcy podejrzewałam, że ma w Birmie żonę, ale twierdził, że nie jest żonaty. To wszystko, co powiedział mi o latach spędzonych w swoim kraju. W tamtym czasie zresztą niespecjalnie mnie one interesowały. Byłam pewna, że na dłuższą metę nie oprze się mnie i mojemu uczuciu. Birma była daleko. To ja byłam tą, która zasypia i budzi się obok niego. Chciałam go pokonać. Czy to urażona duma sprawiła, że nie chciałam ustąpić? A może to dobrze wychowane dziecko z porządnej rodziny miało ochotę zbuntować się przeciw rodzicom? Czy był lepszy sposób, żeby zakwestionować świat mojego ojca, niż poślubienie ciemnoskórego mężczyzny?

Długie lata usiłowałam znaleźć odpowiedź na to pytanie. Bez powodzenia. Być może przyczyn było kilka. Kiedy zdałam sobie sprawę, że nie potrafię zmienić twojego ojca tak, jak liczyłam, było już za późno. Najpierw byliśmy razem dla dobra twojego i twego brata. Później zabrakło nam odwagi na separację. Przynajmniej mnie. Co do ojca, nie jestem pewna, jakie właściwie były jego motywacje.

Być może nigdy się tego nie dowiem.

Zależało mi, żebyś się o tym dowiedziała, zanim wyruszysz na poszukiwanie.

Uważaj na siebie.

Niech Bóg cię ma w opiece.

Twoja Judith

Rozdział 6

Choć ledwie się ruszałam ze znużenia i wyczerpania, długo leżałam bezsennie, a kiedy zasnęłam, spałam źle. Pytania nie dawały mi spokoju, wciąż krążyły mi w głowie, tak jakby ktoś nieustannie wykrzykiwał mi je do ucha. W nocy parę razy budziłam się nagle z ostrym drgnięciem, podrywałam się i sprawdzałam czas na małym podróżnym budziku stojącym obok łóżka. Druga trzydzieści. Trzecia dziesięć. Trzecia czterdzieści pięć.

Ranek nie przyniósł poprawy. Obudziłam się od razu w pełni przytomna, z uczuciem, że jestem chora. Bolała mnie głowa, a serce biło tak mocno, jakby ktoś usiadł mi na piersi i przygniatał ją swoim ciężarem. Znałam to uczucie z Nowego Jorku: zdarzało mi się tak w przeddzień ważnych konferencji czy negocjacji.

Przez otwarte okno wpłynął lekki wietrzyk. Czułam, jak pod kołdrę przenika powoli poranny chłód. Pokój wypełniła świeża, egzotyczna woń, której nie potrafiłam zidentyfikować.

Było już jasno. Wstałam i podeszłam do okna. Niebo miało kolor ciemnego błękitu, bez jednej chmurki; słońce wciąż jeszcze kryło się gdzieś za górami. Na trawniku przed hotelem kwitły drzewa, krzewy i kwiaty. Równie dobrze mogły to być ilustracje z książki z baśniami... W życiu nie widziałam w Ameryce tak żywych, ognistych kolorów! Przypominały mi obrazy Basquiata, które zostały w moim nowojorskim mieszkaniu. Nawet maki lśniły czerwienią tak intensywną, jakiej nie zdarzyło mi się dotąd oglądać.

W prysznicu brakowało gorącej wody.

Ściany i sufit jadalni wyłożone były ciemnym, prawie czarnym drewnem. Jeden stolik pod oknem nakryto do posiłku, pozostałe były puste. Byłam jedynym gościem w hotelu.

Podszedł kelner i skłonił się głęboko. Miałam do wyboru herbatę lub kawę i sadzone jajka lub jajecznicę. O płatkach śniadaniowych czy bajglach nigdy nie słyszałam. Nie było ani kielbasek, ani sera.

— Sadzone jajka albo jajecznicza — powtórzył.

— Jajecznicza — zdecydowałam, a on skinął głową.

Patrzyłam, jak znika w obrotowych drzwiach na przeciwległym krańcu ogromnej sali. On także stąpał tak lekko, że nie słychać było kroków. Tak jakby żeglował w powietrzu, kilka centymetrów nad podłogą.

Byłam sama i czułam się niezręcznie w tej ciszy. Miałam wrażenie, że jestem obserwowana, tak jakby puste stoliki i krzesła miały oczy i wodziły nimi za mną, leniwie śledząc każdy mój ruch. Nie byłam przyzwyczajona do spokoju, w każdym razie nie do takiego. Jak długo może trwać przyrządzanie kawy? Smażenie jajeczniczy? Dlaczego z kuchni nie dochodzą żadne głosy ani dźwięki? Przytłaczało mnie to miejsce, wydawało mi się coraz dziwniejsze. Czy to możliwe, że można podkręcić ciszę, tak jak podkręca się dźwięk? Wygląda na to, że tak, bo milczenie gęstniało z chwili na chwilę, aż poczułam ból w uszach, a cisza stała się nie do zniesienia. Odchrząknęłam i zastukałam nożem w stół, żeby coś usłyszeć, cokolwiek... Cisza pochłonęła dźwięki, a przerwana na mgnienie stała się jeszcze bardziej dręcząca.

Wstałam, podeszłam do drzwi prowadzących do ogrodu, otworzyłam je i wyszłam. Było wietrznie. Nigdy jeszcze szelest listowia, brzęczenie pszczoły, cykanie pasikonika nie brzmiały tak kojąco.

Kawa była ledwie ciepła, jajecznicza przypalona. Kelner stał w kącie, uśmiechając się i kłaniając, gdy jadłam przypaloną jajecznicę, piłam letnią kawę i w odpowiedzi uśmiechałam się i kłaniałam również ja. Zamówiłam drugą filiżankę i przekartkowałam mój podróżny przewodnik. Kalaw poświęcono niecałą stroniczkę.

„Usytuowane na zachodniej krawędzi płaskowyżu Shan, popularne wśród Brytyjczyków górskie ustronie. Obecnie cicha, spokojna miejscowość, z zachowaną w dużym stopniu atmosferą z czasów kolonii. Położone na wysokości 4300 m n.p.m., przyjemnie chłodne, idealne miejsce wypadów na piesze wycieczki po sosnowych i bambusowych lasach. Wspaniałe widoki na górskie pasma i widoki prowincji Shan.

Ludność: jedyna w swoim rodzaju mieszanka Shan, Birmańczyków, rozmaitych plemion górskich, birmańskich i hinduskich

muzułmanów oraz Nepalczyków (Gurkhowie służący niegdyś w armii brytyjskiej), z których wielu uczęszczało do szkół misyjnych. Amerykańscy misjonarze uczyli w tutejszych szkołach do lat siedemdziesiątych. Wielu mieszkańców, zwłaszcza starszych, dotąd mówi po angielsku”.

Jako miejsca warte zwiedzenia wymieniono trzy pagody i targ. Podobno były jakieś birmańskie, chińskie i nepalskie restauracje, kino i parę herbaciarni. Mój hotel w stylu Tudorów zaprojektował Anglik; nawet w czasach kolonialnych był wiodącą placówką w okolicy. Oprócz tego istniało sporo małych hotelików i pensjonatów „aby zaspokoić najskromniejsze wymagania”.

Po śniadaniu wyszłam do ogrodu i usiadłam na drewnianej ławce pod sosną. Po porannym chłodzie nie pozostało ani śladu. Wraz ze słońcem przyszedł upał. W powietrzu unosiła się ciężka, słodka woń.

Od czego zacząć poszukiwanie Mi Mi? Jedynym punktem odniesienia był adres na kopercie:

„38 Circular Road
Kalaw, Shan State
Birma”

Adres pochodził sprzed prawie czterdziestu lat.

Rozpaczliwie potrzebowałam jakiegoś pojazdu i miejscowego, który zna okolicę. Czego poza tym?

Wyjęłam notatnik i sporządziłam listę rzeczy, które powinnam załatwić:

1. Wynająć samochód i kierowcę
2. Znaleźć przewodnika
3. Przejrzeć książkę telefoniczną
4. Kupić mapę okolicy
5. Znaleźć miejsce zamieszkania Mi Mi
6. Jeśli się wyprowadziła, wypytać sąsiadów i/lub policję
7. Spytać policję o ojca
8. Sprawdzić główne i/lub lokalne biuro adresowe

9. Być może poszukać innych Amerykanów lub Brytyjczyków
10. Pokazać zdjęcie ojca w herbaciarniach, hotelach i restauracjach
11. Sprawdzić wszystkie hotele, kluby itd.

Tak właśnie przygotowywałam się zawsze do konferencji czy negocjacji z klientami: sporządzanie list, systematyczna analiza problemu. To było coś, co dobrze znałam, dawało mi spokój i pewność.

Hotel polecił mi kierowcę, który mógł służyć także za przewodnika. W tej chwili był w trasie z dwojgiem duńskich turystów, ale miał być dostępny przez parę najbliższych dni. Spodziewano się go w hotelu jeszcze dziś, około ósmej wieczorem. Poczekać na niego? — tak, to miało sens, nawet jeśli oznaczało, że muszę wstrzymać się z poszukiwaniami do jutra. Nie zaszkodzi poza tym, jeśli spytam o Mi Mi tego U Ba, nawet jeśli jest oszustem. Na oko sądząc, spędził całe życie w Kalaw i był mniej więcej w jej wieku. Powinien ją znać.

Właśnie minęła dwunasta i postanowiłam się trochę przebiec. Po długiej podróży moje ciało potrzebowało ruchu. Było wprawdzie gorąco, ale suche górskie powietrze i wiatr sprawiały, że upał dało się wytrzymać. Cieszyłam się dobrą formą i nawet w najbardziej parne i gorące letnie wieczory mogłam przebiec w Central Parku parę kilometrów.

Jogging dobrze mi robił. Wyzwalał mnie. Przestałam się przejmować spojrzeniami; nie musiałam ich unikać, bo byłam skoncentrowana na własnych nogach. Czulałam się tak, jakbym mogła uciec od wszystkiego, co obce i niemiłe, jakbym mogła patrzeć i obserwować, sama pozostając niewidoczna. Pobiegnęłam główną ulicą, minęłam meczet i pagodę, szerokim łukiem okrążyłam targowisko, wyprzedzając po drodze wózki zaprzężone w osły, konne furmanki, paru młodych mnichów. Dopiero teraz, gdy biegłam, zauważyłam, jak powoli i nieśpiesznie, pomimo lekkiego chodu, poruszają się miejscowi. Teraz mogłam im dorównać, potrafiłam ustalić własny krok, nie potrzebowałam dostosowywać się do ich tempa. Czulałam w nogach moc i byłam dumna, że nie maleje nawet po pół godzinie nieprzerwanego biegu. Lekko i bez wysiłku pokonałam wzniesienie drogi, prowadzącej do hotelu.

Wzięłam prysznic, wyciągnęłam się na łóżku i przez jakiś czas odpoczywałam. Czułam się lepiej.

Po drodze do herbaciarni dopadło mnie jednak zmęczenie. Czułam każdy krok. Byłam niespokojna, podminowana, niepewna, co mnie czeka. Nie należałam do ludzi, którzy lubią niespodzianki. Co on zamierza mi powiedzieć, w ile z tego będę mogła uwierzyć? Postanowiłam pytać go o szczegóły. Jeśli będzie się plątał, wstanę i wyjdę.

U Ba już czekał. Wstał, skłonił się i wziął mnie za rękę. Dłonie miał miękkie w dotyku i przyjemnie ciepłe. Usiedliśmy. Zamówił dwie szklanki herbaty i kilka ciastek i patrzył na mnie w milczeniu. Po chwili zamknął oczy, odetchnął głęboko i rozpoczął swoją opowieść.

Rozdział 7

Grudzień w Kalaw jest miesiącem chłodnym. Na błękitnym niebie nie ma ani jednej chmurki. Słońce wędruje z jednego krańca horyzontu na drugi, ale nie wspina się już na tyle wysoko, by dawać prawdziwe ciepło. Powietrze jest czyste i świeże, i tylko najdelikatniejsze nosy mogą nadal wyczuć ślad ciężkiej, słodkiej woni tropikalnej pory deszczowej, kiedy chmury wiszą nisko nad miasteczkiem i doliną, a z niebios nieustannie leją się potoki wody. Jak gdyby po to, by zaspokoić pragnienie spalonego słońcem świata... Pora deszczowa jest gorąca i parna, targowisko śmierdzi psującym się mięsem, na wnętrznościach i czaszkach owiec i krów przesiadują nieruchawe muchy, zbyt ociężałe, by uniknąć niosącego śmierć uderzenia. Nawet ziemia zdaje się pocić. Z jej rozpulchnionych porów wychodzi rozmaite robactwo. Niewinne strumyczki zmieniają się w rwące rzeki i pochłaniają w mgnieniu oka nieopatrzone prosięta, owieczki i dzieci, by wypluć je, już bez życia, w rozciągającej się poniżej dolinie.

Grudniowi obce są takie rzeczy. Grudzień przynosi mieszkańcom Kalaw wytchnienie od niszczących sił przyrody. Niesie z sobą obietnicę zimnych nocy i miłego chłodu w ciągu dnia.

Grudzień jest obłudnikiem, myślała Mya Mya. Siedziała przed domem na stołeczku, patrząc na rozciągające się przed nią pola i dolinę, aż do widocznych w oddali szczytów wzgórz. Powietrze było tak czyste, że zdawało się jej, iż patrzy przez lunetę, sięgając wzrokiem krańców ziemi. Mya Mya nie ufała pogodzie. Choć nigdy w życiu nie widziała chmury na grudniowym niebie, nie wykluczała możliwości nagłej ulewy. Czy tajfunu, nawet jeśli najstarsi ludzie nie pamiętali, by choć jeden dotarł z Zatoki Bengalskiej nad otaczające Kalaw góry. To nie jest niemożliwe, upierała się Mya Mya. Dopóki są na świecie tajfuny, zawsze któryś z nich może spustoszyć jej rodzinną wieś. Może też zatrzęść się ziemia. Nawet w taki dzień, a może zwłaszcza w taki dzień jak dzisiejszy, kiedy nic nie zapowiada katastrofy. Spokój ducha jest

zdradziecki, a zaufanie do losu to luksus, na który Mya Mya — była o tym w głębi serca przekonana — nie mogła sobie pozwolić. Nie było dla niej pokoju ni spoczynku. Nie na tym świecie. Nie w tym życiu.

Nauczyła się tego siedemnaście lat temu, w tamten upalny sierpniowy dzień. Gdy bawili się nad rzeką, ona i jej brat bliźniak. Gdy pośliznął się na kamieniu. Gdy tracąc równowagę, zamachał rozpaczliwie rękami, bezradny niczym przykryta szklanką mucha. Gdy padł w wodę, a ona go porwała. W drogę. Tę wieczną. Mya Mya stała na brzegu i nie mogła mu pomóc. Widziała, jak jego twarz wyłania się z wody jeszcze raz, ostatni.

Pewien ksiądz powiedział, że to wola Boża, próba wiary, jaką Pan w nieskończonej swej mądrości zesłał na ich rodzinę. Niezbadane są sposoby, w jakie działa Pan.

Mnisi buddyjscy szukali przyczyn nieszczęścia w poprzednich wcieleniach chłopca. W jednym z nich musiał popełnić coś strasznego; obecna śmierć była za to karą.

Nazajutrz po wypadku miejscowy astrolog zaproponował własne wyjaśnienie tego, co niewyjaśnialne. Dzieci poszły się bawić na północ, a z ich datą urodzenia, w tę sierpniową sobotę, nie powinny były tego robić. Nic dziwnego, że przydarzyło się nieszczęście. Gdyby wcześniej spytano go o zdanie, byłby ich ostrzegł. Jakie proste jest życie, pomyślała wówczas pięcioletnia Mya Mya, i jakie skomplikowane.

Jakaś jej część umarła wtedy wraz z bratem. Nie urządzono jednak dla tej części ceremonii pogrzebowej. Rodzina nawet nie zauważyła jej odejścia. Rodzice, rolnicy, zajęci byli żniwami, siewem, czworgiem pozostałych dzieci. Mieli parę głodnych gąb do wykarmienia. Dostatecznym problemem było postawienie co wieczór na stole miski ryżu z jarzynami.

Mya Mya, na wpół umarła, była sama, i w latach, które nadeszły, ciężko pracowała, aby przywrócić ład w świecie, który wypadł z zawiasów. Codziennie po południu schodziła nad rzekę, siadała w miejscu, gdzie widziała brata po raz ostatni, i czekała, aż się wynurzy. Rzeka jednak zabrała jego ciało jako łup i nigdy go nie zwróciła. Wieczorem, zanim Mya Mya zasnęła, rozmawiała z bratem, opowiadała mu o minionym dniu, pewna, że ją słyszy. Spała po jego stronie na

dzielonej z nim niegdyś macie, pod jego kocem, i w wiele lat później wciąż miała w nozdrzach jego zapach.

Odmawiała, gdy matka prosiła ją o pomoc, schodząc z praniem do rzeki. Unikała wszelkiej wody, a kąpała się tylko w obecności rodziców. Tak jakby mogła utonąć w wiadrze. W określone dni nosiła określone ubrania, do piętnastego roku życia nie mówiła w soboty ani słowa, w soboty także pościła. Utknęła sobie skomplikowaną sieć rytuałów i w niej zamieszkała.

Rytuały obiecywały bezpieczeństwo.

Od śmierci brata rodzina nie chodziła już do astrologa raz na rok. Teraz konsultowali się z nim niemal co tydzień. Przykucali przed nim, spijając z ust każde jego słowo, i pilnie przestrzegali jego wskazówek, tak jakby mogły ich ochronić od wszelkiego zła tego świata. Radził, aby w określone dni nie jeżdżono do sąsiedniej wsi, więc aby nie ryzykować, w ogóle nie opuszczano w te dni domu i podwórka. Żadne ziarno nie zostało zasiane bez jego przyzwolenia. Nie zaaprobował narzeczonego najstarszej siostry, bo jego układ gwiazd nie zgadzał się z układem dziewczyny.

Mya Mya przejmowała się słowami astrologa jeszcze bardziej niż rodzice. Wielbiła starca i dopóki przestrzegała jego wskazówek, czuła się w miarę bezpiecznie. Jako że urodziła się w czwartek, musiała uważać przede wszystkim w soboty, kiedy szczególnie zagrażało jej nieszczęście — zwłaszcza w kwietniu, sierpniu i grudniu. Stale jej o tym przypominał. Całe lata nie wychodziła więc w sobotę z domu, dopóki pewnej soboty (w kwietniu!) nie zapalił się od kuchennego paleniska leżący w pobliżu koc. Żarłoczne płomienie pochłonęły w parę minut nie tylko drewnianą chatę; obrabowały także Myę Myę z resztek wiary, że istnieje na świecie choć jedno miejsce, gdzie może czuć się bezpieczna.

Zmarzła. Usłyszała trzask płonącego w kuchni ognia i wstała. W kadzi obok pokrywała wodę cienka warstewka lodu, delikatna i krucha. Kopnęła kadełko i patrzyła, jak lód pęka na kawałeczki, szybko pochłonięte przez wodę.

Odetchnęła głęboko, ujęła brzuch obiema rękami i spojrzała po sobie. Była piękną młodą kobietą, nawet jeśli się tak nie czuła i nikt jej nigdy o tym nie mówił. Długie czarne włosy zaplatała w warkocz

sięgający jej niżej pasa. Ciemne, duże, niemal okrągłe oczy i pełne wargi nadawały jej zmysłowy wyraz. Miała długie smukłe palce i muskularne, choć szczupłe ramiona i nogi. Prawie nie przybrała na wadze, nie miała też obrzęków. Tylko brzuch był okrągły, twardy, duży — tak duży, że wydawał się jej czymś obcym, nawet po miesiącach. Jak gdyby nie należał do niej. Poczowała delikatne kopnięcie, i wiedziała: znowu nadchodzą.

Bóle zaczęły się wczoraj wieczorem i pojawiały się co godzinę. Teraz przychodziły co parę minut. Fale uderzające w mury twierdzy, coraz częstsze, wyższe, silniejsze... Mya Mya zdała sobie sprawę, że ją porwały. Walczyła, starając się czegoś uchwycić, ręki, gałęzi, kamienia, ale nie było nic, co by ją zatrzymało. Nie chciała tego dziecka, nie dziś, w sobotę, w grudniu!

Sąsiadka, która wydała na świat już czworo dzieci, uważała, że poród był łatwy, zwłaszcza jak na pierwszy. Mya Mya go właściwie nie pamiętała. Długie godziny żyła w innym świecie. W świecie, gdzie ręce i nogi już jej nie słuchały, gdzie nie była już świadoma swego ciała, w każdym razie tak jak zwykle. Cała była jedną wielką raną. Widziała ciężkie czarne chmury i motylka, co przysiadł jej na czole. Widziała twarz porwanego przez topiel brata. Jeszcze ten jeden jedyny raz. Myśl przepłynęła obok, jak niesione wiatrem piórko kurczaka. Jej dziecko. W tamtą sobotę. Znak? Brat rodzi się na nowo?

Usłyszała krzyk dziecka. Nie kwilenie, a krzyk, pełen buntu i złości. Chłopiec, powiedział ktoś. Mya Mya otworzyła oczy i poszukała wzrokiem brata. Nie, nie tego brzydkiego, pomarszczonego, zakrwawionego potworka. Nie tego bezradnego tłumoczka ze zdeformowaną głową i szpetną, skrzywioną twarzyczką.

Nie miała pojęcia, czego potrzeba dziecku. Weszła w macierzyństwo z pustymi rękami.

Wszelka miłość, jaką w sobie miała, zniknęła. Odpłynęła, zmyta falą. W tamten gorący, skwarny sierpniowy dzień.

Rozdział 8

Nie można powiedzieć, żeby Mya Mya nie starała się podczas tych pierwszych dni życia swego syna. Robiła wszystko, co kazała sąsiadka. Przystawiała go do pełnej, nabrzmiącej piersi i karmiła swym mlekiem. Kołysała do snu lub nosiła na rękach, gdy nie mógł zasnąć. Idąc do wsi po zakupy, zabierała go ze sobą, ciasno przytroczonego do piersi. Nocami leżała bezsennie pomiędzy mężem a dzieckiem, słuchała oddechu maleństwa i starając się oddychać w jego szybkim rytmie, marzyła, by coś poczuć. Poczucie coś, gdy dziecko ssie, gdy chwyta za palec pomarszczoną rączką. Pragnęła, by pojawiło się coś, co wypełni zalegającą wewnątrz niej pustkę. Cokolwiek.

Obracała się na bok i przytulała go do siebie gestem, który był czymś pośrednim pomiędzy omdleniem a przemocą. Przyciskała silniej, i dwoje dużych brązowych oczu patrzyło na nią ze zdziwieniem. Mya Mya nie czuła nic. Matka i syn byli jak dwa odpychające się magnesy. Choćby nie wiem jak przyciskać, nigdy się ze sobą nie zetkną.

Być może była to po prostu kwestia czasu. Być może Mya Mya miała mimo wszystko szansę, być może instynkt karmienia zmieniłby się w przywiązanie, a z przywiązania wykwitnąłby cud miłości — gdyby nie wypadek z kurczakami.

Zdarzyło się to w sobotę, równo w dwa tygodnie po narodzinach dziecka. Tuż po wschodzie słońca Mya Mya wyszła na podwórko, by przynieść drewna do paleniska. Ranek był zimny, śpieszyła się. Rozglądając się za gałązkami na podpałkę i paroma solidniejszymi polanami, poszła za dom, gdzie przed kupą narąbanych drewek leżał martwy kurczak. O mało na niego nie nadepnęła. Tuż przed dwunastą — w godzinie przyjścia dziecka na świat — znalazła drugiego, wkrótce potem trzeciego i czwartego, a po południu koguta. Jej mąż obejrzał martwe ptaki, nic jednak nie znalazł. Jeszcze wieczorem puszyły się w obejściu, pogdakując zadziornie, nie było też żadnych oznak, że zadusił je kot, pies czy tym bardziej tygrys. Dla Myi Myi sprawa była oczywista:

te zwłoki potwierdzały jej najgorsze obawy. To była ta nagła ulewa — nie, gorzej: tajfun — w grudniu, trzęsienie ziemi, którego zawsze się bała i sekretnie pragnęła. Na jej synu ciążyła klątwa. Był zwiastunem nieszczęścia. Przepowiedział to przecież astrolog. Nie powinna była w żadnym razie rodzić dziecka w sobotę, zwłaszcza w grudniu!

Nawet fakt, że w kolejnych dniach zdechło w taki sam tajemniczy sposób ponad tuzin kurcząt sąsiadów, nie stanowił dla niej żadnej pociechy. Przeciwnie — było jeszcze gorzej, niż myślała. Teraz wiedziała, że to dopiero początek i że pech, który przyniósł ze sobą chłopczyk, nie ogranicza się do ich rodziny.

Nocami leżała bezsennie, drżąc przed kolejną katastrofą. Wiedziała, że to tylko kwestia czasu. Każdy kaszel, sapnięcie czy westchnienie brzmiało jak zapowiadający burzę grzmot. Wyteżała słuch, ilekroć dziecko się poruszyło, sama nie odważając się nawet drgnąć. Tak jakby nawet jego oddech był odgłosem kroków zbliżającej się podstępnie katastrofy.

W tydzień później straciła pokarm. Piersi obwisły jej niczym dwa baloniki, z których uszło powietrze. Karmienie przejęła znajoma sąsiadki, która akurat urodziła własne dziecko. Mya Mya radowała się każdą chwilą, kiedy jej syn był poza domem. Czuła, że trzeba rozmówić się z mężem. Dłużej tak nie mogło być. Musieli coś z tym zrobić.

Rozdział 9

Khin Maung utrzymywał, że żona przesadza. On też oczywiście wierzył w potęgę gwiazd. Każdy wie, że dzień, godzina, nawet minuta przyjscia na świat wprowadza ludzkie życie na określony tor — co do tego raczej nie było wątpliwości. Wiadomo też, że są różne drobiazgi, które należy obserwować, dni, kiedy lepiej powstrzymać się od aktywności, rytuały, których trzeba przestrzegać, aby uniknąć nieszczęścia; także tej sprawie Khin Maung zgadzał się z żoną. Narodziny w grudniu, w sobotę, w nikim nie budzą entuzjazmu, to jasne. Wiadomo, że gwiazdy nie patrzą przychylnie na takie dzieci, że czeka je trudne życie, że ich dusze rzadko rozpościerają skrzydła. Każda rodzina miała wujka czy ciotkę, a przynajmniej sąsiada czy sąsiadkę, czy znajomą sąsiadki, która знаła kogoś, kto miał krewnego urodzonego w ten niefortunny dzień, i osoba ta przekradała się chyłkiem przez życie niczym bity pies, była karłowata i niedorozwinięta jak pozbawiona słońca roślina. Ich syn nie będzie miał łatwo, co do tego Khin Maung nie miał złudzeń, ale wyciągnąć z tego wniosek, że jest przeklęty — to już trochę za wiele (nawet jeśli wypadek z kurczętami zmartwił i jego, choć oczywiście nigdy nie przyznałby się do tego przed żoną). Kiedy Mya Mya zaproponowała, aby poradzili się astrologa, Khin Maung skwapliwie wyraził zgodę, i to nie tylko dlatego, że należał do ludzi, którzy nie lubią mówić „nie”. Miał także nadzieję, iż starzec zdoła pocieszyć żonę swą mądrością, a jeśli gwiazdy potwierdzą jej obawy, może poradzi, jak zmniejszyć rozmiary grożącego ich dziecku nieszczęścia, a może nawet mu zapobiec.

Astrolog mieszkał w niepozornej drewnianej chacie na skraju wioski. Nic nie zdradzało estymy, jaką cieszył się w miejscowej społeczności. Ani jednego domu nie postawiono, nie zapytawszy go uprzednio, czy to właściwe miejsce pod budowę albo czy w dniu, kiedy zaplanowano jej rozpoczęcie, gwiazdy są przychylne czy nie. Przed każdym weselem przyszli małżonkowie lub ich rodzice szli do niego,

aby się upewnić, czy horoskopy narzeczonych do siebie pasują. Astrolog pytał gwiazdy o najwłaściwszą datę polowania czy podróży do stolicy. Z czasem przekonano się, że jego przepowiednie są tak trafne, iż ludzie ściągali do niego z najodleglejszych zakątków prowincji. Miał tak znakomitą reputację, że podobno — nikt nie wiedział na pewno, ale stale krążyły takie pogłoski — nawet wielu spośród mieszkających w Kalaw Anglików, którzy publicznie wyśmiewali birmańską astrologię jako przesad i oszukaństwo, regularnie go odwiedzało, pytając o radę.

Starzec siedział w pozycji lotosu pośrodku niewielkiej izby. Głowa okrągła jak księżyc w pełni, pomyślał Khin Maung. Oczy, nos i usta były jednakowo kształtne, tylko duże odstające uszy psuły obraz doskonale harmonijnych rysów. Nikt nie wiedział, ile ma lat; nawet najstarsi w wiosce twierdzili, że nie pamiętają go młodym, i stąd wszyscy uważali, że ma dobrze ponad osiemdziesiątkę. Sam jednak nigdy o tym nie mówił, a jego ciało i przytomny umysł zdawały się opierać niszczącym wpływom czasu. Głos miał zawsze łagodny i cichy, a wzrok i słuch były nienaganne jak u dwudziestolatka. Twarz pomarszczyła mu się z biegiem lat, ale skóra nie zwisała w fałdach, jak zwykle bywa u staruszków.

Khin Maung i Mya Mya skłonili się i przystanęli z wahaniem w progu. Mya Mya od dzieciństwa siadywała naprzeciw starca tak często, że już dawno temu przestała liczyć te wizyty, za każdym razem jednak coś czuła w kolanach i w żołądku. Żadnej poufałości, wyłącznie respekt, lęk nawet.

Dla Khina Maunga była to pierwsza wizyta i szacunek mieszał się u niego z ciekawością. Jego rodzice zawsze odwiedzali astrologa sami i nawet przed jego ślubem z Myą Myą to oni poszli spytać, czy właściwie wybrali narzeczoną dla syna.

Zanim Khin Maung skłonił się po raz drugi, rzucił okiem na pomieszczenie. Podłoga i ściany były z ciemnego drewna tekowego. W snopach światła wpadających przez dwa otwarte okna tańczyły drobinki kurzu. Słońce nakreśliło na podłodze dwa prostokąty, lśniące na gładkim ze starości drewnie. To lśnienie miało w sobie jakąś moc, która sprawiła, że Khin Maung zadrżał. Potem dostrzegł wyrzeźbiony w drewnie, połyskujący złotem posążek Buddy. Nigdy w życiu nie widział tak pięknego. Padł na kolana i skłonił się tak nisko, że czołem dotknął

podłogi. Przed Buddą stały dwa bukiety kwiatów i miska z ofiarami. Ktoś pieczołowicie ułożył cztery pomarańcze w piramidkę; obok leżały dwa banany, papaja i parę porcji herbaty, zręcznie uformowanej w mały kopczyk. Ściany pokrywały kartki papieru, wypełnione mikroskopijnymi cyferkami i literkami. W każdym kącie stała wypełniona piaskiem waza, w której tliły się kadzidełka.

Starzec skinął głową. Khin Maung i Mya Mya przyklękli przed nim na słomianej macie. Mya Mya nie słyszała i nie czuła nic poza oszalałym biciem własnego serca. To Khin Maung miał rozpocząć rozmowę, zadawać pytania; wcześniej powiedziała mu to jasno i niedwuznacznie. Byli małżeństwem niespełna rok, ale aż za dobrze znała bierność męża. Był człowiekiem spokojnym i potrafił przez cały wieczór wypowiedzieć nie więcej niż kilka zdań. Nigdy nie widziała, żeby się zirytował, rozgniewał czy wzburzył. Nawet radość czy zadowolenie trudno było u niego zauważyć. Przelotny uśmiech na twarzy — to wszystko, co ujawniał ze swych emocji. Nie był niedołągą, przeciwnie, należał do najpracowitszych rolników we wsi i nierzadko orał pole na długo przed innymi, jeszcze przed brzaskiem. Życie wydawało mu się jednak spokojną rzeką, której bieg jest w zasadzie z góry ustalony. Wszelkie próby dokonania w nim jakichś istotnych zmian są skazane na niepowodzenie. Khin Maung był pracowity bez ambicji, ciekawy bez zadawania pytań, szczęśliwy bez promieniowania radością.

— Czcigodny mistrzu — usłyszała Mya Mya po długiej pauzie cichy głos męża — przyszliśmy prosić was o radę.

Starzec skinął głową.

— Nasz syn urodził się w sobotę trzy tygodnie temu, i chcielibyśmy wiedzieć, czy grozi mu nieszczęście.

Stary wziął do ręki kredę i tabliczkę i spytał o dokładną datę i godzinę narodzin.

— Trzeciego grudnia o jedenastej czterdzieści — powiedział Khin.

Astrolog wpisał liczby w małe okienka i rozpoczął obliczenia. Dodał kolejne liczby i znaki, wykreślił inne i narysował różnymi liniami parę pełnych kół i półkoli. Jak gdyby pisał partyturę życia.

Po paru minutach odłożył tabliczkę, podniósł wzrok i wpatrzył się w Myę Myę i Khina. Z jego twarzy zniknął wszelki ślad uśmiechu.

— Dziecko przyniesie zmartwienie rodzicom — powiedział. — Wielkie zmartwienie.

Mya Mya miała wrażenie, że zapada się w trzęsawisko. Coś wciągało ją w głąb, wsysało, i nie było dla niej ratunku, nic, czego można by się uchwycić, żadnej ręki, żadnej gałęzi.

Słyszała głosy starca i męża, ale nie docierało już do niej, co mówią. Były stłumione, jakby docierały z daleka. Z innego pokoju, z innego życia. Wielkie zmartwienie.

— Jakiego rodzaju zmartwienie? — spytał Khin Maung.

— Różnorodne zmartwienia, zwłaszcza związane ze zdrowiem — odpowiedział stary.

Wziął tabliczkę i zaczął na nowo kreślić i rachować.

— W głowie — powiedział w końcu.

— Gdzie w głowie? — spytał Khin Maung, słowo po słowie, wymawiając je powoli i z naciskiem, tak jakby budował każdą literę z pojedynczych części. Kiedy wspominał to później, był zdumiony tym nietypowym dla siebie wybuchem ciekawości i natarczywości.

Stary spojrzał na tabliczkę, która odkrywała przed nim wszelkie tajemnice wszechświata. Była to księga życia i śmierci, księga miłości. Mógł opowiedzieć rodzicom o tym, co jeszcze widział, o wyjątkowych zdolnościach, które rozwiną się w dziecku, o magii i mocy, co drzemią w tej istocie, i o darze miłości. Wiedział jednak, że Mya Mya go nie słucha, a Khin Maung nie zrozumie.

Powiedział więc:

— W oczach.

Mya Mya nie zarejestrowała tego fragmentu rozmowy, a i później, w drodze do domu, gdy jej mąż popadł w słowotok, jakiego nigdy w życiu z jego ust nie słyszała, szła, niczego nie rozumiejąc. Słowa przelatywały jej przez głowę jak muchy. Wielkie zmartwienie.

W kolejnych miesiącach Khin Maung parę razy próbował wytłumaczyć żonie, że astrolog istotnie mówił o zmartwieniu, nawet o wielkim zmartwieniu, ale głównie związanym ze zdrowiem, i że nie było mowy o żadnej klątwie czy zwiastunie nieszczęścia. Nie słuchała. Widział to po jej oczach. Widział po tym, jak traktowała syna, brała na rękę, nie dotykając go, patrzyła na niego, nie widząc.

Tin Win nie miał jeszcze dwudziestu jeden dni, gdy — przynajmniej z punktu widzenia jego matki — jego życie zostało przesądzone. Przeżyte. Przekreślone. Jedyne, co pozostało, to przyzwyczajenie dotrwać do końca.

Dla niej okazało się to zbyt trudne.

Rozdział 10

Teraz, gdy wypowiedziały się gwiazdy, a los dziecka został przesądzony, Mya Mya odzyskała dobry sen. Wiedziała, czego się spodziewać. Pośród niepowodzeń i wyroków losu czuła się w swoim żywiole; radość i szczęście, jako dziwne i mało znane, budziły w niej lęk. Nie musiała się już dręczyć fałszywymi nadziejami, żadne złudzenia nie podgryzały jej duszy, żadne marzenia nie pobudzały wyobraźni do szaleństw. To ją uspokajało.

Teraz więc, po wizycie u astrologa, to Khin Maung leżał po nocach bezsennie obok śpiącej żony i dziecka, a najgorsze myśli wyprawiały w jego głowie swe sztuczki. Może starzec się pomylił? Czy naprawdę jest coś takiego jak los, którego nie da się uniknąć? Jeśli nie my kierujemy własnym życiem, to kto w takim razie? Nie chciał słuchać gwiazd.

— Mya Mya, Mya Mya — szepnął tej pierwszej nocy, podnosząc się w pościeli. Żona spała obok niego.

— Mya Mya. — Zabrzmiało to jak zakłęcie.

Otworzyła oczy.

Była bezchmurna, księżycowa noc i w bladym świetle wpadającym przez okno widział zarys jej twarzy, ruchy oczu, wąski nos. Pomyślał, że jest piękna i że nigdy dotąd tego nie zauważył. Ożenił się z nią, bo wybrali ją dla niego rodzice. Miłość przyjdzie później, zapewniali, a on im wierzył. Po pierwsze dlatego, że zawsze robił, co mu mówili, a po drugie — bo miał jedynie bardzo mgliste pojęcie o miłości. Uważał ją za dar, łaskę, jaką zostają obdarzeni tylko niektórzy, inni zaś nie. Nikt nie był do niej uprawniony.

— Mya Mya, musimy, powinniśmy, nie wolno nam... — Tak wiele chciał jej przekazać.

— Wiem, Khin — powiedziała, podnosząc się. — Wiem.

Przysunęła się, objęła go za głowę i przytuliła ją do piersi. Rzadki gest u Myi Myi, dla której czułość była luksusem, rozrzutnością, tak jak

gorąca woda rankiem czy uśmiech przy rozstaniu. To coś dla marzycieli albo ludzi, co mają za dużo czasu, siły i uczuć. Nie należała do żadnej z tych kategorii.

Mya Mya sądziła, że wie, co się dzieje z jej mężem, i współczuła mu. Z bicia jego serca, drżenia ciała, tego, jak obejmował ją ramionami, wyczuwała, że będzie potrzebował czasu. Nadal wierzył, że mogą się obronić, że być może istnieje szansa zmiany tego, czego zmienić się już nie da.

Khin Maung leżał w jej ramionach i mówił. Niegłośno, nie do niej. Nie rozumiała z tego ani słowa. Mówił do siebie, szybko, bez przerwy. W jego szepcie było żądanie, bunt, pogrożka niemal, potem prośba, zaklinanie, zwątpienie. Nieprzerwany, niewysychający potok słów, tak jakby siedział przy łożu umierającego i jego głos, tylko jego głos mógł utrzymać pacjenta przy życiu.

Chciał walczyć o syna. Każde życie zawiera obietnicę, mówił sobie, i jeśli chodzi o ich syna, to on, Khin Maung, zbada każdą możliwość, by ta obietnica się spełniła. Jeśli musi się to odbyć bez pomocy żony, trudno, niech będzie i tak.

To właśnie chciał jej powiedzieć rano jako pierwsze, jeszcze przed śniadaniem. Po czym zasnął.

Okazja do rozmowy nigdy się nie nadarzy, ani przed śniadaniem, ani wieczorem, po powrocie z pola.

Kolejnej nocy przypomniał sobie wszystkie szczegóły ich wizyty u astrologa. Przed oczami pojawił mu się dom, najpierw zamglony, potem coraz wyraźniejszy, jak krajobraz, gdy podnosi się mgła. Zobaczył pokój, świece, kadzidelka, tabliczkę, co odkrywa tajemnice życia. Wielką księgę miłości. Usłyszał to, co mówił starzec, pozwolił, by zdania przepływały przez jego umysł, powoli, słowo po słowie. Nie było mowy o żadnej klątwie. Powie o tym żonie. Wczesnie rano. Okazja nigdy się nie nadarzyła.

Tak mijały noce. I dni. Gdyby Khin Maung był innym człowiekiem, nie czekałby na okazję, sam by jej poszukał i chwycił ją w garść. Nie leżało to jednak w jego naturze. Musiałby przekroczyć granice, swoje własne granice, a on nie był herosem. Stać go było tylko na myśli, a i one nie trwały długo; wkrótce jego siły się wyczerpały.

Wątpliwości powróciły, a raz złamawszy opór, rzuciły się na niego jak szczury i sępy na padlinę. Gwiazdy miały rację. W sobotę w grudniu. Wielkie zmartwienia różnego typu. Czy można jaśniej?

Wkrótce po wypadku z kurczętami — w osiem tygodni po narodzinach chłopca — umarła krewna, cioteczna babka. Była już wprawdzie bardzo stara, chorowała i od lat nie opuszczała chaty, i przez chwilę Khin Mingh chciał zwrócić na to uwagę żony. Przez krótką chwilę. Potem także zobaczył w tym znak i nie potrafił się żonie przeciwstawić.

I tak wycofał się z życia syna. Pocieszał się, że to przecież dopiero pierwsze z wielu dzieci, jakie będą z Myą Myą mieli, i nie wszystkie przyjdą na świat w sobotę w grudniu, kwietniu czy sierpniu. Porzucił pole i zaczął pracować jako ogrodnik i wózkowy na polu golfowym Anglików. Opłacało się to lepiej niż uprawa roli, pozwalało także unikać domu nawet w porze suchej, kiedy rolnik niewiele ma w polu do roboty. W golfa gra się przez cały rok.

Mya Mya oddała się prowadzeniu domu. Mieszkali w chatce z drewna i błota za wielką, dwupiętrową willą, która należała do dalekiego wuja Khin Maunga. Willa stała na górującym ponad wioską wzgórzu i jak większość domów kolonialnych panów w Kalaw, zbudowano ją w stylu Tudorów. Miejscowość była popularna zwłaszcza w porze suchej. Kiedy w stolicy, Rangunie, i w Mandalay temperatura sięgała czterdziestu stopni, wówczas Kalaw, położone ponad tysiąc dwieście metrów nad poziomem morza, dawało wytchnienie od upałów nizin i delty. Anglicy, którzy pozostawali w Birmie po przejściu na emeryturę, nierzadko przeprowadzali się do któregoś z górskich ośrodków, takich jak Kalaw. Willę zbudował sobie na czas emerytury pewien angielski oficer, niestety, na dwa tygodnie przed odejściem ze służby Jego Królewskiej Mości nie wrócił z polowania na tygrysa.

Wdowa po nim sprzedała dom wujowi Khin Maunga, który zyskał w Rangunie pewien szacunek i sporą fortunę jako ryżowy magnat. Był jednym z niewielu, którzy zdołali się urządzić na rynku zdominowanym przez mniejszość hinduską, i stał się jednym z najbogatszych Birmańczyków w kraju. Willa nie miała dla niego żadnej praktycznej wartości. Miał ją od sześciu lat i nawet jej jeszcze nie widział. Była

jednak znakiem jego zamożności, symbolem pozycji, obliczonym na to, że sama wzmianka o nim zrobi wrażenie na kontrahentach w stolicy. To właśnie do Myi Myi i Khin Maunga należało doglądanie posiadłości i utrzymywanie jej w ciągłej gotowości, tak jakby w każdej chwili mógł się pojawić jej pan. Od narodzin syna Mya Mya oddała tej sprawie całą swą energię. Codziennie froterowała podłogi, tak jakby chodziło o to, by zmieniły się w lustra. Każdego ranka ścierała kurz na półkach, a wieczorem jeszcze raz, choć w ciągu minionych dwunastu godzin nie zdążył osiąść na nich nawet pyłek. Co tydzień myła okna i strzygła trawnik za pomocą nożyc, bo w ten sposób mogła to zrobić staranniej niż kosiarką. Trzymała w ryzach bujne, niesforne bugenwille i z oddaniem pielęgnowała kwiaty w doniczkach.

Mya Mya zobaczyła przez okno, że zboczem wzgórza podchodzi dwóch policjantów. Stała właśnie przy kuchni i skrobała marchew. Był jeden z tych zimnych, jasnych grudniowych dni, a Mya Mya się śpieszyła. Zbyt wiele czasu zajęło jej froterowanie podłóg na piętrze i martwiła się teraz, że nie skończy do wieczora z kuchnią. Jeśli pan jutro przyjedzie, nie zastanie rezydencji w nienagannym stanie, a wtedy cała praca poprzednich kilku lat pójdzie na marne, gdyż uzna on, że Mya Mya nie dba o jego posiadłość jak należy. Jeden dzień nieładu znaczy więcej niż tysiąc dni porządku, myślała, spoglądając w dolinę.

Wspinając się zboczem, funkcjonariusze w sztywnych niebieskich uniformach nie poszli drogą używaną przez wózki zaprzężone w osły i nieliczne samochody. Wybrali wąską ścieżkę, która wiała się serpentynami najpierw w sosnowym lesie, a potem pośród pól aż na szczyt. Mya Mya widziała, jak nadchodzą, widziała ich twarze i poczuła, że narasta w niej panika. Były to szóste urodziny Tin Wina, a ona zawsze mocno wierzyła, że zwłaszcza w rocznice jego przyjścia na świat powinna być gotowa na wszelkie możliwe katastrofy.

Dwa oddechy wystarczyły, by opanowało ją przerażenie, jej duszę, umysł i ciało. Żołądek i wnętrzności skręciły się konwulsyjnie, tak jakby zacisnęły się na nich gigantyczne dłonie. Coraz ciaśniej, ciaśniej... Nie mogła złapać tchu. Słyszała siebie, jak jęczy. Słyszała, jak prosi. Słyszała, jak błaga. Niech się to nie sprawdzi.

Mężczyźni otworzyli furtkę, weszli na podwórko, zamknęli furtkę za sobą. Powoli podeszli do Myi Myi. Wyczuwała opór w ich ruchach, a każdy krok był dla niej jak kopniak. Młodszy szedł z pochyloną głową, starszy patrzył jej w oczy. Widywała go czasem we wsi. Ich oczy się spotkały i przez mgnienie równe uderzeniu serca Mya Mya potrafiła czytać w jego myślach. To wystarczyło. Wiedziała już wszystko — i strach, ten potwór, co ją pożerał, zniknął równie szybko, jak się pojawił. Wiedziała, że dosięgło ją straszne nieszczęście, że nikt nie jest w stanie go odwrócić, że odtąd nic w jej życiu nie będzie takie jak dotąd, że zdarza jej się to już po raz trzeci i że nie ma siły, aby to udźwignąć.

Policjanci stanęli przed nią. Młodszy wciąż nie odważał się podnieść wzroku.

— Twój mąż miał wypadek — powiedział starszy.

— Wiem — odparła Mya Mya.

— Nie żyje.

Mya Mya nie odezwała się. Nie usiadła. Nie zapłakała. Nie podniosła głośnego lamentu. Milczała. (Skamieniała, powiedział wieczorem starszy z policjantów do żony.)

Słyszała, jak mężczyźni mówią coś o wypadku, o piłce golfowej, którą podobno sprowadził z kursu podmuch wiatru. Prosto w skroń. Zabity na miejscu. Anglicy wzięli na siebie koszty pogrzebu. Mała rekompensata. Żadnego uznania jakiegokolwiek winy. Gest współczucia. Nic więcej.

Mya Mya skinęła głową.

Kiedy policjanci poszli, rozejrzała się w poszukiwaniu syna. Siedział sam za domem i się bawił. Obok niego leżała kupa sosnowych szyszek; próbował je wrzucać do dołka, który wykopał parę metrów dalej. Większość znacznie chybiała celu.

Chciała go zawołać, powiedzieć, że jego ojciec nie żyje. Ale po co? Prawdopodobnie już o tym wiedział. To on był przecież tym, który sprowadził nieszczęście, i Mya Mya zauważyła, że po raz pierwszy przyznaje się sama przed sobą, iż go o to oskarża. To nie był tylko niekorzystny układ gwiazd; to Tin Win, ten niepozorny chłopczyk o czarnych włosach, z tymi zagadkowymi oczyma, tak nieprzeniknionymi, że nigdy nie wiedziała, czy naprawdę na nią patrzy. Niczego nie umiała z

nich wyczytać. To on sprowadził tragedię, on zasiał spustoszenie w ich domu. Zrobił to tak samo, jak jak inne dzieci budują szałas czy bawią się w chowanego.

Zaprzagnęła pozostawić to wszystko za sobą. Nigdy więcej nie oglądać dziecka.

W ciągu następnych trzydziestu sześciu godzin zachowywała się jak człowiek, który ma w głowie tylko jeden cel, cel, któremu podporządkowuje wszystko inne. Odgrywała rolę pogrążonej w żałobie wdowy, przyjmowała sąsiadów i znajomych, nazajutrz urządziła pogrzeb, stała nad otwartym grobem męża i patrzyła, jak znika w ziemi drewniana trumna.

Rankiem następnego dnia spakowała swoje rzeczy — parę bluzek i *longyi*, zapasowe sandały, grzebień, klamrę do włosów — do starej mężowskiej torby na piłki golfowe, którą przyniósł kiedyś z klubu. Tin Win obserwował matkę w milczeniu.

— Muszę wyjechać na parę dni — rzekła, nie patrząc na niego.

Syn milczał.

Wyszła. Syn pobiegł za nią. Obejrzała się. Przystanął.

— Nie wolno ci ze mną iść — powiedziała.

— Kiedy wrócisz? — spytał.

— Niedługo — odparła.

Odwróciła się i ruszyła do furtki. Usłyszała za sobą jego lekkie kroki. Obejrzała się.

— Nie słyszałeś, co mówiłam?

Syn pokiwał głową.

— Zostajesz. — Wskazała pniak po ściętej sośnie. — Możesz tu usiąść i czekać na mnie.

Tin Win podbiegł do wysokiego pniaka i wgramolił się nań. Miał stąd dobry widok na ścieżkę, prowadzącą do ich domu. Mya Mya ruszyła do furtki. Nie oglądając się, otworzyła ją i zamknęła. Szła szybko i wkrótce skręciła na widniejącą w dole drogę do wioski.

Tin Win patrzył w ślad za nią. Widział, jak idzie wśród pól, jak znika w lesie. To był dobry punkt. Stąd będzie widział, jak matka wraca nawet z bardzo daleka.

Rozdział 11

Tin Win czekał.

Czekał do wieczora i przez noc. Siedział w kucki na pieńku, nie czuł ani głodu, ani pragnienia, ani nawet zimna, które spadło o zmroku na góry i doliny. Przepłynęło, nie dotykając go, niczym ptak nad leśną polaną.

Czekał nazajutrz. Obserwował, jak się ściemnia, a potem jak płot, krzaki i pola ponownie wyłaniają się z ciemności. Wpatrywał się w dal, tam, gdzie był las, ledwie ledwie dostrzegalny. Stamtąd nadejdzie matka, jej czerwony żakiet rozpozna nawet z daleka, zejdzie wtedy z pieńka, przelezie przez płot i rzuci się ku niej. Będzie krzyczał z radości na cały głos, a ona przyklęknie i chwyci go w ramiona, i przytuli. Bardzo mocno.

Tak właśnie wyobrażał sobie często tę scenę, bawiąc się samotnie i marząc, choć w rzeczywistości matka ani ojciec nigdy się nie schylili, żeby wziąć go na ręce, nawet kiedy stał obok, obejmując ich za nogi. Czuł ich opór nawet przed dotykaniem go. To była jego wina, co do tego nie miał wątpliwości, to była kara, słuszna kara, i choć nie wiedział za co, miał nadzieję, że jakiegokolwiek przestępstwo popełnił, czas pokuty wkrótce się zakończy. Nadzieja ta była tym żarliwsza teraz, gdy złożyli zimnego, sztywnego ojca do trumny i pochowali w głębokim dole. Tęsknota za matką i jej miłością kazała mu trwać na tym pniaku i cierpliwie wypatrywać na horyzoncie czerwonego punktu.

Trzeciego dnia sąsiadka przyniosła mu wody i miskę ryżu z warzywami i spytała, czy nie wolałby czekać u nich w domu. Pokręcił gwałtownie głową. Tak jakby stamtąd miał przeoczyć matkę. Nie tknął jedzenia, chciał je zachować dla niej, podzielić się z nią, gdy wróci głodna z długiej podróży.

Czwartego dnia upił troszkę wody.

Piątego dnia przyszła Su Kyi, siostra sąsiadki. Przyniosła czajnik herbaty i następną porcję ryżu, i banany. Tego też nie tknął, pochłonięty

myślami o matce. To już przecież nie potrwa długo. Wkrótce, powiedziała.

Szóstego dnia przestał rozróżniać poszczególne drzewa. Las się zamglił, tak jakby Tin Win miał wodę w oczach. Wyglądał jak powiewająca na wietrze szmatka, poznaczona czerwonymi punkcikami. Zbliżały się do niego, coraz większe, ale to nie były żakiety; to były czerwone piłki, miotane gwałtownie w jego stronę. Przelatywały ze świstem na prawo, na lewo albo tuż nad głową, tak blisko, że czuł ciąg powietrza. Inne leciały wprost na niego, by w ostatniej chwili, dosłownie o parę centymetrów, utracić rozpęd i uderzyć tuż przed nim o ziemię.

Siódmego dnia siedział w kucki na swoim pieńku, sztywny i nieruchomy. Su Kyi, zobaczywszy go, pomyślała, że nie żyje. Był zimny i biały jak szron, co pokrywa trawę przed domem w szczególnie zimne styczniowe poranki. Twarz miał zapadłą, ciało było jak pusta skorupa, jak pozbawiony życia kokon. Dopiero gdy podeszła bliżej, dostrzegła, że oddycha, że pod koszulą wątła pierś trzepocze jak kupiona na targu ryba, usiłująca chwycić powietrze w jej kuchni.

Tin Win nie widział jej ani nie słyszał. Świat wokół niego okryła mlecznobiała mgła, w której powoli, lecz pewnie się rozpląwał. Jego serce biło. Wciąż było w nim dosyć życia, ale zniknęła nadzieja i dlatego wyglądał jak umarły.

Poczuł, że dotykają go jakieś ręce, dźwigają go, obejmują i dokądś niosą.

To właśnie Su Kyi się nim zaopiekowała. Energiczna starsza kobieta o niskim głosie i śmiechu, na którym próby życia nie zostawiały nawet śladu. Jedyne jej dziecko zmarło przy urodzeniu, w rok później umarł na malarię mąż. Po jego śmierci była zmuszona sprzedać chatę, której budowę dopiero co skończyli. Odtąd mieszkała u krewnych, raczej tolerowana niż mile widziana. W oczach rodziny była dziwną, trochę niesamowitą starszą kobietą o ekscentrycznych poglądach na życie i śmierć. W przeciwieństwie do innych ludzi nie dostrzegała głębszego znaczenia w nieszczęściach, jakie przyniósł jej los, nie wierzyła też, by to niekorzystny układ gwiazd spowodował śmierć jej bliskich. Był to tylko dowód, że los jest kapryśny, co trzeba zaakceptować, jeśli chcemy kochać życie. A ona je kochała. Była przekonana, że mało co w życiu

jest z góry przeznaczone, a szczęście może znaleźć sobie dom w każdym człowieku. Nie ośmielała się mówić tego na głos, ale wszyscy znali jej przekonania, i one to uczyniły z niej pierwszą sojuszniczkę Tin Wina.

Często w ciągu minionych lat obserwowała syna sąsiadów i zdumiewała się jego jasną cerą, przypominającą lekki brąz spadłych sosnowych igieł albo liści eukaliptusa, o wiele jaśniejszą niż u rodziców. Obserwowała, jak z małego dziecka wyrasta wysoki, niemal wiotki chłopiec, nieśmiały jak te sowy, których pohukiwania tak często słyszała, ale nigdy nie udało jej się ich wypatrzeć, chłopiec, którego nigdy nie widziała w towarzystwie innych dzieci.

Spotkała go kiedyś w lesie. Szła do wsi, a on siedział pod sosną i obserwował zieloną gąsienicę, pełznącą mu po ręce.

— Co ty tu robisz w lesie, Tin Win? — spytała.

— Bawię się — odparł, nie podnosząc wzroku.

— Czemu tak całkiem sam?

— Nie jestem sam.

— A gdzie są twoi koledzy?

— Wszędzie. Nie widzisz?

Su Kyi rozejrzała się wokół. Nikogo nie było.

— Nie — powiedziała.

— Moi koledzy to żuki, gąsienice i motyle. I drzewa. Drzewa to moi najlepsi przyjaciele.

— Drzewa? — spytała zaskoczona.

— One nigdy nie uciekną. Zawsze tu będą, i opowiadają takie piękne historie. A ty nie masz przyjaciół?

— Oczywiście że mam — powiedziała i po chwili dodała: — Na przykład siostrę.

— Nie, prawdziwych przyjaciół.

— Żadnych drzew ani zwierząt, jeśli o to ci chodzi.

Podniósł głowę i przeraził ją jego wygląd. Czy nigdy dotąd nie patrzyła na niego naprawdę, czy może to leśne światło tak odmieniło mu twarz? Wyglądała jak wyciosana z kamienia, tak doskonale była proporcjonalna i zarazem tak przerażająco bez życia. Potem ich oczy się spotkały, spojrział na nią, zbyt poważnie i surowo jak na dziecko, i przestraszyła się po raz drugi, poczuła bowiem, że on wie o życiu o

wiele za dużo jak na chłopca w jego wieku. W parę sekund później uśmiech przemknął mu po twarzy, tęskny i czuły, jakiego nigdy dotąd nie widziała. To ten uśmiech tak do niej przylgął, to on wywarł wrażenie tak głębokie, że parę dni trwało, zanim się z niego otrząsnęła. Widziała go nocą, kiedy zamknęła oczy, i rankiem, kiedy się budziła.

— Czy to prawda, że gąsienice zamieniają się w motyle? — spytał nagle, gdy właśnie miała już odejść.

— Tak, to prawda.

— A w co my się zamienimy?

Su Kyi się zastanowiła.

— Nie wiem.

Oboje milczeli przez chwilę.

— Widziałaś kiedyś, jak zwierzęta płaczą? — spytał.

— Nie — odparła.

— A drzewa i kwiaty?

— Nie.

— A ja widziałem. One płaczą bez łez.

— To skąd wiesz, że płaczą?

— Bo smutno wyglądają. Jak się dobrze przyjrzyysz, zobaczysz.

Wstał i pokazał jej gąsienicę na ręce.

— Czy ona płacze? — spytał.

Su Kyi przyglądała się stworzeniu przez chwilę.

— Nie — uznała w końcu.

— Zgadza się — powiedział. — Ale ty zgadywałaś.

— Skąd wiesz?

Znów się uśmiechnął i milczał, tak jakby odpowiedź była zbyt oczywista.

Przez parę tygodni po zniknięciu matki Tin Wina Su Kyi doglądała go i pielęgnowała. Kiedy minął miesiąc, a od jego krewnych w Rangunie i Mandalay nie było słowa wiadomości, wprowadziła się z nim do jego domu i obiecała, że do powrotu matki będzie się o niego troszczyć i dbać o dom wuja. Tin Win nic na to nie powiedział. Nadal był zamknięty w sobie, tak że nawet wigor i optymizm kobiety takiej jak Su Kyi nie były w stanie go osiągnąć. Nastrój zmieniał mu się z dnia na dzień, a czasem

wręcz z godziny na godzinę. Potrafił całymi dniami nie wypowiedzieć ani słowa, spędzając czas samotnie w ogrodzie albo pobliskim lesie. W takie dni, kiedy siedzieli wieczorem w kuchni przy ogniu i jedli każde swoją miskę ryżu, głowę miał spuszczone i nie odzywał się. Kiedy Su Kyi pytała go, w co się bawił w lesie, patrzył na nią szklanymi przezroczystymi oczyma.

Całkiem inaczej wyglądały noce. Wpełzał we śnie na jej posłanie i wtulał się w jej krągłe, miękkie ciało. Czasem obejmował ją i ścisnął tak mocno, że się od tego budziła.

W inne dni zabierał ją z sobą do ogrodu czy lasu i opowiadał, co mu mówią jego przyjaciele drzewa. Każdemu nadał imię. Albo przynosił jej w garści żuki, węże i najpiękniejsze motyle, co siadały mu na rękach i odfruwały dopiero wtedy, gdy rozpostarł wysoko ramiona. Zwierzęta się go nie bały.

Wieczorem, zanim zasnął, prosił Su Kyi, żeby mu opowiedziała bajkę. Leżał bez ruchu aż do końca, po czym mówił:

— Zaśpiewaj jeszcze jedną.

Su Kyi śmiała się i mówiła:

— Ale ja wcale nie śpiewam.

— Śpiewasz — odpowiadał. — To brzmi jak piosenka. Proszę, jeszcze jedną.

I Su Kyi opowiadała mu jeszcze jedną, i jeszcze, i opowiadała tak, dopóki nie zasnął.

Przypuszczała, że tylko w tej postaci, zakodowane, jej słowa do niego docierają, że żyje w świecie dla niej zamkniętym, do którego należy podchodzić ostrożnie i z szacunkiem. Zbyt wiele smutku sama doświadczyła, zbyt wiele wiedziała o życiu, by domagać się wstępu do miejsca, w którym się schronił. Bywała świadkiem, jak ludzie stają się więźniami takiej twierdzy, twierdzy własnej samotności, i nie opuszczają jej aż do końca swych dni. Miała jednak nadzieję, że Tin Win nauczy się tego, czego nauczyła się z czasem ona: że są rany, których czas nie uleczy, ale może je zmniejszyć do tego stopnia, że życie znowu staje się możliwe.

Rozdział 12

Su Kyi nie pamiętała, kiedy zauważyła to po raz pierwszy. Może tamtego ranka, kiedy stała przed domem, a Tin Win przy płocie? Zawołała go, a on rozejrzał się, zwracając głowę to w tę, to w tę stronę, tak jakby jej szukał. A może parę dni później, przy obiedzie? Siedzieli w kucki na belce przy kuchni, jedząc ryż. Wskazała mu ptaka, siedzącego na trawie o parę metrów od nich.

— Gdzie? — spytał.

— Tam, koło kamienia.

— A, tam — powiedział, patrząc nie w tę stronę co trzeba.

Zauważyła, że na podwórku, w domu czy na pobliskich łąkach i polach zawsze poruszał się tymi samymi szlakami, a jeśli zboczył z trasy, często potykał się o gałązkę czy kamień. Kiedy podawała mu miskę czy kubek, bywało, że przez ułamek sekundy, który zdawał się trwać wieki, macał w powietrzu palcami. Mrużył lekko oczy, ilekroć skupiał wzrok na czymś, co było odległe bardziej niż o parę metrów. Tak jakby wypatrywał czegoś w gęstej porannej mgle, która przeciągała w niektóre dni dolinę.

Tin Win nie wiedział, kiedy się to zaczęło. Pasma gór i chmury nad horyzontem zawsze były przecież trochę niewyraźne. Innych nie znał.

Od dnia, gdy zniknęła matka, było coraz gorzej. Najpierw przestał widzieć z podwórka las. Poszczególne drzewa straciły kształty i kontury, zbiegły się i zamglily, tworząc odległe zielonobrazowe morze. Szara mgła spowijała nauczyciela w szkole. Słyszał jego głos dość wyraźnie, tak jakby siedzieli obok siebie, ale go nie widział. Tylko troszeczkę, tak jak drzewa, pola, dom czy Su Kyi, gdy znajdowała się dalej niż o parę długości ramienia.

Tin Win nie orientował się już co do przedmiotów i ich szczegółów. Coraz bardziej żył w świecie, który składał się głównie z kolorów. Zielony oznaczał las, czerwony dom, niebieski niebo, brązowy ziemię, różowy bugenwillę, a czarny — płot ogradzający podwórko. Ale

z czasem i na kolorach nie można już było polegać. One także blakły, aż w końcu opadała na nie mlecznobiała szmatka, zacierając wszystko, co znajdowało się dalej niż w promieniu paru metrów.

Świat znikał mu sprzed oczu, zamierał jak dogasający ogień, co nie daje ani ciepła, ani światła.

Tin Win nie miał wrażenia, aby go to szczególnie martwiło. Nie bał się wiecznej ciemności czy co tam mogło zastąpić obrazy, jakie ukazywały mu oczy. Nawet gdyby urodził się niewidomy, mówił sobie, niewiele by stracił, i tak samo niewiele straci teraz, jeśli całkiem oślepnie.

I tak też się stało. Gdy w trzy dni po dziesiątych urodzinach otworzył rankiem oczy, świat spowijała mgła.

Tin Win leżał nieruchomo w pościeli, oddychając spokojnie, wdech-wydech. Zamknął oczy i otworzył je znowu. Nic. Spojrzał w górę, gdzie do niedawna był sufit, i zobaczył tylko białą pustkę. Usiadł i zwrócił głowę w jedną stronę, potem w drugą. Gdzie się podziała drewniana ściana z zardzewiałymi gwoździami? Okno? Stary stolik, na którym trzymał kość tygrysa, znalezioną przed laty w lesie przez ojca? Gdziekolwiek zwrócił wzrok, widział tylko białe sklepienie, bez konturów, bez pierwszego planu i tła, bez granic. Tak jakby odkrył nieskończoność.

Obok niego leżała Su Kyi. Spała, ale niedługo miała się ocknąć. Wiedział to po jej oddechu.

Na dworze było już jasno. Mówił mu o tym śpiew ptaków. Tin Win ostrożnie wstał, wymacując stopą brzeg słomianej maty. Natrafił na nogi Su Kyi i przestąpił je. Stał pośrodku izby i szybko się zastanowił, gdzie jest kuchnia. Zrobił parę kroków i unikając zderzenia ze ścianą czy framugą, odnalazł drzwi. Wszedł do kuchni, okrążył palenisko, minął szafkę z blaszanymi miskami i wyszedł na podwórko. Ani razu się o nic nie potknął ani nawet nie wyciągnął ręki, aby sprawdzić trasę dotykiem. Stał przed drzwiami, czuł na twarzy słoneczne ciepło i dziwił się, że tak pewnie porusza się w tej mgle, po tej ziemi niczyjej.

Zapomniał jednak o taborecie i upadł. Uderzył twarzą o ziemię. Ból w nodze sprawił, że krótko zapłakał w głos. Coś skaleczyło go w usta. Ślina zmieszała się z krwią.

Leżał cicho, nie poruszając się.

Poczuł, że coś pełźnie mu po policzku, nosie, wpełza na czoło, wreszcie znika we włosach. Zbyt szybko szło, by mogła to być gąsienica. Może mrówka, żuk? Nie wiedział. Nie potrafił już odróżnić mrówki od żuka, i zapłakał cicho, bez łez. Jak zwierzęta. Nie chciał, by ktoś zobaczył, że znowu płacze.

Powiódł ręką po ziemi, wyczuwając jej nierówności, wymacując palcami maleńkie wzniesienia i dołki, tak jakby odkrywał nowy świat. Jaka szorstka jest ziemia, ile na niej kamyków, kolein, wyżłobień... Jak to możliwe, że dotąd ich nie zauważył? Obrócił gałązkę w palcach i poczuł, że ją widzi. Ciekawe, czy ten obraz, czy wszystkie wrażenia wzrokowe z czasem zbledną w pamięci i znikną, czy też będzie mógł w przyszłości oglądać świat przynajmniej przez okienko wspomnień i imaginacji? Pomyślał o Su Kyi i ujrzał w wyobraźni jej twarz.

Zaczął nasłuchiwać. Ziemia nucila, śpiewała cicho, ledwie dosłyszalnie. Nie znał tych dźwięków i nie umiał ich zinterpretować. Tin Win zrozumiał, że ręce, nos i uszy będą odtąd jego przewodnikami w świecie. Czy potrafi im zaufać? On, który aż do tej chwili nie ufał nikomu ani niczemu?

Su Kyi go podniosła.

— Stołek był tuż przed tobą — powiedziała. Było to stwierdzenie, nie oskarżenie.

Przyniosła wodę i szmatkę. Kazała mu wypłukać usta, umyła twarz. Ciężki oddech zdradzał, jak była wystraszona.

— Boli? — spytała.

Pokiwał głową.

Znowu poczuł w ustach słony smak krwi.

— Chodź do kuchni — powiedziała i poszła przodem.

Tin Win nie ruszył się. Nie wiedział, w którą stronę ma iść. Po chwili Su Kyi wyjrzała przez uchylone drzwi.

— Czemu nie idziesz?

Jej lament poniósł się doliną aż do wsi i przez całe lata wspomniano w Kalaw, jak przerazili się wszyscy, co go słyszeli.

Lekarz w małym szpitaliku przy końcu głównej ulicy był bezradny. Ślepotą, w tym wieku, bez jakiegokolwiek urazu, tak po prostu? Z czymś

takim nigdy nie miał do czynienia. Raczej nie był to guz mózgu, bo pacjent nie skarżył się na bóle ani zawroty głowy. Może jakieś zaburzenie neurologiczne albo genetyczne? Nie znając przyczyny, nie mógł zalecić żadnej terapii. Nie było na to lekarstwa. W najlepszym razie można było oczekiwać, że zdolność widzenia powróci równie tajemniczo, jak zniknęła.

Rozdział 13

Przez te pierwsze miesiące Tin Win walczył o odzyskanie swojego świata — domu, podwórka, pobliskich pól. Godzinami siedział przed chatą, na płocie, na pniaku po sośnie, pod drzewem awokado czy koło zagonka maku i próbował ustalić, czy każde miejsce, każde drzewo ma niepowtarzalny, sobie tylko właściwy zapach, tak jak człowiek. Czy ogród za domem pachnie inaczej niż zwykle?

Przemierzał swe ścieżki, obliczał odległości i szkicował w głowie mapy, na których umieszczał wszystko, czego dotknęła jego stopa czy dłoń, każdy krzak, każde drzewo, każdy kamień. Chciał je utrwalić. Miały mu zastąpić oczy. Za ich pomocą zaprowadzi porządek w nieprzeniknionej mgle, jaka go otaczała.

Nie wychodziło.

Nazajutrz nic nie znajdowało się tam, gdzie zapamiętał. Tak jakby ktoś przez noc poprzestawiał meble. Nic w tym świecie nie miało stałego miejsca. Wszystko było w ruchu, przypadkowe i kapryśne.

Doktor zapewnił Su Kyi, że inne zmysły zrekompensują z czasem utracony wzrok. Osoby niewidome uczą się jakoby korzystać z uszu, nosa, a także rąk, i w ten sposób, po zakończeniu fazy aklimatyzacji i przystosowania, odzyskują — zgodnie z opinią doktora — umiejętność poruszania się w otoczeniu.

W tym przypadku było odwrotnie. Tin Win potykał się o kamienie, które znał od lat. Wpadał na drzewa i gałęzie, na które dawniej tylekroć się wspinał. Nawet w mieszkaniu wpadał na ściany i futryny drzwi. Dwa razy byłby wszedł w palenisko, gdyby Su Kyi w porę nie krzyknęła, żeby uważał.

W parę tygodni później, podczas pierwszej wyprawy do miasta, o mało nie wpadł pod samochód. Stał na skraju ulicy i słyszał odgłos zbliżającego się motoru. Słyszał ludzkie głosy i kroki, parskanie konia, śpiew ptaków i gdakanie kur, rejestrował słuchem odgłos wypróżniania się jakiegoś osła, i żaden z tych dźwięków nie miał sensu, żaden nie

stanowił wskazówki, w którą stronę iść czy na co zwracać uwagę. Uszy były równie bezużyteczne jak nos, który przynajmniej potrafił wyczuć płonący ogień, albo jak ręce, które ostrzegały go o przeszkodach.

Nie było ani jednego dnia bez zdartych kolan, siniaków, guzów na głowie czy podrapanych rąk i łokci.

Trudno było zwłaszcza w szkole z zakonnkami i włoskim *padre*. Choć pozwalano mu teraz siedzieć w pierwszej ławce i często pytano, czy nadąża, rozumiał coraz mniej z tego, co mówili. W ich obecności czuł się samotny jak nigdy. Słyszał ich głosy, czuł ich oddechy, ale ich nie widział. Stali tuż obok, na odległość wyciągniętej ręki, a przecież byli niedosiężni.

Jeszcze trudniej było mu znieść bliskość innych dzieci. Ich głosy go niepokoiły, a gdy leżał wieczorem w łóżku, wciąż jeszcze dźwięczał mu w uszach ich śmiech. Kiedy biegały po kościelnym dziedzińcu, dokazując i swawoląc, on siedział na ławce pod wiśnią, jakby go do niej przywiązano, i z każdym krokiem, który go dobiegał, z każdym okrzykiem, z każdym wybuchem radości czuł, że więzy się zacieśniają.

Su Kyi nie była pewna, czy świat naprawdę zniknął mu sprzed oczu, czy Tin Win po prostu schował się przed nim jeszcze głębiej. A jeśli istotnie tak było, to jak daleko się posunie? Czy z czasem przestaną funkcjonować także jego uszy? Nos? Czy te delikatne, smukłe palce stracą wrażliwość i zmienią się w drętwe, bezużyteczne wyrostki?

Był silny, o wiele silniejszy niż zdawał sobie sprawę i niż zdradzało jego wątłe ciało, zrozumiała to z biegiem czasu, i bez wątpienia miał w sobie moc, by wycofać się na koniec świata. Gdyby tego zapragnął, jego serce przestałoby bić, tak jak oczy przestały widzieć, i najgłębszym zakątkiem duszy przeczuwała, że pewnego dnia zakończy on swe życie w ten właśnie sposób, nie inny. Uważała jednak, że na to o wiele za wcześnie. Przedtem powinien je przeżyć.

Rozdział 14

U Ba zamilkł.

Jak długo mówił? Trzy godziny? Cztery? Pięć? Nie odrywałam od niego oczu i dopiero teraz zauważyłam, że inne stoliki opustoszały. Było cicho, dobiegało mnie jedynie ciche pochrapywanie mężczyzny, siedzącego za witryną z ciastkami. Brzmiało jak pogwizdywanie czajnika. Lampy wyłączono, tylko na naszym stoliku płonęły dwie świece.

Zdałam sobie sprawę, że drzę.

Zmarzłam, pomyślałam.

— Nie wierzy mi pani, Julio? — spytał U Ba.

— Nie wierzę w baśnie — odparłam.

— Czy to, co pani usłyszała, to baśń?

— Gdyby znał mnie pan tak dobrze, jak pan twierdzi, nie byłoby dla pana żadną niespodzianką, że nie wierzę w magię ani w moce nadprzyrodzone. Nawet w Boga ani w jakąkolwiek siłę wyższą... a co dopiero w to, że gwiazdy determinują nasz los czy na niego wpływają. Ludzie, którzy porzucają dziecko, bo urodziło się pod niesprzyjającym układem gwiazd, muszą być chorzy.

Odetchnęłam głęboko. Coś mnie wyprowadziło z równowagi. Może U Ba, który najwyraźniej nie tracił jej nigdy, a może ta bezsensowna historia? Staralam się uspokoić. Nie chciałam, by widział, że jestem zła.

Skinął głową.

— Wiele pani podróżowała, Julio, a ja od młodości rzadko opuszczam wioskę. Jeśli już, to nie dalej niż do Taunggyi, naszej małej stolicy prowincji, o dzień jazdy furmanką. Ostatnią wyprawę odbyłem wiele lat temu. Widziała pani kawał świata; czymże jestem, aby się pani sprzeciwiać?

Jego pokora tym bardziej mnie rozzłościła.

— Skoro tak pani mówi — ciągnął — to z chęcią uwierzę, że w

pani świecie nie ma ojców ani matek, którzy nie potrafią kochać swoich dzieci, obojętne z jakiej przyczyny. Być może tylko głupi, niewykształceni ludzie tak się zachowują, co stanowi jeszcze jeden dowód naszego zacofania. Mogę tylko prosić, by nadal okazywała mi pani wyrozumiałość.

— Nie to miałam na myśli. Chodzi mi o to, że dla nas gwiazdy nie mają z tym nic wspólnego.

— Czy robi to jakąś różnicę? — spytał, patrząc mi w oczy, i zamilkł. Musiał czuć mój gniew i chciał uniknąć konfliktu.

— Nie po to przejechałam sześć tysięcy kilometrów, żeby słuchać bajek. Próbuję odszukać mojego ojca.

— Proszę się zdobyć na jeszcze trochę cierpliwości.

— Dlaczego mam być cierpliwa? Żeby mógł mi pan opowiedzieć kolejne historie sprzed wielu lat?

— To opowieść o pani ojcu.

— To pan tak mówi. Gdzie są jakieś dowody? Gdyby mój ojciec w dowolnym okresie życia stracił wzrok, sądzi pan, że my, jego rodzina, nie wiedzielibyśmy o tym? Z pewnością by nam powiedział.

— Jest pani pewna, Julio?

Nie, nie byłam pewna. Dlaczego on mnie dręczy? Moja niepewność, moje wątpliwości — czy w ogóle znałam mego ojca, czy też oszukiwał mnie przez dwadzieścia trzy lata — stanowiły jedyny powód, dla którego tak długo słuchałam tego nieznanego. Nie byłam jednak gotowa, aby się do tego przyznać.

— Dobrze, załóżmy, że nam o tym nie powiedział. Ale co ten niekochany, porzucony chłopczyk ma wspólnego z moim ojcem? Nic. Kompletnie nic. — Wyjaśniłam mu, że nie interesuje mnie introspekcja ani grzebanie się we własnych uczuciach, że jestem chyba jedynym człowiekiem w Nowym Jorku, który nigdy nie odwiedził terapeuty, że nie należę do tych, co szukają przyczyn swoich problemów w dzieciństwie i że nie mam szacunku dla tych, którzy tak robią. Powtórzyłam, że nie wierzę, by mój ojciec był kiedykolwiek ślepy, a im dłużej mówiłam, tym mniej zwracałam się do U Ba. Mówiłam do siebie. Była to próba przekonania siebie samej, że prawdę należy przykroić do granic własnej wyobraźni.

U Ba słuchał i kiwał głową. Sprawiał wrażenie, jakby rozumiał wszystko, co mówię i zgadzał się ze mną. Kiedy skończyłam, poprosił o wyjaśnienie, co to takiego terapeuta.

Upił łyk herbaty.

— Obawiam się, Julio, że muszę teraz panią przeprosić. Odzwyczailem się już od tak długiego mówienia. Całe dni spędzam w milczeniu; w moim wieku niemal wszystko już zostało powiedziane. Wiem, że chciałaby mnie pani spytać o Mi Mi. Chciałaby się pani dowiedzieć, kim jest, gdzie się znajduje i jaką rolę odegrała w życiu pani ojca, a tym samym i w pani życiu. Mogę tylko ponownie prosić panią o trochę czasu i o cierpliwość. Nasza opowieść nieuchronnie prowadzi do niej, a zapewniam, że uzna pani, iż warto było poczekać, gwarantuję.

Wstał i skłonił się.

— Odprowadzę panią na ulicę.

Ruszyliśmy do drzwi. Byłam o głowę od niego wyższa, ale nie sprawiał wrażenia małego, to ja byłam zbyt wielka. Jego szybkie, lekkie kroki sprawiały, że czułam się niezgrabna i ociężała.

— Trafi pani do hotelu?

Skinęłam głową.

— Jeśli pani zechce, to jutro po śniadaniu zabiorę panią stąd i pokażę mój dom. Nikt nam tam nie będzie przeszkadzał, no i pokażę pani parę zdjęć.

Nie czekając na odpowiedź, skłonił się i odszedł.

Powoli szłam ulicą. Wtem usłyszałam za sobą jego szept:

— Jeśli chodzi o pani ojca, Julio, to jest on tutaj, bliźniutko. Widzi go pani?

Odwróciłam się gwałtownie.

— To pytanie czy zachęta, żeby szukała?

Nie otrzymałam odpowiedzi. U Ba zniknął w ciemności.

Rozdział 15

Był późny wieczór. Leżałam na hotelowym łóżku i zamknięwszy oczy, przywoływałam obraz ojca. Mam cztery czy pięć lat, a on siedzi na krawędzi mojego łóżka. Pokój pomalowany jest na blad różowo. Z wysokiego sufitu zwisają pasiaste, czarno-żółte pszczoły, koło łóżeczka stoją dwa regały pełne książek, puzzli i gier. Naprzeciwko pod ścianą — wózek, w którym śpią trzy lalki. W łóżku mam pełno pluszowych zabawek. Hopsy, żółty królik, który raz na rok przynosił mi czekoladowe jajka. Dodo, żyrafa, której zazdrościłam długiej szyi. Z taką szyją nie miałabym problemu z sięgnięciem na najwyższą półkę, gdzie matka trzymała słoje z cukierkami. Arika, szympan, co do którego byłam przekonana, że umie chodzić. Dwa dalmatyńczyki, kot, słoń, trzy misie i Kubuś Puchatek.

Na rękach trzymam ulubioną lalkę, Dolores o wystrzępionych czarnych włosach. Brakuje jej jednej ręki; brat urwał ją podczas jakiejś kłótni. Jest ciepły letni nowojorski wieczór. Ojciec otworzył okno i do pokoju wpada lekki wietrzyk, który sprawia, że pszczoły w górze wirują i tańczą.

Widzę ojca, jego czarne włosy, ciemne oczy, cynamonową cerę i wydatny nos, na którym spoczywają okulary o grubych szklach, okrągłe, w czarnych oprawkach. Wiele lat później natrafiłam na zdjęcie Ghandiego i zdumiewało mnie ich podobieństwo.

Nachyla się nade mną, uśmiecha i bierze głęboki oddech. Słyszę jego głos, który jest czymś więcej niż głosem. Brzmi jak muzyczny instrument, jak skrzypce, albo jeszcze lepiej — harfa. Nie potrafi mówić głośno, choćby się nie wiem jak się starał. Nigdy nie słyszałam, żeby krzyknął. Nie wychodziło mu. Głos miał cichy, łagodny i bardzo melodyjny. Cokolwiek mówił, w moich uszach brzmiało to jak śpiew. Jego głos koił mnie i pocieszał, chronił i usypiał, a kiedy mnie rano budził, otwierałam oczy z uśmiechem. Nic i nikt na całym świecie nie działał na mnie tak uspokajająco, nawet dziś.

Tak jak pewnego dnia, gdy jadąc na nowym rowerze w Central Parku, straciłam równowagę i uderzyłam głową o kamień. Krew lała się z dwóch ran jak z kranu. Pogotowie zabrało mnie do szpitala na Siedemdziesiątej ulicy. Ratownicy zabandażowali mi głowę, ale krew przesiąkała przez bandaż, ściekając mi po twarzy i szyi. Pamiętam wycie syreny, zatroskaną twarz matki i młodego lekarza o krzaczastych brwiach. Zszył rany, ale krwawienie nie ustawało.

Następną rzeczą, jaką zapamiętałam, był ojciec. Usłyszałam jego głos już w poczekalni. Wziął mnie za rękę, pogłaskał po głowie i zaczął mi opowiadać bajkę. Nie upłynęła minuta, a czerwony strumień zaczął wysychać. Tak jakby jego głos legł łagodnie na ranach, zablizniając je.

Opowieści ojca rzadko kończyły się dobrze. Matka ich nie cierpiała. Brutalne i okrutne, mówiła. Czyż nie wszystkie baśnie są takie? — bronił się ojciec. Tak, ustępowała matka, ale twoje są niejasne, dziwaczne, bez żadnego morału i kompletnie nieodpowiednie dla dzieci.

Ja je uwielbiałam. Właśnie dlatego, że były takie dziwne, tak całkowicie odmienne od wszystkich innych bajek, jakie słyszałam lub czytałam. Wszystkie były birmańskie i stanowiły jedyny wgląd w przeszłość ojca, jaki nam umożliwiał. Może właśnie dlatego tak mnie fascynowały.

Najbardziej lubiłam baśń o księciu, księżniczce i krokodylu. Ojciec musiał mi ją opowiadać tak długo, aż znałam na pamięć każde zdanie, każde słowo, każdą pauzę, każdą modulację głosu, i mogłam go poprawiać, jeśli powiedział coś inaczej niż zwykle.

Dawno, dawno temu była sobie piękna księżniczka. Dawno, dawno temu — magiczne słowa, które zmieniały otaczający mnie świat. Bładoróżowy pokój zniknął, widziałam tylko księcia i księżniczkę, i nic poza tym.

Księżniczka żyła nad wielką rzeką. Mieszkała z rodzicami, królem i królową, w starym pałacu. Pałac otaczały grube, wysokie mury, za którymi było zimno, ciemno i cicho. Księżniczka nie miała ani braci, ani sióstr i czuła się na dworze bardzo samotna. Rodzice rzadko odzywali się do niej choćby słowem. Służba mówiła wyłącznie: „Tak, Wasza Wysokość” albo „Nie, Wasza Wysokość”, i w całym pałacu nie było nikogo, z kim można by porozmawiać albo się pobawić. Księżniczka

strasznie się nudziła. I w ten sposób stała się z czasem smutną i samotną księżniczką, która nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz się śmiała. Czasami zastanawiała się, czy nie zapomniała, jak to jest, kiedy człowiek się śmieje. Potem spoglądała w lustro i próbowała się uśmiechnąć. Twarz wykrzywił jej grymas. Nie było to wcale śmieszne. Kiedy smutek stawał się zbyt wielki, szła nad rzekę, siadała w cieniu figowego drzewa i wsłuchiwała się w szmer wody, śpiew ptaków i cykanie świerszczy. Uwielbiała, kiedy promienie słońca spryskiwały powierzchnię fal tysiącami maleńkich gwiazdek. Wtedy jej nastrój troszeczkę się poprawiał i marzyła o przyjacielu, który sprawiłby, że znowu umiałaby się śmiać.

Na drugim brzegu rzeki mieszkał król znany w całym królestwie ze srogiej surowości. Nikt z poddanych nie ośmieliłby się wałkonić czy guzdrać. Wieśniacy harowali bez wytchnienia na swych polach, rzemieślnicy niezmordowanie mozolili się przy warsztatach. A żeby wiedzieć, czy wszyscy poddani naprawdę ciężko pracują, rozesłał po całym kraju swoich nadzorców. Jeśli ktoś siedział, zamiast pracować, dostawał dziesięć uderzeń bambusowym kijem. Nawet królewski syn nie był wyjątkiem. Od rana do nocy musiał się uczyć. Król sprowadził na dwór najznamienitszych mędrców z całego kraju, aby udzielali mu nauk. Zamierzał doprowadzić do tego, że jego syn będzie najmądrzejszym księciem, jaki kiedykolwiek żył na świecie.

Pewnego dnia młody książę zdołał się wymknąć z pałacu. Wskoczył na konia i pocwałował w stronę rzeki, gdzie ujrzał księżniczkę siedzącą na przeciwległym brzegu. W długie czarne włosy miała wpięty żółty kwiat. Książę nigdy nie widział tak pięknej dziewczyny i natychmiast zapragnął przedostać się na drugi brzeg.

Na rzece nie było jednak żadnego mostu ani promu, który przewoziłby podróżnych na drugą stronę. Obaj królowie, żywiąc w sercach wielką nienawiść ku sobie, zakazali swym poddanym, by ich noga kiedykolwiek postąpiła we wrażym królestwie. Ktokolwiek zlekceważył ten zakaz, płacił życiem za jego przekroczenie. Co więcej, w rzece roiło się od krokodyli, które tylko czekały, że jakiś rybak czy wieśniak odważy się wejść do wody.

Książę zamierzał przepłynąć nurt wpław, ale woda nie sięgała mu

jeszcze nawet do kolan, gdy wychynęły z niej krokodyle z szeroko otwartymi paszczami. Ledwie zdążył wyskoczyć na brzeg. Nie mógł wprawdzie porozmawiać z księżniczką, mógł jednak przynajmniej na nią patrzeć.

Odtąd każdego dnia wracał potajemnie nad rzekę, siadał na kamieniu i tęsknie wpatrywał się w księżniczkę. Tak mijały tygodnie i miesiące. Wreszcie któregoś dnia podpłynął do niego krokodyl.

— Przypatruję ci się od dawna, drogi książę — powiedział. — Wiem, że jesteś nieszczęśliwy, i bardzo ci współczuję. Chciałbym ci pomóc.

— Ale jak możesz mi pomóc? — spytał książę zdziwiony.

— Usiądź mi na grzbiecie, a ja cię przewiozę na drugi brzeg.

Książę przyjrzał się krokodylowi nieufnie.

— To podstęp. Wy, krokodyle, jesteście wygłodniałe i żarłoczne. Nigdy byście nie pozwoliły, żeby człowiek wyszedł żywy z wody.

— Nie wszystkie krokodyle są takie — odparł krokodyl. — Zaufaj mi.

Książę się wahał.

— Zaufaj mi — powtórzył krokodyl.

Nie było wyjścia. Jeśli książę chciał się znaleźć obok pięknej księżniczki, musiał zaufać krokodylowi. Wsiadł mu na grzbiet, a on zawiózł go, tak jak obiecał, na drugą stronę.

Księżniczka nie wierzyła własnym oczom, gdy nagle stanął przed nią książę. Ona też często go obserwowała i potajemnie marzyła, że w końcu znajdzie on jakiś sposób, aby przedostać się na drugi brzeg. Książę, zmieszany, nie wiedział, co powiedzieć. Zaczął coś dukać, płacząc słowa i zdania, i wkrótce oboje wybuchnęli śmiechem. Księżniczka śmiała się, jak nie śmiała się już od bardzo, bardzo dawna.

Ale przyszła pora, kiedy książę musiał wracać, i księżniczka posmutniała. Zaczęła nalegać, aby został.

— Nie mogę — powiedział. — Wielki byłby gniew mego ojca, gdyby się dowiedział, że z tobą byłem. Z pewnością zamknąłby mnie na klucz i nigdy więcej nie mógłbym pójść samopas nad rzekę. Obiecuję ci jednak, że powrócę.

Pocziwy krokodyl zawiózł księcia z powrotem na drugą stronę.

Nazajutrz księżniczka czekała, stęskniona. Straciła już nadzieję, kiedy dostrzegła księcia na jego białym rumaku. Krokodyl także już był i oferował swe wierne usługi. Odtąd księżę i księżniczka spotykali się codziennie.

Inne krokodyle wpadły w gniew. Pewnego dnia, kiedy krokodyl z księciem byli już w połowie rzeki, podpłynęły i zagroziły im drogę.

— Daj nam go, daj nam go! — krzyczały, kłapiąc w stronę księcia szeroko rozwartymi paszczami.

— Zostawcie nas w spokoju! — ryknął krokodyl i popłynął najszybciej jak mógł. Wkrótce jednak otoczyły ich następne.

— Wejdz mi do paszczy! — zawołał krokodyl do przyjaciela. — Tam będziesz bezpieczny.

Otworzył paszczę najszerzej jak mógł i księżę wpełzł do środka. Ale pozostałe krokodyle nie spuszczały z nich oczu. Gdziekolwiek się ruszyli, płynęły w ślad za nimi. Czekały. W końcu przecież księżę będzie musiał wyjść! Ale wierny krokodyl był cierpliwy i gdy po paru godzinach inne krokodyle w końcu zrezygnowały i odpłynęły, wczółgał się na brzeg i otworzył paszczę. Księżę się nie ruszał. Krokodyl potrząsnął łbem.

— Wychodź, przyjacielu! — zawołał. — Wychodź jak najprędzej na ląd!

Ale księżę wciąż się nie ruszał.

Wówczas i księżniczka zawołała z drugiego brzegu:

— Wyjdz, kochany księżę, wyjdz, proszę!

Nic nie pomogło. Księżę nie żył. Udusił się w paszczy przyjaciela.

Kiedy księżniczka zrozumiała, co się stało, również i ona osunęła się martwa na ziemię. Pękło jej serce.

Dwaj królowie niezależnie od siebie postanowili nie grzebać swych dzieci, lecz spalić ich ciała nad rzeką. Przypadek zrządził, że obie ceremonie wypadły tego samego dnia i o tej samej godzinie. Królowie przeklinali się nawzajem i oskarżali jeden drugiego o śmierć swego dziecka.

Wkrótce zahuczał ogień i dwa ciała stanęły w płomieniach. Stosy z miejsca zaczęły dymić. Dzień był bezwietrzny i dwa potężne słupy dymu szły prosto w niebiosa. I nagle zapadła cisza. Ogień przestał trzaskać,

pałił się teraz bezgłównie. Rzeka przerwała swe szmery i ciurkanie. Nawet królowie zamilkli.

Wówczas zwierzęta zaczęły śpiewać. Najpierw krokodyle.

Ale krokodyle nie umieją śpiewać, przerywałam w tym momencie co wieczór.

Oczywiście że umieją, odpowiadał ojciec. Krokodyle śpiewają, jeśli im tylko pozwolić. Ale trzeba być zupełnie cicho, inaczej nie można ich usłyszeć.

I słonie też?

Słonie też.

A kto zaczął śpiewać potem?

Węże i jaszczurki. Zaśpiewały psy, po nich koty, lwy, lamparty. Potem dołączyły słonie, konie i mały. I oczywiście ptaki. Zwierzęta śpiewały chórem, piękniej niż kiedykolwiek przedtem, i nagle, nikt nie wiedział dlaczego, dwa słupy dymu zaczęły powoli zbliżać się do siebie. Im czystiej i głośniej śpiewały zwierzęta, tym bliższe były kolumny dymu, aż wreszcie objęły się nawzajem i stały się jednością, tak jak potrafią tylko kochankowie.

Ojciec wyłączył światło, ale nadal siedział na moim łóżku. Zamknęłam oczy, usłyszałam śpiew zwierząt i pomyślałam: on ma rację. Wszystkie zwierzęta potrafią śpiewać, jeśli im tylko pozwolić. I trzeba być cicho, inaczej się ich nie słyszy. Nucily mi cichą piosenkę, dopóki nie zasnęłam.

Matka nie lubiła tej bajki, bo źle się kończyła. Ojciec był zdania, że właśnie kończy się dobrze. Tak wielka dzieliła ich przepaść.

Co do mnie, nigdy nie byłam pewna.

Część II

Rozdział 1

Nocna cisza była torturą. Leżałam w hotelowym łóżku, złakniona znajomych odgłosów. Klaksonów samochodowych. Syren straży ogniowej. Rapu czy głosów z telewizora w sąsiednim mieszkaniu. Dzwonka windy.

Nic.

Nawet skrzypnięcia schodów czy kroków innych gości na korytarzu. Głucha cisza wypełniała mój pokój. Po jakimś czasie usłyszałam głos U Ba. Niby niewidzialny intruz wędrował po pokoju i mówił do mnie z biurka, z szafki, potem jakby z sąsiedniego łóżka. Nie mogłam pozbyć się z głowy jego opowieści. Myślałam o Tin Winie. Nawet z parogodzinnego dystansu nie potrafiłam zobaczyć w nim ojca. Ale jakie to ma znaczenie? Co wiemy o naszych rodzicach i co oni wiedzą o nas? A skoro nie znamy nawet ludzi, którzy towarzyszą nam od urodzenia — my ich, a oni nas — co w takim razie wiemy o kimkolwiek? Czy z tej perspektywy nie powinnam przyjąć, że każdy z nas jest zdolny do wszystkiego, nawet do najokropniejszej zbrodni? Na kim lub na czym możemy wobec tego polegać? Czy są ludzie, którym mogę bezwzględnie zaufać? Czy w ogóle mogą być?

Wyswobodził mnie sen.

Przyśnił mi się Tin Win. Był ślepy i upadł, i leżał, płacząc, na ziemi. Chciałam pomóc mu wstać, ale był za ciężki. Wzięłam go za rękę i pociągnęłam, objęłam ramionami jego dziecięce ciało, a on przywarł do mnie. Równie dobrze jednak mogłabym próbować poruszyć głaz. Uklękałam przy nim, jak przy ofierze ulicznego wypadku, broczącej krwią na skraju drogi. Mówiłam coś, aby go pocieszyć, zapewniałam, że pomoc jest już w drodze. Prosił, żebym nie odchodziła, nie zostawiała go samego. Nagle stanął przy nas ojciec. Podniósł chłopczyka, przytulił mocno i szepnął mu coś do ucha. W objęciach ojca Tin Win się uspokoił. Położył mu głowę na ramieniu, chlipnął jeszcze parę razy i zasnął. Ojciec odwrócił się i odszedł z dzieckiem w ramionach.

Kiedy się obudziłam, było już gorąco. Z zewnątrz dobiegało brzęczenie owadów i głosy dwóch mężczyzn, którzy rozmawiali pod moim oknem. W powietrzu unosiła się słodkawa woń, przywodząca na myśl cukrową watę. Wstając, poczułam lekki ból w łydkach. Ale i tak czułam się o niebo lepiej niż wczoraj. Długi sen dobrze mi zrobił. Upał sprawił, że zimny prysznic był do wytrzymania. Nawet kawa smakowała lepiej niż poprzedniego dnia. Właściwie zamierzałam dziś rozpocząć poszukiwania Mi Mi, coś mnie jednak powstrzymywało. Czyżbym dawała opowieściom U Ba więcej wiary, niżbym chciała? Choć tak uparcie się im wczoraj sprzeciwiałam, a nawet byłam na niego zła, teraz musiałam przyznać, że rzuciły na mnie jakiś czar. A że oprócz adresu sprzed czterdziestu lat nie dysponowałam sama żadną wskazówką, postanowiłam na niego poczekać.

Przyszedł tuż po dziesiątej.

Siedziałam przed wejściem, patrząc, jak stary człowiek strzyże długimi nożycami trawnik. Ogród hotelowy miał pewien urok, którego wcześniej nie doceniłam. Nigdy dotąd nie widziałam tak rozrzutnej obfitości wszelakich kwiatów, krzewów i drzew. Łany maków śmigały w górę pośród frezji, gladioli, jaskrawożółtych orchidei. Nad nimi zwieszały się gałęzie okryte czerwonym, białym i różowym kwieciem hibiskusa. Trawnik usiany był białym kwiatem rosnącej pośrodku gruszy; sąsiadowały z nią dwie palmy i okryte owocem drzewo awokado. W ogrodzie warzywnym dostrzegłam fasolę, groch, rzodkiewki, marchew, truskawki i maliny.

Już z daleka zobaczyłam nadchodzącego U Ba. Szedł ulicą, pozdrowił rowerzystę i skręcił w stronę hotelowego wejścia. Aby przyspieszyć tempo, uniósł nieco oburącz *longyi*, jak kobieta w długiej sukni przeskakująca przez kałuże.

Uśmiechnął się na powitanie i mrugnął porozumiewawczo. Tak jakbyśmy znali się od lat i i nie rozstali się wczoraj skłócenii.

— Dzień dobry, Julio. Ufam, że posłużył pani nocny spoczynek?

Uśmiechnęłam się na to staroświeckie słownictwo.

— Ach, jakże pięknie lśnią pani oczy. Całkiem jak u ojca! Te pełne wargi i białe zęby także ma pani po nim. Proszę mi wybaczyć, że mówię to po raz kolejny. To nie moja prostoduszność, tylko pani uroda sprawia,

że tak się powtarzam.

Wyszliśmy na ulicę, po czym skręciliśmy w dróżkę wiodącą ku rzece. Obrastała ją roślinność równie bujna i szczerze kwitnąca, jak w hotelowym ogrodzie. Wzdłuż ciągnęły się plantacje palm daktylowych, mango i bananowców, obładowanych kiśćmi małych żółtych bananów. W ciepłym powietrzu unosiła się woń jaśminu i dojrzałych owoców; miły był jego dotyk na twarzy, na gołych ramionach i nogach.

Nad rzeką parę kobiet, po kolana w wodzie, prało, śpiewając przy pracy. Wyżęte koszule i *longyi* rozkładały na kamieniach, żeby wyschły w słońcu. Niektóre z nich pozdrowiły U Ba; mnie przyglądały się z ciekawością. Przeszliśmy drewnianym mostkiem na drugą stronę, wdrapaliśmy się na wysoki brzeg i ruszyliśmy wijącą się stromym zboczem ścieżką. Śpiew kobiet towarzyszył nam aż na wierzchołek. Widok rozległych wzgórz i dolin czemuś mnie zaniepokoił. Coś było nie tak w tej pocztówkowej scenerii... Zbocza z rzadka tylko porastały młode sosny; pomiędzy nimi widniała spalona brązowa trawa.

— Był czas, kiedy z tego miejsca zobaczyłaby pani wyłącznie gęste sosnowe lasy — powiedział U Ba, jakby czytając mi w myślach. — W latach siedemdziesiątych przyszli Japończycy i wszystko wycięli.

Miałam ochotę spytać, dlaczego na to pozwolili i czy nikt nie stawiał oporu, ale dałam spokój. Zbyt wiele było tu rzeczy, których nie rozumiałam; być może rozsowniej będzie nie wypowiadać na głos każdego pytania, które mi wpadnie do głowy. A przynajmniej nie od razu.

Szliśmy dalej, mijając stare, chylące się ku upadkowi rezydencje Anglików i obskurne, na ogół pozbawione okien budy, o koślawych ścianach utkanych z suchych liści i traw. Zatrzymaliśmy się przed jednym z nielicznych drewnianych domów. Na blisko półtorametrowych palach, zbudowany z drewna tekowego, niemal czarnego, miał dach z blachy falistej i wąski ganek. Pod domem ryła świnia. Po podwórku biegało parę kurcząt.

Weszliśmy po schodkach na ganek. U Ba wprowadził mnie do dużego pokoju o czterech pozbawionych szyb oknach. Meble wyglądały jak odziedziczone po kimś pozostałości z czasów kolonialnych. Brązowy skórzany fotel, z którego tapicerki zaczynały już wyłazić sprężyny, dwie

kanapy o wytartym obiciu, stolik do kawy, ciemna szafa. Na ścianie olejny wizerunek londyńskiego Tower.

— Proszę się czuć jak u siebie w domu. Pójdę zrobić herbatę — powiedział U Ba i wyszedł.

Już miałam usiąść, gdy wtem usłyszałam głośnie brzęczenie. Przez pokój przeleciał niewielki rój pszczół, od okna do otwartej szafy i z powrotem. Widać było ich gniazdo wiszące na górnej półce, większe niż piłka futbolowa. Przewrotnie wycofałam się w przeciwny kąt, usiadłam i zamarłam w bezruchu.

— Mam nadzieję, że nie boi się pani pszczół — powiedział U Ba, powracając z dzbankiem herbaty i dwiema filiżankami.

— Tylko os — skłamałam.

— Moje pszczoły nie gryzą.

— Ma pan na myśli, że dotąd nikogo nie ugryzły?

— Co za różnica?

— Co pan robi z miodem?

— Jakim miodem?

— Od pszczół.

U Ba spojrział na mnie, jakby pierwszy raz w życiu słyszał, że pszczoły robią miód.

— Nie tykam go. Miód należy do pszczół.

Z obawą śledziłam wzrokiem lot pszczół. Czy on mówi serio?

— To czemu nie usunie pan gniazda?

Roześmiał się.

— Dlaczego miałbym je wyrzucać? Nie robią mi krzywdy. Przeciwnie, czuję się zaszczycony, że wybrały mój dom. Mieszkamy razem w przyjaźni od pięciu lat. My, Birmańczycy, wierzymy, że pszczoły przynoszą szczęście.

— No i? Sprawdziło się?

— W rok po tym, jak wprowadziły się pszczoły, wrócił pani ojciec. A teraz pani, Julio, siedzi naprzeciwko mnie. Czy można mieć jakieś wątpliwości?

Uśmiechnął się i nalał herbaty.

— Gdzie to byliśmy zmuszeni wczoraj zakończyć? Tin Win oślepl, a Su Kyi próbowała znaleźć dla niego jakąś pomoc, tak?

Skinęłam głowę.
U Ba podjął opowieść.

Rozdział 2

Deszcz bębnił o blaszany dach, zupełnie jakby dom walił się pod gradem brył i kamieni. Tin Win wycofał się w najdalszy kąt kuchni. Niezbyt lubił te ulewy. Łoskot strug na metalowej powierzchni był dla niego zbyt głośny, a gwałtowność, z jaką lały się z nieba, nie pozostawiając na ludziach suchej nitki, budziła lęk. Słyszał, że Su Kyi coś mówi, ale deszcz pochłaniał jej słowa.

— Gdzież ty jesteś, na litość boską? — zawołała jeszcze raz, zaglądając do kuchni. — Chodźże, idziemy. Niedługo przestanie padać.

Miała rację, jak niemal zawsze, gdy chodziło o pogodę. Bezbłędnie wyczuwała nadchodzącą burzę, tropikalną ulewę i czas ich trwania. Twierdziła, że czuje je w brzuchu, a przede wszystkim w uszach. Najpierw robią się ciepłe, potem zaczyna ją w nich łaskotać, aż wreszcie, na krótko przed spadnięciem pierwszych kropli, swędzą ją okropnie. Tin Win od dawna przestał wątpić w jej przepowiednie. Nie upłynęły dwie minuty, gdy stali przed domem i nie padało. Słyszał tylko kapiące z drzew i dachu krople i plusk strumienia, który rwał wykopanym na podwórku rowem ku dolinie.

Su Kyi wzięła go za rękę. Było ślisko, z każdym krokiem błoto wyciekało mu spomiędzy palców. Pora była wczesna, nie dalej niż po siódmej. Przez chmury przedarło się słońce i zaświeciło mu w twarz. Jego ciepło wciąż było przyjemne, choć wkrótce stanie się zbyt intensywne, będzie palić skórę i wznosić białe opary, tak jakby ziemia się pociła. Mijali chaty rozbrzmiewające odgłosami poranka — płaczem dzieci, szczekaniem psów, brzękiem blaszanych garnków.

Powiedziała, że chce go zabrać do klasztoru we wsi. Żyje tam pewien mnich, U May, którego zna od dawna i który być może zdoła im pomóc. U May był jednym z niewielu ludzi — ściśle mówiąc, kto wie, czy nie jedynym — któremu Su Kyi ufała. Wyczuwała w nim coś w rodzaju pokrewnej duszy. Gdyby nie on, pewnie by nie przeżyła śmierci córeczki i męża. Był już stary, chyba po osiemdziesiątce, nie wiedziała

na pewno, i pełnił funkcję kogoś w rodzaju przełożonego klasztoru. Odkąd parę lat temu oślepl, uczył co rano niewielką grupę miejscowych dzieci. Być może będzie mógł wziąć Tin Wina pod swoje skrzydła, wywabić go z ciemności, która go obległa, nauczyć go tego, czego nauczył ją: że życie splecione jest z cierpieniem, każde życie, bez wyjątku, że nie da się uniknąć choroby, że się starzejemy i że nie ma ucieczki przed śmiercią. Takie są prawa ludzkiej egzystencji, wyjaśnił jej U May, prawa, które dotyczą każdego w każdym miejscu na świecie, choćby nie wiem jak zmieniły się czasy. Nie istnieje moc, która mogłaby zwolnić człowieka od bólu i smutku, jaki niesie ze sobą ta wiedza — chyba że zrobi to on sam. I mimo to wszystko, powtarzał po wielekroć U May, życie to dar, którym nie wolno nam wzgardzić. Dar pełen zagadek, gdzie cierpienie nierozzerwalnie splata się ze szczęściem, i wszelkie usiłowania, aby mieć jedno bez drugiego, są skazane na niepowodzenie.

Klasztor stał tuż przy głównej ulicy, otoczony kamiennym murem sięgającym człowiekowi do pasa. Za nim widniało pół tuzina małych białych pagód, udekorowanych różnokolorowymi proporczykami i małymi złotymi dzwoneczkami. Jako zabezpieczenie przed powodzią w porze deszczowej klasztor zbudowany był na palach, wysokich na dobre trzy metry. Wokół głównego budynku wyrosło przez lata wiele innych, zewnętrznych. Pośrodku tego wszystkiego wystrzelała w górę czworograniasta wieża o siedmiu zwężających się coraz bardziej kondygnacjach zakończonych złotym, widocznym z daleka szpicem. Zewnętrzne ściany były z sosnowych belek, zbrązowiałych od słońca, dachy z niemal czarnego gontu, podłogi i potężne belki konstrukcyjne z drewna tekowego.

Na froncie głównego budynku dwa skrzydła szerokich schodów wiodły na rozległą werandę, skąd troje drzwi otwierało się na długą, niemal trzydziestometrową salę. Na wprost wejścia widniał w półmroku potężny, sięgający sufitu drewniany posąg Buddy, w całości pokryty złotymi listkami. U stóp Buddy stały stoliki, uginające się od darów: była tu herbata, kwiaty, banany, mango, pomarańcze. Z tyłu, na ścianie, wisiały półki zastawione tuzinami mniejszych, połyskujących złotem posążków. Niektórzy Buddowie odziani byli w czerwone sukienki, inni trzymali parasolki z czerwonego, białego lub złotego papieru.

Su Kyi i Tin Win, trzymając się za rękę, szli przez rozległy dziedziniec ku schodom. Dwaj mnisi zamiatali wilgotną ziemię miotłami z gałązek. Na sznurze suszyły się ciemnoczerwone szaty. W powietrzu czuć było dymem; Tin Win słyszał trzask płonącego ognia.

U May siedział na podwyższeniu pod nieoszkłonym oknem w końcu sali. Nogi miał skrzyżowane, wychudłe dłonie złożone na podołku, nie poruszał się. Przed nim na niskim stoliku stał dzbanek z herbatą i filiżanka, a obok talerz z prażonymi ziarnami.

Głowę miał ogoloną na zero, oczy głęboko osadzone, policzki chude, lecz nie zapadłe. Ilekroć Su Kyi go widziała, zawsze była lekko zaskoczona. Jego twarz wydawała się jej tak przejrzysta, tak niepodobna do twarzy innych znanych jej ludzi... Był szczupły, ale nie mizerny, pomarszczony, ale nie zwiędły. Rysy stanowiły najwyraźniej odbicie jego duszy. Ani śladu zbędnego bagażu.

Su Kyi siłą rzeczy musiała wspomnieć dzień, gdy zobaczyła go po raz pierwszy. Było to ponad ćwierć wieku temu. Przyjechał pociągiem ze stolicy i stał przed budynkiem stacji. Ona szła na targ, a on, bosy, uśmiechnął się do niej. Już wtedy uderzyła ją jego twarz. Spytał ją o drogę, a ona z ciekawości towarzyszyła mu aż do klasztoru. Po drodze zaczęli rozmawiać i tak zaczęła się ich przyjaźń. Później U May opowiadał jej czasem o swoim dzieciństwie, młodości, życiu, jakie wiódł, zanim został mnichem. Niewiele tego było i nieczęsto, ot, strzępy, które Su Kyi zbierała, z nich zaś wyłonił się stopniowo pełen sprzeczności obraz.

U May pochodził z zamożnej rodziny, do której należało kilka młynów ryżu w Rangunie. Byli członkami mniejszości hinduskiej, która pojawiła się w Birmie po aneksji delty przez Brytyjczyków w roku 1852 i odtąd kontrolowała niemałą część handlu tego tętniącego życiem portowego miasta. Ojciec był apodyktycznym patriarchą o gorącym temperamentem; w rodzinie obawiano się go z racji jego gwałtownych wybuchów gniewu. Dzieci go unikały, a żona uciekła w chorobę, której nawet lekarze w Rangunie nie potrafili zdiagnozować ani uleczyć. Po urodzeniu trzeciego dziecka ojciec miał dość wiecznie kwękającej żony i odesłał ją wraz z dwojgiem młodszych dzieci do krewnych w Kalkucie. Twierdził, że będzie tam miała lepszą opiekę lekarską. U May musiał

zostać z ojcem; jako najstarszy syn miał przejąć w przyszłości rodzinny interes. Ojciec pewnie zapomniałby wkrótce o reszcie rodziny, gdyby co parę miesięcy nie przychodził z Kalkuty list informujący o znacznym polepszeniu zdrowia matki i zapowiadający jej rychły powrót, co za każdym razem napełniało U May nieopisaną radością. Z biegiem lat jednak listy przychodziły coraz rzadziej, aż wreszcie U May zdał sobie sprawę, że ostatni raz widział matkę i rodzeństwo, kiedy jako siedmioletni chłopczyk stał w porcie na przystani i odprowadzał wzrokiem odpływający do Indii statek.

I tak wychowała go domowa służba i nianie — zwłaszcza kucharka i ogrodnik, którego towarzystwa szukał, odkąd tylko nauczył się chodzić. Był spokojnym, wręcz małomównym dzieckiem, którego szczególny talent zdawał się polegać na umiejętności odgadywania oczekiwań innych i robieniu wszystkiego co w jego mocy, aby je zaspokoić.

Jego ulubionym zajęciem była zabawa w ogrodzie. W najdalszym kącie ogrodnik wydzielił mu działkę, którą on odtąd uprawiał z wielką gorliwością i oddaniem. Kiedy dowiedział się o tym ojciec, nakazał, by każdą roślinę z osobna wyrwano z korzeniami, a ziemię przekopano. Ogrodnictwo było zajęciem dla służby. Albo dla dziewcząt.

U May podporządkował się temu bez słowa, tak jak podporządkowywał się wszystkim ojcowskim poleceniom i rozkazom. Aż do dnia, gdy — nie miał wtedy nawet dwudziestu lat — ojciec ogłosił jego zaręczyny z córką okrętowego magnata. Związek byłby korzystny dla obu rodzin i obu interesów. W dwa dni później ojciec dowiedział się, że syn ma romans z Ma Mu, córką kucharki. Sprawa sama w sobie niespecjalnie go zmartwiła; takie rzeczy się zdarzały. Można było nawet znaleźć jakieś rozwiązanie w związku z ciążą szesnastolatki. Niezrozumiałe i niewybaczalne było natomiast oświadczenie syna, iż kocha tę dziewczynę. Przez parę minut rozbrzmiewał w domu niepowstrzymany śmiech ojca; wiele lat później ogrodnik przysięgał, że setki kwiatów zwiędły na ten dźwięk. U May wyjaśnił, iż w żadnym wypadku nie zamierza poślubić narzeczonej, którą wybrał mu ojciec. Jeszcze tego samego dnia ojciec spakował kucharkę wraz z córką i odesłał do swojego wspólnika w Bombaju, odmawiając synowi podania jakichkolwiek informacji o miejscu ich pobytu. W nocy U May opuścił

dom i ruszył na poszukiwanie. Przez parę lat podróżował nieustannie po brytyjskich koloniach w Azji Południowo-Wschodniej. Raz miał wrażenie, że widzi Ma Mu, a przynajmniej słyszy jej głos. Było to w porcie w Bombaju, tuż przed tym, jak jego parowiec miał odpłynąć do Rangun. Wydawało mu się, że ktoś zawołał go po imieniu; kiedy się jednak odwrócił, zobaczył wyłącznie nieznane twarze, a w oddali, na nabrzeżu, grupkę gestykujących gwałtownie mężczyzn. Podobno jakieś dziecko wpadło do wody.

Z każdym miesiącem, który mijał bez żadnej wiadomości o Ma Mu czy jej matce, U May wpadał w coraz większą rozpacz i gniew. Wściekłość, którą czuł, była mglista, nieokreślona. Nie miała ani imienia, ani twarzy, i wymierzona była głównie w niego samego. Zaczął pić, często odwiedzał domy publiczne pomiędzy Kalkutą a Singapurem i zarabiał w miesiąc na handlu opium więcej niż jego ojciec przez rok — tylko po to, aby przegrać te pieniądze w nielegalne gry. Płynąc z Kolombo do Rangun, zawarł znajomość z pewnym rozmownym handlarzem ryżu, który pewnego wieczoru na pokładzie opowiedział mu o swej dawnej birmańskiej kucharce i tragicznej śmierci jej córki oraz małego synka córki. Wpadli w porcie do wody i utonęli, kiedy młoda kobieta usiłowała pobiec za człowiekiem, który wsiadał na statek pasażerski. Według świadków, wzięła go, prawdopodobnie mylnie, za swego znajomego z Rangun. Posiłki przyrządzane przez kucharkę stały się odtąd niejadalne i ryżowy baron nie miał innego wyjścia, niż ją oddalić.

U May nigdy nie powiedział Su Kyi, co się z nim działo tej nocy. Kiedy okręt przybił do Rangun, zostawił bagaż na pokładzie i prosto z portu poszedł do klasztoru Shwegyin u stóp pagody Shwedagon. Spędził tam kilka lat, potem jeździł do Sikkim w Nepalu i do Tybetu, gdzie pod opieką słynnych mnichów zgłębiał nauki Buddy. Ponad dwadzieścia lat przeżył w małym klasztorze w hinduskim Darjeeling, aż wreszcie postanowił pojechać do Kalaw, gdzie urodziła się Ma Mu i jej matka. Młodzi kochankowie marzyli o Kalaw podczas swoich schadzek w piwnicy, w odległym zakątku ogrodu czy w pomieszczeniach dla służby. Planowali, że uciekną tam z dzieckiem. Później, przenosząc się nieustannie z miejsca na miejsce, U May nigdy nie odważył się tam

pojechać. Teraz miał uczucie, że czas dojrzał. Miał ponad pięćdziesiąt lat i zapragnął umrzeć w Kalaw.

Tin Win wciąż trzymał Su Kyi za rękę. Przeszli przez salę i oboje uklękli. Puścił jej rękę i skłonili się nisko, aż ich czoła i dłonie dotknęły podłogi.

Starzec słuchał uważnie historii Tin Wina, którą opowiadała Su Kyi. Od czasu do czasu kołysał się lekko i powtarzał pojedyncze słowa. Kiedy skończyła, długo milczał. W końcu zwrócił się do Tin Wina, który przez cały czas siedział w kucki obok Su Kyi.

Mówił powoli, krótkimi zdaniami. Przedstawił życie mnichów, którzy nie znają domu ni własności oprócz szaty na sobie i *thabeik*, miski na jałmużnę, którą zawsze noszą ze sobą. Opisał, jak co rano, tuż po wschodzie słońca, nowicjusze wędrują ulicami, jak stają w milczeniu przed domem czy przed drzwiami i przyjmują z wdzięcznością każdy datek, jaki otrzymają. Opowiedział, jak z pomocą młodszego mnicha uczy dzieci czytać, pisać i rachować. W zasadzie jednak jego głównym celem jest przekazanie im lekcji, jaką dostał od życia: że największym skarbem człowieka są myśli jego serca.

Tin Win klęczał nieporuszony i słuchał. Nie słowa tak go poraziły, lecz głos, który rzucił na niego niemal magiczny czar. Był cichy, melodyjny, subtelny i spokojny jak podzwanianie dzwoneczków na klasztornej wieży, którym do śpiewu wystarczało najlżejsze tchnienie wiatru. Głos U May przypominał mu ptaki o świcie albo spokojny, równy oddech Su Kyi, gdy leżała obok niego pogrążona we śnie. Nie tylko słyszał ten głos; czuł jego dotyk, tak jakby masowały go delikatnie jakieś dłonie. Niczego bardziej gwałtownie nie pragnął, niż by powierzyć temu głosowi ciężar swego ciała. Ciężar duszy. Im dłużej mówił stary mnich, tym bardziej wypełniał Tin Wina jego głos, i po raz pierwszy zdarzyło się coś, co w przyszłości miało powtarzać się częściej: Tin Win przekształcił dźwięki w obrazy. Widział, jak z płonącego ognia unosi się dym i rozchodzi po sali, jak płynie łagodnymi falami tam i z powrotem, niby poruszany niewidzialną ręką, jak zwija się, rozwija, tańczy, by wreszcie powoli rozplynać się w powietrzu.

W drodze powrotnej ani Tin Win, ani Su Kyi nie powiedzieli ani słowa. Trzymał ją za rękę. Była miękka i ciepła.

Nazajutrz wyruszyli do klasztoru jeszcze przed wschodem słońca. Tin Win był zdenerwowany, bo Su Kyi powiedziała mu, że spędzi kilka tygodni u mnichów. Dostanie mnisią szatę i wraz z innymi chłopcami będzie chodził po okolicy i zbierał jałmużnę. Na samą myśl o tym robiło mu się niedobrze, bał się i z każdym krokiem lęk narastał. Jak odnajdzie drogę w mieście, skoro nie potrafi przejść paru metrów — nawet na znanym terenie — żeby się nie potknąć albo z czymś nie zderzyć? Su Kyi powinna go zostawić tak jak jest, powiedział, dać mu spokój; wolałby zostać w domu, na macie do spania albo na stołku w kuchennym kącie, jedynych miejscach, gdzie czuł się bezpieczny, a w każdym razie niezagrożony.

Nie dało się jej przekonać. Tin Win szedł za nią opornie, powłócząc przez całą drogę nogami. Su Kyi miała wrażenie, że ciągnie za sobą jakieś uparte zwierzę. Wtem stanęli: z klasztoru dobiegł ich śpiew dzieci. Te głosy uspokoiły Tin Wina. Całkiem jakby ktoś pogłaskał go po twarzy i po brzuchu. Stał zamarły i słuchał. W głosy wplótł się cichy szmer poruszanych wiatrem liści. Było to jednak coś więcej niż szmer: Tin Win zdał sobie sprawę, że każdy z liści, podobnie jak głosy ludzi, ma swoje niepowtarzalne brzmienie. Tak jak w przypadku barwy, szmer miał rozmaite odcienie. Słyszał, jak potrącają się nawzajem gałązki, jak ocierają się o siebie liście. Słyszał, jak pojedyncze listki opadają lekko na ziemię, i nawet gdy płynęły w powietrzu, żaden nie wydawał takiego dźwięku jak inny. Słyszał brzęczenie i buczenie, ćwierkanie i popiskiwanie, poświsty i poszumy. Poczul, jak budzi się w nim onieśmielające rozpoznanie: czy to możliwe, by podobnie jak istnieje świat kolorów i kształtów, istniał także świat dźwięków, odgłosów i tonacji? Ukryte królestwo wrażeń słuchowych, które jest wszędzie wokół nas, choć go nie dostrzegamy? Świat jeszcze ciekawszy i bardziej tajemniczy niż ten widzialny?

Odkrył sztukę słyszenia.

Wiele lat później, w Nowym Jorku, gdy znalazł się po raz pierwszy w sali koncertowej i zaczęła grać orkiestra, znowu ożył w nim ten moment. Niemal pijany był ze szczęścia, gdy usłyszał w tle otwierający utwór cichy werbel perkusji, po chwili zaś dołączyły do niego skrzypce, altówki i wiolonczele, oboje i flety. Wzniosły swe głosy w śpiewie, tak

jak liście w tamten letni poranek w Kalaw, najpierw każdy instrument z osobna, a potem chórem, który tak poraził jego zmysły, że spocił się i zabrakło mu tchu.

Su Kyi szturchnęła go i chwiejnie podjął marsz u jej boku, pijany z wrażenia. Parę metrów dalej opuściło go ono równie nagle, jak przyszło. Słyszał teraz własne kroki, wysilony oddech Su Kyi, dziecięcy chór i pianie kogutów — nic więcej. Ale po raz pierwszy poczuł smak życia i jego dziwów, z intensywnością, która aż bolała i czasem wręcz trudno było ją znieść.

Tak to się zaczęło, choć nikt tego dnia nie był w stanie ocenić, co to znaczy.

Rozdział 3

Rozjaśniało się, kiedy dotarli do klasztoru. U May, w otoczeniu starszych mnichów, siedział w sali i medytował. Na stołeczku przy kuchni młody mnich łamał gałązki na podpałkę; wokół niego dokazywały dwa psy. Koło schodów stało rzędem dwunastu nowicjuszy w czerwonych szatach, ze świeżo ogolonymi głowami. Powitali Tin Wina i podali Su Kyi taką samą ciemnoczerwoną szatę. Zarzuciła ją na szczupłe ciało chłopca. Głowę ogoliła mu wczoraj wieczorem, i kiedy zobaczyła teraz, jak stoi pośród innych mnichów, po raz kolejny zdała sobie sprawę, że jest wysoki jak na swój wiek i że jest urodziwym chłopcem. Miał ładnie wysklepiony tył głowy, smukłą szyję, mocny, ale niezbyt długi nos, a zęby białe jak kwiat rosnącej przed ich domem gruszy. Cera miała odcień lekko cynamonowy, a liczne upadki i zadrapania nie pozostawiły na nim śladu z wyjątkiem dwóch dużych blizn na kolanach. Dłonie były wąskie, palce długie i wytworne. Nikt by nie odgadł, że jego stopy nie wiedzą, co to obuwie.

Pomimo wzrostu wyglądał bezbrinnie jak kurczak, co biega wystraszony po obejściu. Ten widok ją wzruszał. Bywało, że łzy w niej wzbierały, gdy myślała o jego samotności, o jego ubóstwie. Nie cierpiała tego sentymentalizmu. Nie chciała go żałować ani mu współczuć, chciała pomóc, a ze współczucia nic mu przecież nie przyjdzie.

Trudno jej przyszło go pozostawić, choćby tylko na parę tygodni. U May zaproponował, że weźmie go pod swoją pieczę na jakiś czas; czuła, że dobrze mu zrobi towarzystwo innych chłopców. Wspólna medytacja, lekcje, spokój, niezmienna rutyna klasztornego życia wzmocnią jego poczucie bezpieczeństwa i wiarę w siebie.

Nowicjusze wzięli go między siebie, włożyli w rękę czarną miskę, w drugą bambusowy kij. Ten, co stał w szeregu przed nim, wcisnął mu koniec kija pod pachę. Tak właśnie zamierzali oprowadzić go po okolicy. Nie upłynęło parę chwil, a kolejka małych mnichów ruszyła ostrożnym, wolnym krokiem, tak by i niewidomy mógł bez trudu

nadażyć. Przeszli przez bramę, skręcili w prawo i poszli w stronę głównej ulicy. Choć Tin Win nie mógł tego zauważyć, stosowali się do jego tempa, przyspieszając, kiedy szedł pewnie, i zwalniając, kiedy niepewność spowalniała jego krok. Niemal przed każdym domem stała kobieta lub mężczyzna z garnkiem ryżu czy jarzyn, które ugotowano dla mnichów o wczesnym ranku. Procesja coraz to się zatrzymywała, dobroczyńcy napełniali miski nowicjuszy i kłaniali się pokornie.

Tin Win trzymał się kurczowo swej *thabeik* i towarzyszy. Przywykł wędrować sam z długim kijem po polach; macał nim ziemię przed sobą, by wykryć nierówności gruntu, kamienie i gałęzie. Jednak kij bambusowy, który trzymał teraz w ręce, nie mógł mu zastąpić własnego. Czynił go zależnym od idącego przed nim towarzysza. Denerwował się też, że idzie przez wieś bez Su Kyi. Brakowało mu jej ręki, jej głosu, jej śmiechu. Mnisi byli tak milczący! Oprócz skromnego „dziękuję”, gdy kładziono im cokolwiek do miski, nie mówili nic, i ta cisza tym bardziej wyprowadzała go z równowagi. Dopiero po mniej więcej godzinie Tin Win spostrzegł, że jego bose stopy stąpają po piaszczystym gruncie coraz pewniej. Nie potykał się, nie przewracał. Ani niewielkie garby, ani dołki nie powodowały utraty równowagi. Rozluźnił chwyt, a krok stał się szybszy i dłuższy.

Kiedy wrócili do klasztoru, towarzysze pomogli mu wejść na werandę. Schody były strome i wąskie, bez poręczy, i Tin Win byłby wolał wczołgać się sam. Ale dwu mnichów wzięło go za ręce, a trzeci trzymał go mocno z tyłu, i Tin Win wchodził powoli stopień po stopniu. Jak gdyby uczył się chodzić.

Przykucnęli w kuchni na podłodze i jedli ryż z warzywami. Ogień buzował w palenisku, a na nim w zasmolonym, powgniatanym czajniku gotowała się woda. Tin Win siedział wśród towarzyszy, niegłodny, ale zmęczony. Zupełnie jakby wspiał się na górski szczyt. Nie wiedział, co wyczerpało go bardziej: długi marsz czy to, że musiał polegać na nowicjuszu, który szedł przed nim. Był tak znużony, że z trudem nadażał za tym, co mówi U May podczas lekcji, i zasnął w czasie popołudniowej medytacji. Obudził go śmiech mnichów.

Wieczorem długo leżał bezsennie. Dopiero wtedy przypomniał sobie czarowne odgłosy poranka. Czy naprawdę słyszał te niezwykle

dźwięki, czy tylko mu się przyśniło? Jeśli uszy go nie myliły, to gdzie one są teraz? Jak to możliwe, że słyszy tylko chrapanie innych mnichów, choćby nie wiem jak wyęztał słuch? Tęsknił za intensywnością doznań, jaką przeżył zaledwie kilkanaście godzin temu. Im bardziej się jednak starał, tym mniej słyszał, i w końcu nawet chrapanie i oddechy dochodziły do niego wyłącznie jakby z dużej odległości.

W kolejnych tygodniach Tin Win starał się jak mógł, aby uczestniczyć w codziennym życiu mnichów. Z każdym dniem rosło jego zaufanie do bambusowego kija, cieszyło go chodzenie po mieście bez lęku, że upadnie czy się z czymś zderzy. Nauczył się zamiatać podwórko, prać, i wiele popołudni spędzał przy niecce i tarze, piorąc mnisie szaty, aż od zimnej wody zaczynały go boleć palce. Pomagał sprzątać kuchnię i objawił niezwykły spryt, jeśli chodzi o rozpalanie ognia. Jedno przelotne dotknięcie wystarczało, by powiedział innym, czy kawałek drewna należy złamać na kolanie, czy na kamieniu. Wkrótce rozpoznawał mnichów nie tylko po głosie, ale i po tym, jak mlaskali przy jedzeniu, chrząkali czy bekali, po sposobie chodzenia i odgłosie szurania podszew o podłogę.

Najbardziej cieszyły go chwile spędzane z U May. Chłopcy otaczali go półkolem, siedząc w kucki, Tin Win zawsze w pierwszym rzędzie, nie dalej niż dwa metry od mówiącego. Jego głos wciąż miał dla niego tę moc i magię, które wywarły na nim tak głębokie wrażenie pierwszego dnia. I nawet gdy U May nic nie mówił, pozwalając, by lekcję prowadził towarzyszący mu młody mnich, Tin Win czuł jego obecność. Uspokajała go. Dawała mu poczucie bezpieczeństwa, jakiego nigdy przedtem nie zaznał. Często, gdy inne dzieci już wstały i wyszły, on pozostawał, przysuwał się bliżej do U May i zasypywał go pytaniami. Interesowała go zwłaszcza ślepotą U May.

— Jak to się stało, że nic nie widzisz? — spytał pewnego dnia.

— Kto mówi, że nic nie widzę?

— Su Kyi. Powiedziała, że jesteś ślepy.

— Ja? Ślepy? To prawda, że straciłem wzrok dawno temu. Ale to nie znaczy, że jestem ślepy. Po prostu widzę inaczej. — Urwał, a po chwili spytał: — A ty? Jesteś ślepy?

Tin Win się zastanowił.

— Potrafię odróżnić światło od ciemności, nic poza tym.

— A masz nos do wąchania?

— Oczywiście że mam.

— A ręce do czucia?

— Jasne.

— A uszy do słuchania?

— Pewnie. — Tin Win się zawahał. Czy powiedzieć U May, co się wydarzyło tamtego dnia z jego słuchem? Ale upłynęło już kilka tygodni i czasem sam nie był pewny, czy sobie tego wszystkiego nie wyobraził. Lepiej nic nie mówić.

— Czego ci więcej potrzeba? — spytał U May. — Istota rzeczy jest niewidoczna dla oczu. — Milczał długą chwilę i podjął: — Nasze organy zmysłów bardzo lubią nas zwodzić, a oczy są najbardziej zwodnicze ze wszystkich. Kuszą nas, byśmy zanadto na nich polegali. Jesteśmy przekonani, że widzimy otaczający nas świat, a przecież dostrzegamy zaledwie jego powierzchnię. Musimy nauczyć się odkrywać prawdziwą naturę rzeczy, ich istotę, a oczy raczej w tym przeszkadzają, niż pomagają. Rozpraszają nas. Chętnie poddajemy się olśnieniu. Człowiek, który zanadto polega na oczach, zaniedbuje inne zmysły, i mam na myśli więcej niż słuch czy węch. Mówię o organie wewnątrz nas, dla którego nie mamy nazwy. Nazwijmy go kompasem serca.

Tin Win nie rozumiał, co U May ma na myśli, i chciał o coś spytać, ale stary nie pozwolił mu dojść do słowa. Podał chłopcu rękę i Tin Win zdziwił się, że jest taka ciepła.

— Musisz się nauczyć stale o tym pamiętać. Człowiek bez oczu musi być świadomy. Łatwiej to powiedzieć, niż zrobić. Musisz zwracać uwagę na każdy ruch i każdy oddech. Kiedy staję się nieuważny czy pozwalam sobie na rozproszenie myśli, zmysły prowadzą mnie na manowce. Robią mi psikusy niczym źle wychowane dziecko, które chce zwrócić na siebie uwagę. Kiedy jestem na przykład zniecierpliwiony, chcę, żeby wszystko wydarzało się zbyt szybko. Moje ruchy stają się pośpieszne, wylewam herbatę czy miskę zupy. Nie słyszę tak naprawdę, co mówią inni, bo w myślach jestem już gdzie indziej. Albo kiedy buzuje we mnie gniew. Kiedyś rozgniewałem się na młodego mnicha i zaraz

potem wdepnąłem w kuchenne palenisko. Nie słyszałem trzaskania ognia, nie czułem woni dymu. Gniew przytępił moje zmysły. Oczy i uszy to nie problem, chłopcze. To gniew nas oślepia i ogłusza. Albo strach. Zazdrość. Brak zaufania. Świat się kurczy, wypada z kolein, kiedy jesteś w gniewie albo się boisz. Dotyczy to i nas, i tych, co widzą oczami. Tyle że oni tego nie zauważają.

U May spróbował się podnieść. Tin Win skoczył, żeby mu pomóc. Starzec wsparł się na jego ramieniu i powoli wyszli z sali na werandę. Zaczęło padać. Żadna gwałtowna ulewa, lecz łagodny, spokojny letni deszczyk. Woda kapiała z dachu tuż przed ich stopami. U May nachylił się; deszcz padał teraz na jego ogoloną czaszkę, spływał po karku i plecach. Pociągnął ucznia za sobą. Tin Win poczuł krople na głowie, płynęły mu po czole, policzkach, nosie. Otworzył usta i wystawił język, by spłynęły i na niego.

Woda była ciepła i leciutko słona.

— Czego się boisz? — spytał nagle U May.

— Dlaczego uważasz, że się boję?

— Twój głos.

Tin Win liczył, że jego uczucia pozostaną niewidoczne dla U May.

Choć bardzo się starał przystosować do klasztorного życia, nadal zdarzały mu się skrajnie trudne dni. Były jak nagłe zawroty głowy, które przychodzą i odchodzą, i nigdy nie wiedział, co spowodowało ten stan i jak długo potrwa. W takim dniu każdy krok był trudny, a uszy i wycucie kierunku stale go zawodziły. Z lekcji nie rozumiał ani słowa, każdy dźwięk był przytłumiony, tak jakby miał głowę pod wodą. Wpadał na belki konstrukcyjne i ściany, przewracał czajniki i kubki z wodą i wieszał pranie tak niezręcznie, że wkrótce leżało na ziemi. Czuł się samotny i bezgranicznie smutny; bezsilny był wobec tych uczuć. Ale jeszcze gorszy był strach. Nie wiedział, czego się boi, ale lęk niemal go nie opuszczał. Towarzyszył mu jak cień w słoneczne dni. Czasem był niewielki, ledwie dostrzegalny, i umiał nad nim zapanować. W inne dni za to odradzał się, narastał, aż ręce miał lepkie od zimnego potu, a ciało drżało niby w gorączce.

Chciałby mieć dla U May jakąś przekonującą odpowiedź, ale miał tylko fragmenty i nie wiedział, czy przekazują one jakąś prawdę. Stali w

milczeniu naprzeciw siebie. Gołębie gruchały na podstrzeszu. Po paru minutach stary mnich spytał ponownie:

— Czego się boisz?

— Nie wiem — odparł cicho Tin Win. — Ciszy w nocy. Głosów w dzień. Grubego żuka, który wpełza w moje sny i mnie gryzie, dopóki się nie obudzę. Pniaków, na których siedzę i z których spadam, ale nie uderzam o ziemię. I strachu. Czasem po prostu boję się strachu i nie mogę się przed nim obronić. Jest silniejszy niż ja.

U May pogładził go obiema dłońmi po policzkach.

— Każdy z nas się boi, każda żywa istota. Strach krąży wokół nas jak muchy wokół ośle kupy. Strach podrywa zwierzęta do ucieczki. Biegna, leca lub pływają, dopóki nie poczują się bezpieczne albo nie padną martwe z wyczerpania. My, ludzie, nie jesteśmy tak naprawdę mądrzejsi. Czujemy, że nie ma takiego miejsca na ziemi, gdzie moglibyśmy się ukryć przed strachem, a mimo to wciąż usiłujemy je znaleźć. Dążymy do bogactwa i władzy. Oddajemy się złudzeniu, że jesteśmy silniejsi od strachu. Próbuje panować. Nad dziećmi i żonami, nad sąsiadami i przyjaciółmi. Ambicja i strach mają ze sobą coś wspólnego: ani jedno, ani drugie nie zna granic. Ale z władzą i bogactwem jest tak jak z opium, którego nie raz próbowałem w młodości: nigdy nie dotrzymują obietnic. Opium nie przyniosło mi wiecznego szczęścia, żądało tylko ode mnie coraz więcej i więcej. Pieniądze i władza nie likwidują strachu. Jedna jest tylko siła potężniejsza niż strach. Miłość.

Tego wieczoru Tin Win leżał nieruchomo na słomianej macie. Oprócz U May wszyscy mnisi sypiali w dużym pomieszczeniu obok kuchni. Rozkładali maty na deskach podłogi i owijali się w wełniane koce. Przez szpary w podłodze przenikał chłód nocy. Tin Win nasłuchiwał. Słyszał, jak szczeka pies, a inny mu odpowiada. Potem drugi i trzeci. Ogień w kuchni wciąż cichutko trzaskał. Dzwoneczki na dachu podzwaniały, aż ucichł lekki wietrzyk i uspokoiły się także one. Tin Win śledził, jak mnisi zasypiają jeden po drugim, jak ich oddechy stają się spokojne i regularne. I naraz wszystkie dźwięki zniknęły. Zapadła cisza, głęboka jak nigdy dotąd. Tak jakby świat się rozplynął. Tin Win runął w przepaść. Obrócił się w locie, przekoziołkował, wyciągnął ramiona, usiłując się czegoś uchwycić, gałęzi, ręki, krzaka,

czegokolwiek, byle powstrzymać upadek. Nie było nic. Zapadał coraz głębiej i głębiej, dopóki nieoczekiwanie znowu nie usłyszał oddechu obok siebie. I psów. I warczenia motocykla. Może zasnął na chwilę i mu się przyśniło? Czy też był przytomny i na parę sekund naprawdę przestał słyszeć? Czy uszy zaczynają go zawodzić? Tak po prostu?

Czy straci słuch, tak samo jak stracił wzrok? Strach go ogarnął, i pomyślał o U May. Jedna jest tylko siła potężniejsza niż strach: miłość, powiedział U May, a on odpowiedział, że nie wie, co to miłość. Starzec go pocieszył. Znajdzie ją. Nie może tylko jej szukać.

Rozdział 4

Su Kyi szła klasztornym dziedzińcem. W cieniu figowego drzewa stało sześciu mnichów, którzy powitali ją ukłonem. Z daleka już dostrzegła Tin Wina. Siedział na najwyższym stopniu schodów z grubą książką na kolanach i z lekko uniesioną głową wodził palcem po stronicy, poruszając ustami, tak jakby mówił do siebie. Od prawie czterech lat, ilekroć przychodziła, aby zabrać go do domu, zastawała go na czytaniu. Ileż to się wydarzyło w ciągu tych paru lat! Chociażby zeszły tydzień! U May mówił po raz kolejny, jak zmienił się Tin Win i jaki jest zdolny. Był najlepszym i najpracowitszym uczniem. Miał niezwykle dar koncentracji i często zdumiewał nauczyciela swą pamięcią, wyobraźnią, umiejętnością formułowania wniosków, jakich U May nigdy nie spotkał u chłopca niespełna piętnastoletniego. Potrafił cytować treść lekcji sprzed wielu dni, bez wysiłku, od początku do końca. W ciągu paru minut rozwiązywał w pamięci zadania matematyczne, gdy inni potrzebowali do tego półgodzinnego posługiwania się tabliczką. Stary mnich cenił go tak dalece, że po pierwszym sezonie zaczął udzielać mu popołudniami dodatkowych, prywatnych lekcji. Wyciągnął ze skrzyni pisane braille'em książki, które podarował mu przed laty pewien Anglik. W ciągu kilku miesięcy Tin Win opanował alfabet. Przeczytał wszystko, co zgromadził U May przez lata, i niedługo miał znać każdą książkę w klasztorze. Na szczęście U May przyjaźnił się z emerytowanym brytyjskim oficerem, którego syn urodził się niewidomy, i dlatego miał w posiadaniu całą bibliotekę pisanych braille'em książek. Można więc było stale zaopatrywać Tin Wina w nowe dostawy. Wręcz pochłaniał baśnie, biografie, relacje z podróży, powieści przygodowe, gry, nawet traktaty filozoficzne. Niemal codziennie taskał do domu nową książkę, i choćby wczoraj po raz kolejny przebudziło ją w nocy jego mamrotanie. Siedział w kucki na łóżku, z książką na kolanach i niby w pieszczocie wodził po ciemku dłońmi po stronicach i powtarzał szeptem każde zdanie, które wyczuły

jego palce.

— Co ty robisz? — spytała.

— Podróżuję — odparł.

Choć na wpół przytomna, musiała się uśmiechnąć. Zaledwie parę dni wcześniej wytłumaczył jej, że to nie jest po prostu czytanie, że podróżuje wraz z książkami, że przenoszą go do obcych krajów, na nieznane lądy i że dzięki nim poznaje nowych ludzi, z których wielu zostaje jego przyjaciółmi.

Su Kyi pokręciła wtedy głową, bo w życiu poza książkami najwyraźniej nie potrafił zawierać przyjaźni. Choć szkoła wiele mu dała, był jak dawniej nieśmiały i wycofany, i pomimo zaangażowania w naukę jego kontakty z innymi chłopcami były sporadyczne i powierzchowne. Wobec mnichów był grzeczny, ale z dystansem, i Su Kyi martwiła się coraz bardziej, że nikt tak naprawdę nie potrafi do niego dotrzeć. Nikt — z wyjątkiem, być może, jej i U May, ale i tego nie była pewna. Nie, Tin Win żył we własnym świecie, i czasami Su Kyi przyłapywała się na tym, iż zadaje sobie pytanie, czy on jest samowystarczalny, czy naprawdę nie potrzebuje niczyjego towarzystwa.

Su Kyi stanęła pod schodami i cmoknęła. Tin Win był tak zatopiony w książce, że nie zwrócił na to uwagi. Patrzyła na niego i po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że nie ma już przed sobą dziecka. Wystrzelił w górę i przewyższał teraz wzrostem innych mnichów, miał mocne ramiona i szerokie barki wiejskiego chłopca, lecz delikatne dłonie złotnika. W jego rysach wyczuwała już młodego mężczyznę, jakim wkrótce miał się stać.

— Tin Win! — zawołała.

Zwrócił ku niej głowę.

— Muszę jeszcze coś kupić na targu, zanim pójdziemy do domu. Pójdiesz ze mną czy wolisz poczekać?

— Poczekam.

Bał się przewalającego się pomiędzy straganami tłumu. Za dużo ludzi, za dużo nieznanych dźwięków, obcych woni... Oszołomiony, mógł się potknąć.

— Pośpieszę się — obiecała Su Kyi i poszła.

Tin Win wstał. Obciągnął nowe zielone *longyi*, związane w pasie

na mocny węzeł, i ruszył werandą do klasztornej sali. Zbliżał się do kuchennego paleniska, kiedy usłyszał jakiś nieznany odgłos. W pierwszej chwili pomyślał, że ktoś postukuje kawałkiem drewna w rytm tykania zegara, jednak dźwięk nie był ani tępy, ani dostatecznie mocny. Zupełnie inny jednostajny rytm... Tin Win znieruchomiał. Znał każde pomieszczenie, każdy kąt, każdą belkę klasztornego budynku, ale nigdy nie słyszał takiego odgłosu. Ani tu, ani nigdzie. Skąd dochodził? Ze środka sali?

Wyteżył słuch. Postąpił krok i znowu zamarł w bezruchu, nasłuchując. O, znów ten dźwięk, głośniejszy i wyraźniejszy niż poprzednio. Coś jakby pukanie, jak ciche, delikatne dudnienie. Chwilę później dołączyło do niego szuranie nóg: kroki mnichów. Z kuchni dobiegło ich bekanie i bąki. Usłyszał skrzypienie podłogi i zgrzyt okiennic. Gruchanie gołębi na podstrzeszu. W górze coś zachrobotало. Karaluch... a może chrząszcz, pełznący po dachu. A ten rytmiczny szelest tam, na ścianie? Muchy pocierają jedna o drugą tylne nóżki? Z góry coś spłynęło. Piórko. Korniki drażnyły belki pod jego nogami. Tchnienie wiatru uniosło w powietrze drobiny piasku na podwórzu, by po chwili pozwolić im opaść. Z dala dobiegło parskanie wołów na polach i stłumiony gwar targowiska. Miał wrażenie, że powoli uniosła się jakaś zasłona, by znowu odkryć przed nim świat, który raz już kiedyś na krótko odnalazł, a potem utracił. Ukryte królestwo zmysłów, za którym tak tęsknił. Sztukę słyszenia. Odzyskał ją.

A przez wszystkie te szelesty, poskrzypywania, trzaski, chroboty, gruchanie, ciurkanie, poszumy, pomruki — dochodziło to niemożliwe do pomylenia z innym dźwiękiem, nieodparte dudnienie. Wolne, spokojne, równomierne. Jak gdyby stanowiło źródło wszystkich dźwięków, odgłosów i tonów na świecie. Było zarazem mocne i delikatne. Tin Win zwrócił się w jego stronę i zawahał. Czy ośmieli się podejść? A jeśli je spłoszy? Uniósł nieśmiało nogę, wstrzymał oddech. Wyteżył słuch... Nadal było. Odważył się zrobić krok, potem drugi. Ostrożnie stawiał jedną stopę przed drugą, jakby bał się na coś nadepnąć. Po każdym kroku zamierał na moment, by upewnić się, czy odgłos nie zniknął. Był jednak coraz wyraźniejszy. Wreszcie Tin Win przystanął. To musi być tu.

— Jest tu ktoś? — szepnął.

— Tak. Pod twoimi nogami. Mało brakowało, a byłbyś się o mnie potknął.

Głos należał do dziewczyny. Nie rozpoznawał go. Na próżno usiłował przywołać jej obraz.

— Kim jesteś? Jak się nazywasz?

— Mi Mi.

— Słyszysz ten dudniący odgłos?

— Nie.

— To musi być gdzieś tutaj. — Tin Win ukląkł. Teraz słyszał go niemal tuż przy uchu. — Słyszę go coraz wyraźniej. Takie ciche pulsowanie. Naprawdę nie słyszysz?

— Nie.

— Zamknij oczy.

Mi Mi zamknęła oczy.

— Nic nie słyszę — powiedziała i roześmiała się. Tin Win pochylił się i poczuł na policzku jej oddech.

— To chyba pochodzi od ciebie. — Przysunął się jeszcze bliżej i przyłożył głowę do jej piersi.

Tak. To biło jej serce.

Jego własne serce gwałtownie przyspieszyło. Miał niemal wrażenie, że podsłuchuje, że dowiaduje się o czymś, czego wiedzieć nie ma prawa. Strach nim owładnął — dopóki nie położyła mu ręki na policzku. Fala ciepła przeniknęła całe jego ciało i zapragnął, by nigdy nie zabierała tej ręki. Wyprostował plecy i usiadł przy niej w kucki.

— Twoje serce. To twoje serce słyszałem.

— Z takiej odległości? — Znowu się roześmiała, ale bez drwiny. Słyszał to w jej głosie. To był śmiech, któremu mógł zaufać.

— Nie wierzysz mi? — spytał.

— Nie wiem. Może. A jak ono brzmi?

— Cudownie. Nie, bardziej niż cudownie. Brzmi jak... — zająknął się, szukając właściwego słowa. — Nie potrafię tego opisać. Jest niepowtarzalne.

— Musisz mieć dobre uszy.

Mógłby pomyśleć, że bawi się jego kosztem. Ale z jej tonu

wiedział, że tak nie jest.

— Tak. Nie... Nie jestem pewien, czy to uszy są organem, za pomocą którego słyszymy.

Zamilkli. Tin Win zapragnął ją o coś spytać, cokolwiek, byle usłyszeć znowu jej głos.

— Byłaś tu kiedyś wcześniej? — spytał po chwili.

— Nie.

Nie wiedział, co powiedzieć. Bał się, że ona może wstać i odejść. Może powinien mówić bez przerwy, może jego głos ją zatrzyma? Stałaby i słuchała, dopóki by mówił.

— Nigdy dotąd... nigdy dotąd... — nie wiedział, jak to wyrazić — ...nie zauważyłem cię w klasztorze — zakończył wreszcie.

— Wiem. Ja cię widziałam wiele razy.

— Mi Mi, gdzie się podziewasz? — rozległ się jakiś kobiecy głos.

— W sali, mamó!

— Musimy wracać do domu!

— Idę!

Słyszał, że się podnosi, ale nie wstała. Wyciągnęła rękę i szybko pogłaskała go po policzku.

— Muszę iść. Do zobaczenia — powiedziała i usłyszał, że się oddala. Nie szła. Czołgała się na czworakach.

Rozdział 5

Tin Win usiadł na podłodze, podciągnął kolana i złożył na nich głowę. Gdyby mógł, najchętniej siedziałby tak do końca dnia, przez noc, przez cały następny dzień. Tak jakby wszelki ruch mógł zburzyć to, co przeżył. Mi Mi odeszła, ale pozostało z nim bicie jej serca. Pamiętał je, słyszał, zupełnie jakby siedziała obok. A inne odgłosy i dźwięki? Podniósł głowę i obróciwszy ją powoli z jednej strony w drugą, nasłuchiwał. Na dachu wciąż trwały ciche chroboty. Na ścianie nadal coś rytmicznie szeleściło, a w belkach skrobało. Parskanie bawołów na polach, śmiech gości w herbaciarniach... słyszał to wyraźnie, był pewien. Podniósł się ostrożnie. Nie do wiary... Umiejętność słyszenia nie zniknęła. Odgłosy, znane i nieznanne, wciąż trwały. Niektóre były głośniejsze, inne cichsze, ale ich wyrazistość i moc nie zmalowały. Czy pomogą mu odnaleźć drogę w świecie?

Podszedł do drzwi, zszedł po schodkach werandy i ruszył przez podwórko. Chciał przejść się tam i z powrotem po głównej ulicy. Chciał poznać miasto na nowo, osłuchać je. Nieznane dotąd odgłosy natarły na niego ze wszystkich stron. Świat dudnił, huczał, szeleścił i trzaskał. Tin Win słyszał syczenie i bulgotanie, piski i skrzeki, i żadne z tego potopu wrażeń słuchowych nie budziło w nim lęku. Zauważył, że uszy funkcjonują niemal tak samo jak oczy. Pamiętał, jak to jest, kiedy się patrzy na las: widzi się dziesiątki drzew, setki gałęzi i tysiące liści równocześnie, nie mówiąc już o łące pełnej kwiatów, ziół i zarośli. Pamiętał, że jakoś ani jedno, ani drugie nie wywoływało w nim wrażenia zamętu. Oczy skupiały się na paru szczegółach widoku; reszta stanowiła tło. I z każdym, najmniejszym nawet ruchem źrenic zmieniał punkt koncentracji i dostrzegał nowe szczegóły, nie tracąc zarazem z oczu pozostałych. To właśnie przeżywał i teraz. Chwytał słuchem taką mnogość odgłosów, że nie zdołałby ich wyliczyć, a mimo to nie zlewały się, nie traciły odrębności. Tak jak poprzednio kierował wzrok to na źdźbło trawy, to na kwiat, to na ptaka, tak i teraz mógł skierować ucho

na konkretny dźwięk, słuchać go bez pośpiechu i zawsze wychwycić w nim nowe tony.

Szedł powoli wzdłuż ściany klasztoru, przystając od czasu do czasu, aby słuchać. Nie mógł się nasycić tymi wszystkimi dźwiękami, co wypełniały powietrze. Z domu po drugiej stronie ulicy dochodziło trzaskanie płonącego ognia. Ktoś obierał czosnek i imbir i siekał je drobno, kroił pomidory i cebulę, wsypywał ryż do wrzątku. Znał te odgłosy z domu, z gotowania Su Kyi, i słyszał je teraz wyraźnie, choć od budynku musiało go dzielić co najmniej pięćdziesiąt metrów. W głowie wyłonił mu się też obraz — nawet oczami nie widziałby go wyraźniej — młodej kobiety, pocącej się przy kuchni. Za sobą słyszał sapanie konia i człowieka wypluwającego na chodnik sok z przeżutych orzeszków betelu. A z tyłu innych dźwięków — co jeszcze mógł wyłowić? Melodyjny szczebiot, skrzek, krakanie? Nawet jeśli rozpoznawał dźwięk, nie wiedział, do kogo lub czego należy. Słyszał trzask złamanej gałązki, ale czy była to gałązka sosny, awokado, figi, bugenwilli? A ten szelest pod stopami? Czy to wąż, mysz, chrząszcz... a może coś innego, czego nawet nie potrafi sobie wyobrazić? Tin Win zrozumiał, że jego niezwykła umiejętność sama w sobie nie przyniesie mu wiele pożytku. Potrzebował pomocy. Te dźwięki były jak słownik nowego języka: musiał najpierw nauczyć się znaczenia słów, by zrozumieć, co mówi do niego świat. Potrzebował tłumacza, kogoś, kto będzie mu towarzyszył na badawczych wyprawach, kto zapozna go z życiem. Musi to być ktoś cierpliwy, kto nie wyśmieje go, gdy będzie utrzymywał, że słyszy bicie serca. Ktoś, na kim mógłby polegać, komu mógłby zaufać, kto powie mu prawdę i nie sprowadzi go dla własnej przyjemności na manowce. Taką osobą była Su Kyi. Któż by inny?

Był już na głównej ulicy i pierwsze, co usłyszał, to nieprzerwane dudnienie po obu jej stronach. To były serca przechodniów. Ku jego zaskoczeniu, każde wydawało odmienny dźwięk niż pozostałe, tak jak odmiennie brzmi każdy głos. Niektóre były lekkie i jasne jak głos dziecka, inne łomotały zajadle niczym dzięcioł w pień drzewa. Były takie, co przypominały podekscytowane popiskiwanie kurczątka, i inne, których równe, spokojne uderzenia przywodziły mu na myśl bicie ściennego zegara, który Su Kyi co wieczór nakręcała w domu wuja.

— Tin Win? Co ty tu robisz sam na głównej ulicy?

To przyszła po niego Su Kyi. Była wystraszona, słyszał to w jej głosie.

— Pomyślałem, że pójde na róg i poczekam na ciebie — odparł.

Wzięła go za rękę i ruszyli. Minęli herbaciarnie i meczet, przy pagódce skręcili i powoli zaczęli wspinać się na wzgórze, gdzie mieszkali. Su Kyi coś mu opowiadała, ale nie zwracał uwagi na jej słowa. Słuchał serca. Z początku jego głos brzmiał dziwnie. Biło tak nieregularnie! To lekkie, jasne uderzenie, to ciemne, gwałtowne... Zmieszał go i zaniepokoił ten kontrast z tak dobrze znanym głosem. Po paru minutach jednak przyzwyczyił się do tego rytmu i odkrył, że pasuje do Su Kyi, bo i jej usposobienie i nastrój czasem nieoczekiwanie się zmieniały, podobnie jak głos.

Po powrocie do domu nie mógł się doczekać, żeby poprosić Su Kyi o pomoc. Usiadł w kuchni na stołeczku i słuchał. Słyszał, jak Su Kyi rąbie na zewnątrz drzewo. Wokół niej biegały z gdakaniem kury. Sosny kołysały się na wietrze. Śpiewało kilka ptaków. Te dźwięki potrafił rozpoznać i określić. Wtem dobiegł go cichy szelest. A może raczej bzykanie? Czy podekscytowane cykanie? Czy to świerszcz, czy pszczoła? Jeśli Su Kyi potrafi mu podać źródło tego dźwięku, nauczy się pierwszego nowego słówka.

— Su Kyi, chodź tu, proszę! — zawołał podniecony.

Odłożyła siekierę i weszła do kuchni.

— O co chodzi?

— Poznajesz, co to tak bzyka?

Zamilkli i zaczęli nasłuchiwać. Wiedział z uderzeń jej serca, mocnych i szybkich, że się nateża i skupia. Biło teraz tak, jak parę minut temu, kiedy wspinali się pod górę.

— Nie słyszę żadnego bzykania.

— Dochodzi z góry, znad drzwi. Widzisz tam coś?

Su Kyi podeszła do drzwi i utkwiała wzrok we wskazanym miejscu.

— Nie.

— Przyjrzyj się dokładnie. Co tam jest?

— Nic, tylko listwy i kurz. A co by miało być?

— Nie wiem, ale dochodzi stamtąd jakiś dźwięk. Chyba z rogu,

tam gdzie ściany zbiegają się z dachem.

Su Kyi przyjrzała się dokładnie. Wszystko było jak zawsze.

— Spróbuj wejść na stołek. Może z bliska będziesz widzieć lepiej?

Su Kyi weszła na stołek i uważnie obejrzała wszystkie deski po kolei. Może jej oczy nie były najlepsze, i nawet to, co miała tuż przed nosem, nie było tak ostre jak kiedyś, to jednak widziała jasno: w tym ciemnym kącie kuchni — choćby nie wiem jak wyteżęła wyobraźnię — nie było nic, co by miało bzykać czy w ogóle wydawać jakikolwiek dźwięk. Tłusty pajak tkął swoją sieć, to wszystko.

— Nic nie ma. Możesz mi wierzyć.

Tin Win wstał. Opuściła go pewność siebie. Czy ma ufać Su Kyi, czy własnym zmysłom?

— Wyjdiesz ze mną na podwórko? — spytał.

Stanęli przed chatą. Wziął ją za rękę i starał się skupić na jedynym dźwięku, którego nie znał: odgłosie ssania czy chleptania.

— Słyszysz to chleptanie, Su Kyi?

Czuła, jakie to dla niego ważne, by i ona je słyszała. Nie mogła jednak złowić uchem żadnego dźwięku, które towarzyszyłby picciu — czegokolwiek przez kogokolwiek.

— Jesteśmy tu sami, chłopcze. Nikt nic nie pije na naszym podwórku.

— Nie mówię, że ktoś coś pije. Słyszę dźwięk, który brzmi jak ssanie albo chleptanie. Niedaleko od nas.

Su Kyi zrobiła parę kroków.

— Dalej, troszeczkę dalej.

Poszła dalej. Doszła niemal do płotu. Uklękła na ziemi i milczała.

— Słyszysz? — To nie było pytanie, lecz żądanie, i życie by oddała, aby je spełnić. Ale nie słyszała nic.

— Nie.

— Co widzisz?

— Płot. Trawę. Ziemię. Kwiaty. Nic, co by miało ssać czy chleptać.

Wtem jej spojrzenie padło na żółtą orchideę. Z wnętrza kwiatu wypełzała pszczoła. Su Kyi wstała.

Rozdział 6

Twarz miał zapiaszczoną. Czuł go na ustach, pomiędzy zębami. Leżał w kurzu na skraju drogi, bezradny jak przewrócony na plecy chrząszcz. Był bliski łez, nie dlatego, by zrobił sobie jakąś krzywdę, raczej ze wstydu i złości. Powiedział Su Kyi, żeby dziś po niego nie przychodziła, że tym razem wróci z klasztoru sam. Pewien był, że odnajdzie drogę. Po tylu latach?

Nie wiedział, czy potknął się na kamieniu, korzeniu czy wyżłobionej przez deszcz koleinie. Wiedział tylko, że popełnił najgłupszy z błędów: był zbyt pewny siebie. Przestał być uważny. Stawiał jedną stopę przed drugą bez należytego skupienia, w roztargnieniu. Nie wiedział, czy widzący naprawdę potrafią zwracać uwagę na kilka rzeczy naraz, czy tylko tak mówią, wiedział tylko, że on nie potrafi. Na domiar wszystkiego był zły, a to uczucie zawsze siało spustoszenie w jego świecie. U May miał rację. Złość i gniew oślepiały i ogłuszały. Ilekroć je czuł, zawsze mąciły mu zmysły, sprawiały, że się potykał, wpadał na drzewa i ściany... Pozbierał się, otarł twarz z brudu połą *longyi* i ruszył dalej. Szedł niepewnie, po każdym kroku przystawał i badał ścieżkę bambusowym kijem. Tak jakby wkroczył na terytorium wroga.

Chciał jak najszybciej znaleźć się w domu. Właściwie zamierzał pierwotnie pozwolić, by prowadziły go uszy, zbadać dokładniej okolicę, odkryć nowe odgłosy i zanalizować je, może nawet zaryzykować i zapuścić się na targ, o którym tak często mówiła Su Kyi. Teraz jednak bał się tej otaczającej go zasłony dźwięków. Pełno było ćwierkania, syczenia, pisków, pomruków, i każdy z tych dźwięków budził lęk. Skrzywił się, gdy zaszczekał pies. Bał się paplaniny i mamrotania przechodniów, które z każdym krokiem narastały.

Najchętniej uciekłby stąd jak najszybciej. Zamiast pobiec, musiał wymacywać drogę stopą, pełznąć krok za krokiem, trzymając się ścian, przekradać się główną ulicą, kurczowo trzymając się kija jak rozbitek

deski. Skręcił w prawo i odnotował, że zaczyna się wzniesienie. Nagle jakiś nieznany głos zawołał go po imieniu.

— Tin Win! Tin Win!

Odetchnął głęboko, próbując się skoncentrować.

— Tin Win!

Zaczynał rozpoznawać ten głos.

— Mi Mi? — spytał.

— Tak.

— Co ty tu robisz?

— Siedzę przy tej białej pagódce i czekam na brata.

— Gdzie on jest?

— Co tydzień chodzimy na targ sprzedawać kartofle. Teraz poszedł zanieść kurczaka i ryż chorej ciotce, co mieszka na wzgórzu. Potem po mnie przyjdzie.

Tin Win ostrożnie ruszył w stronę pagody. Wciąż się potykał, tak jakby ktoś celowo ułożył na jego drodze kamienie i patyki, i mógł tylko mieć nadzieję, że będzie mu zaoszczędzone ostateczne upokorzenie: upadek w kurz na oczach Mi Mi. Po odgłosach, jakie wydawał kij, poznał, że dotarł do pagody i usiadł obok dziewczyny. Wtedy usłyszał bicie jej serca i z każdym uderzeniem uspokajał się coraz bardziej. Nie potrafił sobie wyobrazić piękniejszego dźwięku. Głos jej serca był inny niż wszystkie — miękki, bardziej melodyjny. Nie biło, lecz śpiewało.

— Masz brudną koszulę i *longyi*. Przewróciłeś się? — spytała.

— Tak. To nic takiego.

— Nic ci się nie stało?

— Nie.

Powoli odzyskiwał pewność siebie. Każdy kamień wracał powoli na zwykłe miejsce. Każdy dźwięk odzyskiwał natężenie, do którego był przyzwyczajony. Mi Mi przysunęła się do niego. Jej zapach przypominał mu woń sosen po pierwszej ulewie w porze deszczowej. Słodki, ale nie ciężki, bardzo delikatny, tak jakby się składał z wielu cieniutkich warstewek. Po pierwszym deszczu zawsze kładł się w lesie na poszyciu i pił ten aromat, wdychał go powoli, głęboko, dopóki nie zakręciło mu się w głowie.

Przez chwilę milczeli i Tin Win znowu spróbował nasłuchiwać.

Usłyszał jakby cichutkie bębnienie czy kapanie. Dobiegało od strony pagody. Spytał Mi Mi, czy ona też to słyszy? A jeśli tak, to czy mogłaby zobaczyć, co to takiego, tak żeby mógł to sobie sklasyfikować i zapamiętać na przyszłość? Zawahał się. A jeśli ona nic nie usłyszy i nie zobaczy? Wtedy poczuje się jeszcze bardziej samotny niż wczoraj z Su Kyi. Poza tym nie chciałby wyjść na głupka w oczach Mi Mi. Lepiej nic nie mówić... Ale pokusa była zbyt wielka. W końcu postanowił działać stopniowo, pytanie po pytaniu, i kontynuować lub nie zależnie od tego, jak ona zareaguje.

— Słyszysz ten odgłos kapania? — spytał z wahaniem.

— Nie.

— Może to właściwie nie jest kapanie. Brzmi raczej jak delikatne postukiwanie. — Szybko zastukał paznokciem w bambus. — Coś takiego.

— Nic nie słyszę.

— Mogłabyś rzucić okiem za pagodą?

— Tam nic nie ma, tylko krzaki.

— A w krzakach? — Z trudem ukrywał podniecenie. Gdyby tak mogła mu pomóc, gdyby rozwiązał chociaż tę jedną jedyną zagadkę!

Mi Mi wczołgała się za malutką świątynkę. Zarośla były gęste, ostre gałązki drapały po twarzy. Nie widziała nic, co mogłoby wydawać dźwięk opisany przez Tin Wina. Widziała tylko ptasie gniazdko, to wszystko.

— Nic nie ma.

— Powiedz dokładnie, co widzisz — poprosił.

— Gałązki. Liście. I ptasie gniazdko.

Tin Win się zastanowił.

— A co jest w gniazdku?

— Nie wiem, ale wygląda na opuszczone.

— Ten odgłos na pewno dochodzi z gniazdko. Możesz przyjrzeć się dokładniej?

— Nie dam rady. Jest za wysoko. Nie dosięgnę.

Dlaczego ona nie może po prostu wstać i zajrzeć do gniazdko? Było przecież tuż przed nią. Wystarczyłby rzut oka... jedno szybkie zerknięcie i już by wiedział, czy może ufać swoim uszom, czy nie.

Mi Mi wypełzła zza rogu.

— Myślisz, że co tam jest?

Milczał chwilę. Czy mu uwierzy? A może go wyśmiej? Ale czy miał wybór?

— Jajeczko. Myślę, że ten stukot to bicie serca niewyklutego pisklęcia.

Mi Mi się roześmiała.

— Żartujesz. Nikt nie słyszy aż tak dobrze.

Tin Win milczał. Co można na to powiedzieć?

— Jeśli mi pomożesz, to mogę sprawdzić, czy masz rację — powiedziała po chwili Mi Mi. — Możesz mnie wziąć na plecy?

Tin Win przykucnął, Mi Mi objęła go za szyję. Tin Win powoli się wyprostował. Stał niezgrabnie, chwiejąc się na boki.

— Za ciężka jestem? — spytała.

— Nie, skąd. — Nie chodziło o wagę. Nie był przyzwyczajony do uczucia, że trzyma kogoś na plecach. Objęła go nogami za biodra, a on splótł z tyłu ręce, żeby ją podtrzymać. Nie mógł teraz wziąć kija do ręki, a nie znał terenu przed sobą. Kolana się pod nim ugięły.

— Nie bój się. Ja cię poprowadzę. — Wyczuła jego zdenerwowanie.

Tin Win postąpił o krok.

— Dobrze. Teraz drugi. Ostrożnie, masz przed sobą kamień. Nie przestrasz się.

Tin Win wymacał kamień lewą stopą, sprawdził jego położenie i postawił stopę za nim. Mi Mi poprowadziła go tak za pagódkę. Jedną ręką odgarniała gałęzie od twarzy.

— O, tutaj. Jeszcze jeden krok. I jeszcze jeden. — Poczuł, że wspiera się rękami o jego ramiona, podciąga w górę i nachyla. Serce mu biło, ledwie mógł utrzymać równowagę.

— Jedno. Nieduże.

— Jesteś pewna?

Nawet nie usiłował ukryć triumfu. Przykucnęli znowu na skraju drogi. Tin Win nie mógł usiedzieć spokojnie. Mi Mi uchyliła drzwi. Wpuściła smugę światła w jego ciemność i najchętniej biegałby z nią teraz tu i tam, wszędzie. Żeby sprawdzić każdy dźwięk, każdy szmer,

każdy odgłos, jaki wychwyci. Nauczył się pierwszego słowa! Znał teraz bicie serca pisklęcia w jajeczku, a z czasem nauczy się rozpoznawać trzepot skrzydeł motyla, to, co tak bulgocze wokół, pomimo że w pobliżu nie ma wody, i dlaczego nawet w zupełnej ciszy słyszy jakiś szelest. Z pomocą Mi Mi rozwiąże kolejno wszystkie zagadki, i w końcu, być może, wyłoni się świat, w którym będzie umiał się odnaleźć. W którym będzie miejsce dla niego.

Jak ma jej podziękować? Nie wyśmiała go. Ufała mu, wierzyła w niego. Ale dlaczego z początku się zawahała, gdy weszła za pagodę?

— Mi Mi — spytał — czemu nie chciałaś sama zajrzeć do gniazdka?

Wzięła jego ręce i położyła sobie na łydkach. Nigdy dotąd nie dotykał tak delikatnej i miękkiej skóry. Delikatniejszej i miększej niż mech w lesie, do którego tak lubił dotąd przytulić się policzkiem. Powoli powiódł dłońmi po jej nogach. Kostki były smukłe... nagle jednak wyczuł dziwne zniekształcenie. Stopy się nie poruszały. Były sztywne i skierowane do środka.

Rozdział 7

Yadana pamiętała narodziny córeczki, jakby to było wczoraj. Często wspominała je jako najpiękniejszą chwilę w życiu, niczego nie ujmując pięciu starszym synom. Może dlatego, że sądziła, iż jest już za stara na kolejną ciążę? Zawsze jednak marzyła o dziewczynce. Może dlatego, że teraz, mając trzydzieści osiem lat, potrafiła docenić narodziny dziecka jako to, czym w istocie były: niepowtarzalny, nieporównywalny z niczym dar. A może też dlatego, że w ciągu dziewięciu miesięcy, kiedy dziecko w niej rosło, nie miała żadnych fizycznych dolegliwości. Nie było dnia, żeby pracując w polu, nie wyprostowała się od czasu do czasu i zamknawszy oczy, nie pogładziła brzucha z uczuciem głębokiej radości. W nocy często leżała bezsennie, czując, jak dziecko rozkwita wewnątrz niej, jak się przekręca, kopie czy puka w ściany brzucha. Nie było dla niej piękniejszej chwili... Gdyby była skłonna do sentymentalizmu, płakałaby. A może dlatego, że nie mogła zapomnieć pierwszego spojrzenia córeczki z głębi tych jej wielkich, brązowych, niemal czarnych oczu? Była taka śliczna! Brunatną cerę miała jaśniejszą niż inne dzieci, główka była okrągła, wcale nie zdeformowana przez wysiłek porodu, twarzyczka doskonale proporcjonalna. Nawet akuszerka mówiła, że nigdy dotąd nie przyjmowała takiego ślicznego noworodka. Leżała więc Mi Mi w ramionach matki, wpatrując się w nią, a Yadana, sam na sam z córeczką, przeżywała ten moment jeszcze głębiej niż kiedykolwiek w czasie dziewięciu wcześniejszych miesięcy. A potem dziecko się uśmiechnęło... uśmiechem, jakiego nigdy dotąd nie widziała. I dlatego to Moe, jej mąż, pierwszy zauważył zniekształcone członki. Krzyknął krótko, zaskoczony i wstrząśnięty, i pokazał żonie malutką, kaleką stópkę.

— Każde dziecko jest inne — odparła. I na tym sprawa się dla niej zakończyła. Jakie znaczenie miała krzywa stopa w porównaniu z tym cudem, co leżał w jej ramionach?

Również plotki, jakie krążyły we wsi w kolejnych tygodniach, nie

zmieniły jej postawy. Ludzie snuli domysły, że jej córeczka jest wcieleniem osła pewnego Szkota, który to osioł złamał sobie parę miesięcy temu obie przednie nogi i trzeba go było zastrzelić. Sądziło się, że dziecko nie zostanie długo na tym świecie. Utrzymywano, że nieszczęsna dziewczynka to cena za dobre zbiory, jakimi cieszyła się rodzina przez ostatnie parę lat; dzięki nim mogli sobie pozwolić na postawienie drewnianego domu pokrytego blaszanym dachem. Za taką pomyślność zawsze trzeba zapłacić. Inni z kolei byli pewni, że dziecko przyniesie nieszczęście całej wsi, a byli i tacy, co po cichu radzili, aby je wynieść do lasu i tam zostawić. Rodzina męża nastawiała, aby Yadana zasięgnęła rady astrologa. Będzie on mógł powiedzieć z całą pewnością, jakie jeszcze cierpienie czeka maleńką w przyszłości i czy nie lepiej będzie dla niej, jeśli pozostawi się ją własnemu losowi. Yadana nie chciała tego słuchać. Zawsze polegała bardziej na swoim instynkcie niż na wyrokach gwiazd, a instynkt mówił jej z całą pewnością: urodziła dziecko wyjątkowe, obdarzone nadzwyczajnymi zdolnościami.

Niemal rok minął, zanim i jej mąż zaczął patrzeć na sprawę tak jak ona. Z początku prawie się nie odważał dotknąć córeczki; wolał trzymać się od niej na odległość wyciągniętej ręki, zabraniał też zbliżać się do niej synom. Do chwili, gdy żona warknęła na niego pewnego wieczoru:

— Wykrecona stopa nie jest zaraźliwa!

— Wiem, wiem — zapewnił ją pośpiesznie.

— To dlaczego nawet nie spojrzalesz na swoją córkę od prawie roku? — wykrzyknęła ze złością, szybkim ruchem odwijając Mi Mi z kocyka.

— Dlaczego?

Moe spoglądał to na córeczkę, to na żonę, i znowu na córeczkę. Leżała przed nim nagusienka. Było zimno i dreszcz przebiegł jej ciało, ale nie zapłakała. Patrzyła tylko na niego wyczekująco.

— Dlaczego? — powtórzyła Yadana.

Wyciągnął rękę i dotknął brzuszka dziecka. Powiódł palcami po wątlach udach, kolanach, ześliznął się po łydkach — i oto trzymał w dłoni maleńką stópkę. Mi Mi uśmiechnęła się do niego.

Jej oczy przypomniały mu spojrzenie żony, kiedy spotkali się po raz pierwszy. Jej uśmiech także miał wtedy tę magię, której nawet dziś

nie potrafił się oprzeć. Zawstydział się.

Yadana zawinęła dziecko w kocyk, obnażyła pierś i zaczęła karmić Mi Mi.

Moe szybko się przekonał, że córeczka odziedziczyła po matce nie tylko jej piękne oczy, ale także zrównoważony, pogodny charakter. Rzadko płakała, nigdy nie wrzeszczała na cały głos, przesypiała całą noc i sprawiała wrażenie osoby pogodzonej ze sobą i światem.

Nie zmieniło się to również wtedy, gdy — po upływie ponad roku — po raz pierwszy spróbowała wstać. Podczołgała się do poręczy ganku na froncie domu. Moe i Yadana, którzy karmili na podwórku kury i maciorę, patrzyli, jak córeczka, trzymając się poręczy, dźwiga się w górę. Spróbowała się wesprzeć na kalekiej stopie, przez chwilę stała, wpatrując się w rodziców wystraszonym wzrokiem — i upadła. Spróbowała jeszcze raz, i jeszcze, i Moe chciał podbiec, pomóc jej, ale nie wiedział jak. Yadana go powstrzymała.

— Nie wesprze się na tej nodze. Musi się tego nauczyć — powiedziała. Nikt nie mógł tego oszczędzić ich dziecku, i dobrze o tym wiedziała.

Mi Mi nie zapłakała. Przetarła oczy i przyjrzała się poręczy, tak jakby to z nią było coś nie tak. Potem spróbowała utrzymać równowagę jeszcze raz. Gdy jednak po szóstej próbie znowu wylądowała na podłodze, dała spokój. Podpełzła do schodów, usiadła, spojrzała na rodziców i uśmiechnęła się. Był to pierwszy i ostatni raz, kiedy spróbowała wstać i zrobić krok. Od tej pory zdobywała dom i podwórze wyłącznie na czworakach. Potrafiła wpełzać i spelzać po schodach tak szybko, że rodzice z trudem dotrzymywali jej kroku. Biegała za kurczakami, a w upalne letnie dni, kiedy po deszczach rozmiękła ziemia na podwórku, uwielbiała tarzać się w błocie. Bawiła się z braćmi w chowanego i zdarzało jej się wpełzać w takie zakątki, że nikt jej nie mógł znaleźć.

Wszystko wskazywało na to, że zachowała spokój i pogodę również później, gdy lepiej zdała sobie sprawę, jak użyteczna może być stopa. Kiedy siedziała na ganku i patrzyła, jak dzieci sąsiadów dokazują na podwórku albo wspinają się na wielki eukaliptus, który dzielił ich obejścia. Yadana czuła, że córeczka godzi się z ograniczeniami, jakie

nałożyła na nią natura, co nie znaczyło bynajmniej, że odwraca się od życia czy z niego wycofuje. Przeciwnie, swobodę ruchu miała ograniczoną, ale jej ciekawość świata i zdolności, jakie przejawiała w innych dziedzinach, zdawały się nie mieć granic.

Najbardziej zdumiewał jej głos. Jako niemowlę spędzała zwykle czas przywiązana do matczynych piersi, a Yadana, pracując w polu, miała zwyczaj śpiewać dziecku piosenki. Wkrótce Mi Mi знаła je wszystkie na pamięć i śpiewała wraz z matką. Jej głos był coraz piękniejszy, i kiedy wieczorami, mając siedem lat, śpiewała, pomagając matce w kuchni, przed domem gromadzili się sąsiedzi, siadali w kucki i w milczeniu słuchali. Z tygodnia na tydzień ich liczba rosła. Wkrótce wypełniali całe podwórko, stali nawet na prowadzącej obok domu drodze i wdrapywali się na drzewa, co otaczały obejście. Najbardziej przesądni twierdzili nawet, że głos Mi Mi ma w sobie magiczną moc. Lubili opowiadać o starej, chorej wdowie, mieszkającej w zasięgu słuchu, która od dwóch lat nie opuszczała chaty, aż wreszcie któregoś dnia o zmroku weszła się w tłum i zaczęła tańczyć. Tylko interwencja Moe sprawiła, że na dodatek nie zrzuciła z siebie ubrania. Był też chłopiec, mieszkający po drugiej stronie drogi, którego nazywano Rybą. Skórę miał wysuszoną, a całe ciało pokryte wypryskami i krostami. Nie minęło pół roku, odkąd po raz pierwszy dał się słyszeć o zmierzchu śpiew Mi Mi, a krosty zniknęły, co do jednej.

Na targu, gdzie sprzedawała z matką ziemniaki i ryż, jej piosenki wywoływały takie zbiegowiska, że aż dwóch policjantów przyszło poprosić, by zaniechała śpiewu. W interesie porządku i bezpieczeństwa publicznego. Pewien pijak, Irlandczyk — który pomimo nałogu dosłużył się rangi majora w armii Jej Królewskiej Mości i dożywał teraz swoich dni w Kalaw — zapragnął, by zaśpiewała, gdy będzie umierał. Zapraszano Mi Mi na wesela i chrzciny, a w zamian obdarowywano rodzinę herbatą, ryżem i kurczętami. I właśnie gdy Moe zaczął się poważnie zastanawiać, czyby nie oddać pola w dzierżawę, Mi Mi oznajmiła rodzicom, że więcej śpiewać nie będzie.

Siedzieli na podwórku na drewnianym balu. Nie zmierzchało jeszcze, ale dawał się już odczuć chłód wieczoru. Yadana narzuciła córce na ramiona swój gruby kaftan. Mi Mi ucierała w moździerzu korę

drzewa thanakka, jej matka płukała pomidory i młodą cebulę. Świnia chrząkała pod domem, a wodny bawół robił kupę akurat przed samą furtką.

— Czemu chcesz przestać śpiewać?

— Bo już mnie to nie bawi.

— Co to znaczy: nie bawi? Co się stało?

— Nic się nie stało. Mam dość. To już nie jest nic szczególnego.

Nie mam z tego żadnej przyjemności.

— Ale twój głos z dnia na dzień jest coraz piękniejszy!

— Może i tak, ale już mi się nie podoba. Nie mogę go więcej słuchać.

— To znaczy, że już nigdy nie będziesz śpiewać?

— Chcę ocalić mój głos, zachować go na później. Kiedyś zaśpiewam znowu.

— Zachować? Po co? — W głosie Moe była nieufność.

— Nie wiem. Kiedy przyjdzie czas, będę wiedziała.

Moe wiedział, że spierać się z córką nie ma sensu.

Była nieugięta jak matka. Rzadko się przy czymś upierała, kiedy jednak raz się na coś zdecydowała, nie sposób było jej to wyperswadować. Po cichu podziwiał w niej tę cechę.

Rodzice popatrzyli na córkę i oczy ich zamglily się smutkiem. Zwłaszcza Yadana zdawała sobie sprawę, jak zmieniła się ostatnio Mi Mi. Właśnie skończyła czternaście lat i jej ciało zaczęło przybierać kobiece kształty. Nie tylko jej głos brzmiał z dnia na dzień coraz piękniej... Oczy nie dominowały już co prawda w twarzy, ale były promienne jak zawsze. Cera miała kolor zmielonych nasion tamaryndowca, a dłonie, choć się na nich wspierała i poruszała, nie były grube, twarde i pełne odcisków, lecz długie i smukłe. Palce miała tak zręczne, że Yadana z trudem mogła za nią nadążyć, gdy córka, pomagając jej w kuchni, obierała korzeń imbiru i siekała go na plasterki czy w drobniutką kostkę. Dwa lata temu nauczyła ją tkać, i wkrótce Mi Mi prześcignęła w tej sztuce matkę. Najbardziej jednak podziwiała Yadana pewność, z jaką poruszała się córka. Dawniej miewała koszarne sny. Widywała w nich Mi Mi czołgającą się jak zwierzę w kurzu drogi czy po targowym placu, na oczach ludzi, którzy się z niej

wyśmiewali. Do dziś śniło jej się od czasu do czasu, że Mi Mi chce pojechać pociągiem do Thazi i pełźnie peronem do swojego wagonu, gdy wtem parowóz rusza. Mi Mi usiłuje przyspieszyć, czołga się coraz szybciej... Nigdy nie udawało jej się dogonić pociągu.

Nawet w dzień przyłapywała się czasem na tym, że się martwi, jak Mi Mi jako dorosła kobieta będzie przyjmować gości. Podpełźnie do nich na czworakach, żeby ich powitać? Co za upokorzenie!

Teraz zaś nie mogła się wprost nadziwić, jaką wiarą w siebie dysponuje jej córka i z jaką pewnością się porusza. W jej czołganiu nie było nic zwierzęcego ani upokarzającego. Nosiła wyłącznie najpiękniejsze, własnoręcznie tkane *longyi*, a choć pełzała w nich po brudnej podłodze, nigdy nie wyglądały byle jak. Kiedy posuwała się naprzód, uważnie wystawiając to rękę, to kolano, promieniowała taką godnością, że ludzie na targu rozstępowali się i traktowali ją z wielkim szacunkiem.

Rozdział 8

Julia, którą dotąd znałam i sądziłam, że się z nią rozumiemy, poderwałaby się w tym momencie ze stołka. Czułaby się urażona. Wydęłaby pogardliwie wargi. Przeszyłaby U Ba gniewnym spojrzeniem, złapała plecaczek i bez słowa wyszła. Albo roześmiałaby się mu w twarz i oświadczyła, że to wszystko głupota i tyle. I wyszłaby. Wściekła, że zmarnowała tylko czas.

Nie drgnęłam. Czulałam impuls, aby wstać, ale ten impuls nie miał mocy. Był odruchem należącym do innego czasu. Choć nie potrafiłam w tej chwili klarownie myśleć ani analizować tego, co usłyszałam, czulałam, że opowieść U Ba to nie baśń, chyba że samą miłość zaliczamy do świata baśni. Jeszcze parę godzin temu należałabym do tej ostatniej kategorii ludzi. Teraz nie byłam już tego pewna. Nie wiedziałam, co myśleć o historii, którą opowiadał U Ba, przekraczało to moje możliwości. Czy miałam uwierzyć, że ojciec nie tylko był ślepy jako młody chłopak, ale także że zakochał się w kalece? Więc ta kobieta miałaby być przyczyną, dla której po prawie trzydziestu pięciu latach pozostawił nas na łasce losu? Czy miłość może przetrwać pół wieku rozłąki? Wydawało mi się to absurdem. Zarazem wciąż miałam w myśli słowa ojca, które niegdyś wypowiedział: nie ma takiej rzeczy, do której człowiek nie byłby zdolny, ani dobrej, ani złej. Taka była jego reakcja, kiedy się dowiedzieliśmy, że kuzyn matki, gorliwy katolik, miał romans z szesnastoletnią nianią ich dziecka. Matka nie mogła tego pojąć. To niepodobne do Waltera, powtarzała w kółko. Ojciec był zdania, że się myli. Uważał, że każdy jest zdolny do wszystkiego, a w każdym razie nie wykluczał takiej możliwości tylko dlatego, że daną osobę zna. Upierał się przy tym, że nie jest to światopogląd zgorzkniałego pesymisty. Wręcz przeciwnie, mówił. Znacznie gorzej byłoby oczekiwać dobra od ludzi, by następnie się rozczarować, gdy nie dorastają do naszych wyśrubowanych standardów. Prowadziłoby to do rozgoryczenia i pogardy dla ludzkości.

Opowieść U Ba zyskała jakąś fascynującą moc, której nie potrafiłam się już opierać. Ojciec rzeczywiście miał fenomenalną pamięć, nawet w późniejszym wieku, a także rodzaj szóstego zmysłu, jeśli chodzi o ludzki głos. W wielu cechach i nawykach, które opisał U Ba, zaczynałam odkrywać rysy ojca. Miałam wrażenie, że jestem świadkiem kłótni pomiędzy dwoma przeciwstawnymi wewnętrznymi głosami. Jeden był głosem prawniczki. Był nieufny, żądał faktów. Szukał winnych i sędziego, który będzie mógł wydać wyrok lub mocą swego autorytetu położyć kres całej tej historii. Drugi — to głos, którego nigdy dotąd nie słyszałam. Poczekaj, wołał, nie uciekaj. U Ba mówi prawdę, nawet jeśli nie rozpoznajesz jej na pierwszy rzut oka, nawet jeśli wydaje się dziwna i trudna do przyjęcia. Nie bój się.

— Musi pani być głodna — przerwał mi moje myśli U Ba. — Pozwoliłem sobie przygotować dla nas coś niecoś.

Wymówił jakieś imię, którego nie zrozumiałam, i niemal natychmiast z kuchni wyszła młoda kobieta z tacą w rękach. Skłoniła się i leciutko dygnęła. U Ba wstał i podał mi dwa wyszczerbione talerze. Na jednym leżały trzy płaskie, okrągłe chlebki, na drugim był ryż, ciemny sos i parę kawałków mięsa. Dał mi także wystrzępioną białą serwetkę i powgniataną łyżkę z cienkiej blachy.

— Birmańskie curry z kurczaka. Bardzo łagodne w smaku. Jemy je z hinduskimi chapati. Mam nadzieję, że będzie pani smakowało.

Musiałam mieć sceptyczny wyraz twarzy. U Ba roześmiał się i spróbował mnie uspokoić.

— Poprosiłem sąsiadkę, aby podczas przygotowywania posiłku zwracała szczególną uwagę na czystość. Wiem, że nasza żywność nie zawsze służy naszym gościom. Ale i my nie jesteśmy wolni od zagrożeń. Proszę mi wierzyć, ja także wiele godzin mego życia spędziłem przykuty do toalety.

— Niewielka to pociecha — zaryzykowałam i ugryzłam jeden z placków. W przewodniku czytałam, że należy szczególnie uważać na sałatki, surowe owoce, nieprzegotowaną wodę i lody. Chleb i ryż za to uważano za stosunkowo niegroźne. Wzięłam do ust odrobinę ryżu z sosem. Był odrobinę gorzki, nieco ziemisty, ale niezły. Kurczak natomiast był tak twardy, że z trudem go żułam.

Przez chwilę jedliśmy w milczeniu.

— Gdzie jest mój ojciec? — spytałam. Zabrzmiało to bardziej surowo i kategorycznie, niż zamierzałam powiedzieć. Głos prawniczki.

U Ba podniósł wzrok i długo mi się przyglądał. Ostatnim kawałkiem placka wytarł talerz do czysta.

— Przybliża się pani do niego coraz bardziej. Nie czuje pani tego? — powiedział, ocierając usta starą serwetką. Upił łyk herbaty i odchylił się na oparcie fotela. — Mogę pani powiedzieć w paru słowach, gdzie jest. Ale skoro czekała pani tak długo, ponad cztery lata, jaką różnicę robi parę godzin wcześniej czy później? Nigdy więcej nie będzie pani miała okazji dowiedzieć się o swoim ojcu tak wiele. Nie chce pani wiedzieć, jak było dalej z nim i z Mi Mi? Jak zmieniła ona jego życie? Dlaczego tak wiele dla niego znaczyła? W jaki sposób zmienił jej życie także on?

Nie czekał, aż odpowiem. Odchrząknął krótko i podjął opowieść.

Rozdział 9

Su Kyi od razu zauważyła, że Tin Winowi musiało się przydarzyć coś niezwykłego. Czekala na niego, siedząc przed furtką, i już zaczynała się martwić. Droga była w fatalnym stanie. Dwa dni temu ulewne deszcze rozmiękczyły grunt, a potem wole wózki wyłobily w błocie głębokie koleiny. Słońce je wysuszyło i teraz drogę pokrywała twarda skorupa, pełna nierówności, kantów i zadziorów, ryzykowna nawet dla widzącego. Już myślała, że nie był to chyba dobry pomysł puszczać go samego, i to akurat dziś, kiedy zobaczyła, że podchodzi z boczem. Rozpoznała jego czerwono-zielone *longyi* i białą koszulę, ale krok miał odmienny niż zazwyczaj. Nie było w nim zwykłej ostrożności czy wahania. Nie wierzyła własnym oczom... Czy to naprawdę Tin Win? Miał w ręce kij, ale nie macał nim ostrożnie przed sobą, kij wręcz tańczył przed stopami chłopca! Nigdy nie widziała, by szedł tak sprężystym krokiem.

Tego wieczoru był rozmowny jak nigdy. Opowiedział jej szczegółowo o U May, o tym, jaki był podekscytowany, kiedy wyszedł sam z klasztornej bramy na ulicę, jak przez nieuwagę się przewrócił i jak go to rozzłościło, ale że odtąd ma zamiar pokonywać całą drogę sam, bez jej pomocy. Opowiedział o odgłosach, które słyszał, o tym jak opadały na ziemię ptasie pióra i liście eukaliptusa, o biciu serca, które brzmi jak śpiew... Su Kyi radowała się jego wyobraźnią i tak nietypową dla niego gotowością do zwierzeń. Choć wiedziała, rzecz jasna, że nie może dać wiary choćby jednemu słowu.

O Mi Mi nie powiedział nic, tak więc biedna Su Kyi nie umiała sobie wytłumaczyć, co się dzieje z Tin Winem także w następnych dniach. On, co potrafił całymi godzinami siedzieć bez słowa w kącie, teraz nie mógł usiedzieć w miejscu. Niezmordowanie krążył po domu i obejściu. Nieoczekiwanie zainteresował się targowiskiem, chciał wiedzieć, dlaczego jest czynne tylko co piąty dzień i nieustannie się dopytywał, kiedy znowu ten dzień nadejdzie. Z posiłku na posiłek miał

coraz mniejszy apetyt, by wreszcie trzeciego dnia pić tylko herbatę. Su Kyi nie wiedziała, co robić. Tin Win zachorował, to było jasne, na nic się jednak nie uskarżał. Stopniowo opowieści o odgłosach, które słyszy, zaczęły ją niepokoić. Czyżby tracił rozum?

Tin Win liczył dni, nie, godziny dzielące go od następnego targu. Nie miał dotąd pojęcia, że dzień może być taki długi! Dlaczego obrócenie się wokół własnej osi zajmuje Ziemi całą wieczność? Czas pełził powoli niczym wąż po leśnym poszyciu. Czy naprawdę nie można nic zrobić, żeby przyspieszyć jego bieg? Spytał o to U May. Ten się tylko roześmiał.

— Usiądź i medytuj. Wtedy czas przestanie mieć znaczenie — poradził.

Tin Win był młodym mistrzem medytacji i ta umiejętność bardzo mu się przydawała w ciągu minionych trzech lat, zwłaszcza w walce ze strachem. Teraz jednak była bezużyteczna. Próbował siadywać w klasztorze z mnichami, na łące czy na pieńku przed domem, próbował różnych technik oddychania i koncentrował się jak mógł — wszystko daremnie. Gdziekolwiek był, jakkolwiek się starał, jego myśli wracały do Mi Mi. Słyszał bicie jej serca. Słyszał jej głos. Czuł pod palcami jej skórę. Czuł na plecach jej ciężar. Jej woń wypełniała mu nozdrza, delikatny, słodki, niemożliwy do pomylenia zapach.

W przeddzień kolejnego dnia targowego nie mógł zasnąć. Słyszał, jak Su Kyi kładzie się obok niego na macie, obraca się na bok i podciąga kołdrę pod brodę. Wkrótce potem i jej serce ułożyło się na nocny spoczynek. Biło powoli, równo, tak jakby nigdy nie miało przestać. Za to jego serce biło jak szalone. Szybko, gwałtownie, niepohamowanie. Nawet nie wiedział, co go tak podnieca, czuł tylko, że musi to być coś silniejszego niż on. Miał uczucie, że odkrywa nowy, nieznany świat. Świat, w którym oczy nie są potrzebne, by widzieć. Świat, w którym stopy nie są potrzebne, by chodzić.

Zastanawiał się, jak znaleźć rano Mi Mi pośród tych wszystkich straganów i ludzi. Na podstawie opowiadań Su Kyi wyobrażał sobie targ jako lądujące na polu stado ptaków. Gmatwaninę głosów, dźwięków, zapachów. Będzie tłok, myślał, będą mnie potrącać i popychać, i nikt nie będzie na mnie uważał. O dziwo, nie przestraszała go ta myśl, choć

skądinąd tak obawiał się ludzi. Pewien był, że szybko znajdzie Mi Mi. Rozpozna ją po biciu serca. Pójdzie za jej zapachem. Usłyszy jej głos, nawet jeśli ona szepnie tylko coś bratu na ucho.

Od paru minut stał bez ruchu na skraju drogi. Potem zacisnął na nowo *longyi* wokół pasa. Czoło i nos zrosiły mu kropelki potu. Dochodzące z targu głosy były i głośniejsze, niż się spodziewał, i bardziej onieśmielające. Brzmiały w jego uszach jak potok w porze deszczowej, wezbrany w groźny, rwący nurt, którego nikt nie ośmiela się przekroczyć. Jak tu się orientować? Nie znał przejść pomiędzy straganami. Nie znał nierówności gruntu. Ani jeden głos nie dźwięczał dla niego znajomo. Wiedział tylko, że nie wolno mu się bać. Strach jedynie pogorszy sytuację. Jeśli chce znaleźć Mi Mi, musi zaufać uszom, nosowi, instynktowi. Musi mieć wiarę w siebie.

Stawiał jedną stopę przed drugą, powoli, lecz bez wahania. Pozwolił, by porwał go ludzki prąd. Ktoś popchnął go z tyłu. Poczul na żebrach czyjś łokieć. „Uważaj, jak idziesz!” — warknął jakiś mężczyzna. Słyszał, jak ludzie żujący betel mlaskają wargami i wypluwają czerwony sok na ziemię. Słyszał popłakiwanie niemowlęcia. Słyszał głosy i serca, sapanie i jęki, pokasływania i charkoty otaczających go ludzi, burczenie ich wnętrzości. Tak wiele było tych dźwięków, tak głośnych, że nie potrafił ich od siebie odróżnić. Nie bardziej niż człowiek widzący potrafi odróżnić poszczególne krople w kałuży. Wiedział, że nie ma odwrotu, zaczął się koncentrować na każdym kroku i poczuł, że z każdym ruchem jest coraz spokojniejszy. Nawet myślał, że może go zobaczyć w tym tłumie Mi Mi i że to on powinien ją znaleźć, nie na odwrót, nie przerażała go. Znajdzie ją. Nic mu nie przeszkadzało, tylko gorąco. Za mało wypił w klasztorze, a pocił się bardziej niż zwykle. Koszulę miał mokłą, suchość w ustach. Zauważył, że tłum rozdziela się w dwie strony; próbował się zatrzymać, ale nacisk z tyłu był zbyt mocny. Poszedł z tymi, co skręcali w prawo.

— Uważaj! — wrzasnęła jakaś kobieta. Usłyszał trzask i poczuł na stopie i pomiędzy palcami coś miękkiego, wilgotnego. Nadepnął na jajko.

— Ślepy jesteś?!

Odwrócił się do niej. Zobaczyła mleczną biel w jego oczach i zszokowana mruknęła „przepraszam”. Tin Wina pociągnęło dalej. To musi być stragan z rybami. Poczł słony zapach suszonej ryby. Za chwilę miał w nozdrzach gorzki aromat kolendry, potem ostro-kwaśny gorzknika kanadyjskiego; woń uderzyła mu do głowy, gdy ją wciągnął, i sparzyła śluzówkę. Wyłapał woń cynamonu, curry i chilli. Trawy cytrynowej i imbiru. A w to wszystko wciąż się wplatała ciężka, bogata, przesłodzona woń przejrzałych owoców.

Zaledwie wyczuł słuchem ślad tego dźwięku, gdy ludzie przestali się pchać. Ci, co parli z tyłu, rozdzielili się wokół niego, tak jakby czuli, że nie ma sensu dłużej się przepychać. Tin Win wyteżył słuch. Tak! To było to. Delikatne, kruche, a zarazem takie mocne. Dotarło do niego poprzez cały zgłęk tego świata. Jakże mu go brakowało! Poczł pod dłońmi dotyk jej skóry. Na szyi uścisk jej ramion.

Ruszył w stronę bicia, które docierało do niego z odległego zakątka targowego placu.

Rozdział 10

Mi Mi siedziała na kupie kartofli na samym końcu targowiska. W lewej ręce trzymała małą okrągłą parasolkę z papieru, która osłaniała ją przed słońcem, ciemnoczerwoną, niemal brunatną, w odcieniu mnisich szat. Włożyła dziś najpiękniejsze *longyi*, czerwone w zielony wzór; skończyła je tkać zaledwie wczoraj wieczorem. Czarne włosy zaplotła w warkocz. Dziś rano poprosiła matkę, żeby jej namalowała na policzkach dwa żółte kółka. Wszystkie kobiety i starsze dziewczęta tak się malowały, ale Mi Mi dotąd to odkładała. Matka uśmiechnęła się i nie zadawała żadnych pytań. Kiedy Mi Mi siedziała już bratu na plecach, matka nachyliła się i pocałowała ją na pożegnanie w czoło. Robiła to co prawda za każdym razem, ilekroć się rozstawały, ale ten pocałunek był inny. Mi Mi to czuła, choć trudno by jej było wyjaśnić różnicę, gdyby ją spytano.

Teraz siedziała, podesławszy sobie własnoręcznie tkany koc, i czekała. Nic innego właściwie nie robiła przez minione cztery dni. Czy czołgała się podwórkiem, by zebrać jajka od kur, czy zbierała truskawki za domem, pomagała matce w kuchni, przebierała kartofle, tkała — czekała. Na dzień targowy. Na Tin Wina.

Czekała, ale się nie denerwowała. Nie przeszkadzało jej czekanie. Wcześniej się nauczyła, że czekanie to naturalny element życia kogoś, kto nie potrafi chodzić, kto jest uzależniony od innych. Nietrudno jej było zdobyć się na cierpliwość i dziwiła się ludziom, którzy nieustannie gdzieś się śpieszą. Czekanie tak dalece było wplecione w rytm jej życia, że źle się czuła, gdy coś zdarzało się od razu. Okres czekania obejmował chwile, minuty, a nawet godziny spokoju, odpoczynku, gdy z reguły była sama ze sobą. A ona potrzebowała tych przerw, by przygotować się na coś nowego, na wszelki rodzaj odmiany. Czy były to odwiedziny u ciotki na drugim końcu wsi, czy dzień spędzony w polu. Czy targ. Nie rozumiała, jak to możliwe, że braci nie męczy to szybkie przemieszczanie się z miejsca na miejsce, od człowieka do człowieka.

Jeśli czasem się odważała, by zanieśiono ją niespodziewanie, bez uprzedniego czekania, do przyjaciół na sąsiednie wzgórze, zawsze trochę trwało, zanim naprawdę tam dotarła. Przez pierwsze parę minut siedziała w nowym miejscu cicho, tak jakby jej dusza szła za nią trochę wolniej doliną. Czuła, że każda bez wyjątku sprawa wymaga trochę czasu, tak jak Ziemia potrzebuje dwudziestu czterech godzin, aby obrócić się wokół własnej osi, albo trzystu sześćdziesięciu pięciu dni, aby okrążyć Słońce.

Bracia nazywali ją Ślimaczkiem.

Najgorsze ze wszystkiego były pociągi i samochody, którymi przejeżdżali przez Kalaw niektórzy Brytyjczycy, ponoć nawet aż do stolicy. Nie bała się okropnie głośnego ryku, z jakim mknęli przez wieś, tak że kury podrywały się do lotu, a konie i woły odskakiwały gwałtownie w bok. Nie raził jej też smród, jaki ciągnął się za nimi, tak jak wół ciągnie za sobą sochę. Przerażała ją szybkość. Czy to naprawdę możliwe, żeby tak po prostu skrócić czas, potrzebny do przemieszczenia się z miejsca na miejsce, od człowieka do człowieka?

Mi Mi była szczęśliwa, że od targu dzieli ją jeszcze cztery dni, mimo że najchętniej spotkałaby się z Tin Winem zaraz nazajutrz. Czekanie oznaczało, że może swobodnie o nim myśleć w wolnych chwilach, że ma czas, by wspominać każdy szczegół ostatniego spotkania. To także była korzyść z czekania — dawało jej możliwość, żeby się wyciszyć. Jak zawsze, gdy pozwoliła swobodnie płynąć myślom, w jej głowie rodziły się obrazy, a ona pilnie się im przyglądała, tak jakby to były rubiny czy szmaragdy, których autentyczność należy sprawdzić. Widziała, jak Tin Win do niej podchodzi. Widziała, jak wspina mu się na plecy. Widziała, jak siada obok niej, drżąc z podniecenia i radości. Miała takie uczucie, jakby był gotów wziąć ją na plecy i pobiec z nią. Śladem nieznanymi odgłosów, dźwięków i tonów.

W domu siedziała potem długo z zamkniętymi oczami na ganku i próbowała robić to samo co Tin Win. Nasłuchiwała. Słyszała chrząkanie świni pod domem. Słyszała pochrapywanie psa. Słyszała śpiew ptaków i głosy sąsiadów, ale nie bicie ich serc. Chciała spytać Tin Wina, czy jest na to jakiś sposób i czy nie mógłby jej nauczyć sztuki słyszenia. Chociaż troszeczkę.

Historię z ptasim gniazdkiem opowiedziała najmłodszemu bratu, ale ją wyśmiał. Jak mogła uwierzyć, że można mieć aż tak doskonały słuch? Pewnie ktoś mu wcześniej powiedział, że tam jest gniazdko z jajkiem. Tin Win chciał jej po prostu zaimponować.

Mi Mi się rozzłościła, bardziej na siebie samą niż na brata. Powinna była z góry wiedzieć, że tak będzie. Są rzeczy, których ludzie chodzący po świecie na dwu zdrowych stopach po prostu nie rozumieją. Sądzą, że patrzy się oczami. Sądzą, że dystans pokonuje się za pomocą kroków.

Rozdział 11

W południe słońce świeci niemal pionowo na targowy plac. Tin Win i Mi Mi poszukali schronienia pod małym parasolem i przysunęli się do siebie bliżej. Brat Mi Mi wrzucił resztę kartofli do worka. Miał pójść pierwszy, a potem wrócić po siostrę.

— Mogę zanieść Mi Mi do domu. Nie będziesz musiał chodzić dwa razy — powiedział Tin Win.

Brat spojrział na siostrę, tak jakby chciał powiedzieć: Jak niby ten ślepiec miałby cię wnieść pod górę? Mi Mi pokiwała głową: Nie martw się.

Brat wrzucił worek na plecy, mruknął coś niezrozumiałego i poszedł.

— Czy nie masz nic przeciw temu, żebyśmy się przeszli po mieście? — spytał Tin Win.

— Gdzie tylko chcesz — odparła Mi Mi. — To ty mnie niesiesz, a nie ja ciebie. — Roześmiała się i objęła go za szyję. Powoli się podniósł. Ruszyli boczną uliczką, gdzie stało parę wózków zaprzężonych w woły i konnych furmanek. Mężczyźni i kobiety chodzili tam i z powrotem, ładując do wozów worki ryżu i kartofli i kosze owoców. Zwierzęta były niespokojne. Konie rżały i przestępowały z nogi na nogę, dudniąc kopytami, woły parskały i wstrząsały się, a wtedy skrzypiały ich jarzma. Zmęczone słońcem i czekaniem, a i głodne, pomyślał Tin Win. Słyszał, jak burczy im w żołądkach. Wozy stały tu i tam, i wraz z mnóstwem nieznanym odgłosów zdawały się tworzyć jakby mur, z którym z pewnością lada moment się zderzy. Gdzież jest kij, który zwykle pomagał mu wymacać drogę? Dzięki któremu mógł uniknąć przynajmniej najgorszych wypadków? Który ostrzegał go o dziurach i rowach, kamieniach i gałęziach, budynkach i drzewach, w każdym razie kiedy on zwracał na to uwagę? Teraz czuł się tak, jakby pełził labiryntem, gdzie blokują mu drogę wysokie na metr ściany. Gdzie kąty i krawędzie tylko czyhają, żeby na nie wpadł i się przewrócił. Labiryntem, w którym

nieuchronnie musi się zagubić. Jak on zdoła zanieść kiedykolwiek Mi Mi całą i zdrową do domu?

Nigdy dotąd ślepotą nie była dla niego takim ciężarem. Kolana mu zmiękły, zachwiał się. Stracił poczucie kierunku. Gdzie on jest? Czy chodzi w kółko? Czy zmierza w przepaść? Jak ma rozeznaczyć, czy kolejny krok nie będzie ostatni? Jeszcze chwila i straci grunt pod nogami, zachwieje się i runie w otchłań. W otchłań, przed którą zawsze drżał. W otchłań, w bezdenną...

— Uważaj. Jeszcze dwa kroki i wdepniesz w kosz pomidorów — usłyszał tuż przy uchu szept Mi Mi. — Jeszcze odrobinę w lewo. Dobrze. Teraz prosto. Stój. — Lekko wykręciła mu barki w prawo. Zawahał się przez chwilę i skręcił o dziewięćdziesiąt stopni. Musi mieć przed sobą wołu. Słyszał potężne uderzenia jego serca; brzmiało to jak stłumiony odgłos bębna, w który walili czasem mnisi w klasztorze. Czuł na ciele wilgotny oddech zwierzęcia.

— Prosto? — spytał.

— Prosto.

Szurał nogami, tak jakby nie ośmielał się ich podnosić. Po paru krokach pociągnęła go lekko za lewe ramię; skręcił. Wpadł na jakieś drewno i skrzywił się.

— Przepraszam, wózek. Myślałam, że już go minęliśmy. Boli?

Pokręcił głową i ruszył powoli naprzód. Po chwili znowu pociągnęła go za ramię i ostrożnie zmieniła ich kurs.

— Noga w górę, worek ryżu leży na ziemi.

Podniósł nogę, wymacał stopą worek i przekroczył go.

— Dobrze! — powiedziała i krótko go uścisnęła.

Szli dalej. Mi Mi prowadziła, sterując nim za pomocą lekkich ruchów, niczym statek pośród wodnych wirów. Z każdym zakolem, każdym skrętem, każdą pokonaną przeszkodą krok Tin Wina stawał się mocniejszy i pewniejszy. Jej głos, tuż przy uchu, uspokajał go. Zaczynał ufać jej wskazówkom. On, który często nie ufał nawet własnym zmysłom, polegał teraz na jej oczach.

Wytała mu kark swoją *longyi*.

— Nie jestem za ciężka? — spytała.

— Nie, skąd. — Jak ma jej wytłumaczyć, że z nią na plecach jest

mu lżej?

— Nie chce ci się pić?

Pokiwał głową.

— Możemy tam dostać świeży sok z trzciny cukrowej. — Wiedziała, że jest drogi, ale matka pozwoliła jej kupić sobie sok raz na miesiąc po targu, i z pewnością nie będzie się sprzeciwiała, jeśli poczęstuje i Tin Wina.

Poczuł, że wchodzi w cień wielkiego drzewa.

— Stój — powiedziała. — Postaw mnie.

Przyklęknął na jedno kolano. Powoli ześliznęła się z jego pleców na ziemię i usadowiła na stołeczku, który należał do stoiska z sokiem. Podsunęła drugi stołek Tin Winowi i pociągnęła go za rękę. Usiadł bez wahania.

Siedzieli pod wielką koroną bananowca. Mi Mi zamówiła dwie porcje soku. Usłyszał, jak prasa zgniata kawałki trzciny cukrowej i jak sok ścieka do kubka. Przypominało to dźwięk, jaki słyszał, gdy zdarzało mu się nadepnąć w kuchni na karalucha. Czy Mi Mi zauważyła jego przestach? Jakie to ma znaczenie? Poprowadziła go przez labirynt. Nie wpadli na mur, nie runęli w przepaść. Zbudowała mosty i zburzyła bariery. Jest czarodziejką.

Mi Mi upiła łyk soku. Nie wyobrażała sobie, żeby coś mogło bardziej smakować... Spojrzała na Tin Wina. Nie przypuszczałyby, że twarz o niewidzących oczach może wyrażać taką radość. Uśmiechnęła się, a on odpowiedział uśmiechem. Nawet nie zauważyła, jakie to niezwykle.

— Co teraz słyszysz? — spytała. — Moje serce?

— Serce też.

— Możesz mnie tego nauczyć?

— Czego?

— Słyszeć, jak bije serce.

— Chyba nie.

— Spróbuj. Proszę!

— Nie wiem jak.

— Ależ wiesz!

Tin Win się zastanowił.

— Zamknij oczy. — Mi Mi je zamknęła. — Co słyszysz?

— Głosy. Kroki. Brzęczenie dzwonek przy uprząży.

— Nic więcej?

— Owszem. Słyszę ptaki i jak ktoś kaszle, i jak dziecko płacze, ale nie słyszę, żeby biło jakieś serce.

Tin Win milczał. Mi Mi słuchała dalej. Po paru minutach dźwięki zlały się w jedno i stały równie niewyraźne jak obrazy oglądane zalanym łzami okiem. Słyszała tętno własnej krwi w uszach, ale serca nie, ani własnego, ani tym bardziej Tin Wina czy kogokolwiek innego.

— Może tu jest za głośno — powiedział po długiej pauzie Tin Win. — Może potrzebujemy większej ciszy. Ruszajmy w drogę, a jeśli znajdziemy jakieś miejsce, gdzie nie będzie słyhać nic, tylko ptaki, wiatr i nasze oddechy, możemy spróbować jeszcze raz.

Przykląkł. Mi Mi objęła go za ramiona. Wstał, a ona oplotła go nogami.

Szli teraz spokojniejszą uliczką. Jej oddech na jego karku. Jaka ona jest lekka. O mało nie nadepnął na śpiącego psa, który schronił się przed słońcem w cień drzewa.

— Przepraszam, nie zauważyłam go — powiedziała.

— Ja też — odparł. Roześmiali się.

Tuż za stacją kolejową Mi Mi skierowała go w bok.

— Znam skrót — wyjaśniła. Po paru metrach stali na zboczu niewysokiego wzgórza, porośłym krzakami hibiskusa. Tin Win rozpoznał jego słodką woń. Wyciągnął stopę i zdał sobie sprawę, że schodzą w dół. Spadek nie był stromy, ale dostateczny, by się zachwiać.

— Może tyłem będzie łatwiej — podsunęła Mi Mi. Przyzwyczajona była, że na plecach braci zbiegała po zboczu takim jak to w paru szybkich skokach. Tin Win odwrócił się i zaczął ostrożnie schodzić. Mi Mi, sięgając ręką w gęstwiny, przytrzymała się krzaków. Powoli ześliznęli się w dół. Wkrótce Tin Win poczuł pod stopami kamienie.

— Gdzie jesteśmy? — spytał.

— Na nasypie kolejowym — wyjaśniła. — Możemy iść po podkładach pomiędzy szynami. Moi bracia cały czas tak chodzą.

Tin Win stał nieruchomo. Równie dobrze mogła powiedzieć: w

Mandalay. Czy w Rangunie. Czy w Londynie. Aż do tej chwili nasyp kolejowy był dla niego niedostępny. Znał go tylko z opowiadań innych chłopców w szkole. Często się przechwalali, jak biegają po torze, czekając, aż nadjedzie wielki czarny parowóz. Jak kładą na szynach sosnowe szyszki czy rzadko spotykane kapsle od butelek, jak wystawiają na próbę swoją odwagę, podpełzając do pędzącego pociągu najbliżej jak się da. Kiedyś marzył, by do nich dołączyć, potem przestał. Nasyp nie należał do jego świata. Należał do widzących.

Teraz on szedł pomiędzy szynami, i wkrótce odnalazł rytm, który pozwolił mu stawiać pewnie każdy krok. Nie musiał się tu obawiać, że wpadnie na drzewo czy krzak albo że o coś się potknie. Czuł się tak, jakby wychodził po drabinie z jakiejś zimnej, wilgotnej groty. Z każdym krokiem było jaśniej. I cieplej. Szedł coraz szybciej, w końcu przeskoczył jeden podkład i zaczął biec. Mi Mi milczała. Zamknęła oczy, uchwyciła się go mocno i kołysała się w rytm jego biegu niczym na końskim grzbiecie. Tin Win brał potężne, długie susy, biegnąc najszybciej jak mógł. Przestał się już kłopotać o odległości pomiędzy podkładami, nie słyszał nic poza niepowstrzymanym biciem własnego serca, werblem, który zagrzewał go do biegu. Coraz głośniejszym, potężniejszym, bardziej szalonym, bardziej niebezpiecznym. Łoskotem, który niósł się doliną i ponad grzbietami gór. Nawet parowóz nie mógłby być głośniejszy, pomyślał.

Kiedy w końcu przystanął, miał wrażenie, że budzi się ze snu.

— Przepraszam — powiedział bez tchu.

— Za co? — spytała.

— Nie bałaś się?

— Czego?

Położyli się na trawie. Mi Mi patrzyła w niebo. Robiło się późno; wkrótce miało zająć słońce. Dla Mi Mi była to najpiękniejsza pora dnia, zaraz po wczesnym ranku. Światło było inne, jaśniejsze, a kontury drzew, budynków i gór ostrzejsze niż w południe. Lubiła odgłosy wieczoru i woń ognia, który płonął przed domami przed zapadnięciem nocy.

— Czy w ogóle wiesz, jak brzmi bicie serca? — spytał Tin Win.

Mi Mi się zastanowiła. Czy słyszała kiedykolwiek, jak bije serce?

— Kiedyś przyłożyłam głowę do piersi matki, bo chciałam się dowiedzieć, co to tak puka. Ale to było dawno temu. — Myślała wówczas, że siedzi tam w środku jakieś zwierzątko i puka w żebra, żeby je wypuścić. Więcej nie mogła sobie przypomnieć.

Tin Win ujął jej głowę i położył sobie na piersi.

Rozdział 12

Nie mógł zasnąć. Po takim dniu jak ten, tej nocy? Nie spał też kolejnej nocy, i jeszcze kolejnej. Leżał obok Su Kyi i myślał o Mi Mi. Spędził trzy bezsenne noce, a mimo to nie był zmęczony. Czuł się trzeźwiejszy niż zwykle, jego zmysły, umysł, wspomnienia były ostrzejsze niż kiedykolwiek przedtem. Spędzili razem całe popołudnie. Hołubił je w myślach jak klejnot, jak talizman, który będzie go odtąd chronił. Pamiętał każde słowo, jakie padło między nimi, każdy odcień głosu, każde uderzenie jej serca.

Tego popołudnia, z Mi Mi na plecach, z jej głosem w uszach, z jej nogami wokół bioder, po raz pierwszy poczuł coś zbliżonego do odprężenia, cień radości. Uczucia, które było tak mu obce, że nawet nie potrafił go nazwać. Szczęście, wesołość, beztroska — to były dla niego słowa bez treści, pojęcia pozbawione znaczenia. Zdał sobie sprawę, ile siły kosztuje go każdy dzień. Budzenie się w mleczej mgle. Wymacywanie sobie drogi w świetle, który odwrócił się do niego plecami. Nagle samotność, w jakiej żył, wydała mu się nie do zniesienia. Miał wprawdzie Su Kyi i U May, oboje poważał, obojgu ufał, obojgu był nieskończenie wdzięczny za uwagę i przywiązanie, jakie mu okazywali. A mimo to dzielił go od nich dziwny dystans, tak jak od wszystkich, z kimkolwiek miał do czynienia. Jakże często siedział w klasztorze wraz z innymi uczniami czy mnichami wokół ognia i marzył, aby gdzieś przynależeć, być częścią jakiejś grupy, jakiegoś systemu. Aby czuć cokolwiek do innych — sympatię, złość, ciekawość przynajmniej. Nic. Jedyne, co czuł, to pustkę, i nie wiedział, dlaczego tak jest. Nawet kiedy go ktoś dotykał, obejmował ramieniem czy brał za rękę, pozostawał obojętny. Jak gdyby mgła, co zasnęła mu oczy, zaległa także pomiędzy nim a światem.

Z Mi Mi było inaczej. Jakby zniknęło wewnętrzne odrętwienie. Jej bliskość dawała mu poczucie pewności. Jej oczy patrzyły za niego. Ani razu nie wątpił w jej wskazówki i opisy. Z jej pomocą przestał się czuć

jak cudzoziemiec we własnym życiu. Sprawiała, że przynależał. Do targowego zaaferowania i pośpiechu. Do wsi. Do siebie samego.

Tak jakby zwrócił się w stronę życia.

W miesiącach, które nadeszły, Mi Mi i Tin Win spędzali razem każdy targowy dzień i poznawali Kalaw i okolice, jakby odkrywali nieznaną łąd. Badali miejscowość skrupulatnie niczym dwoje naukowców, ulicę po ulicy, budynek po budynku. Często godzinami przesiadywali w kucki na skraju drogi. Zwykle podczas jednej wyprawy nie udało im się zwiedzić więcej niż pojedynczą ulicę czy kawałek łąki lub pola.

Z czasem ustalili się rytuał odkrywania tajemnic tego nowego świata. Zrobiwszy parę kroków, stawali nieruchomo, w milczeniu. Milczenie mogło trwać parę minut, pół godziny, a nawet dłużej. To było tak, jakby Tin Win wchłaniał w siebie odgłosy, tony, dźwięki. Potem relacjonował je szczegółowo Mi Mi, a ona opowiadała mu, co widzi. Niby malarz szkicowała mu obraz, najpierw z grubsza, potem coraz dokładniej, coraz bardziej szczegółowo. Jeśli obrazy i dźwięki nie były zbieżne, rozpoczynali poszukiwanie źródeł nieznanego odgłosów. Mi Mi wpełzała w krzaki i żywopłoty, czołgała się pod domami i wśród grządek, rozbierała kamienne murki i składała je na powrót. Przeszukiwała stopy drewna, przeczesywała łąkowe trawy, ryła w ziemi, dopóki nie znalazła tego, co słyszał Tin Win: śpiącego węża czy ślimaka, dżdżownicy, ćmy, komara. Z każdym dniem Tin Win znał świat coraz lepiej. Dzięki opisom Mi Mi mógł poklasyfikować odgłosy i tony i powiązać je z określonym przedmiotem, rośliną czy zwierzęciem. Dowiedział się, że trzepot skrzydełek pazia królowej brzmi jaśniej niż monarchy; że liście morwy szeleszczą na wietrze inaczej niż liście guawy; że odgłos, jaki wydaje pełzająca dżdżownica, jest nie do pomylenia z pełzaniem gąsienicy; że każda mucha pociera o siebie tylne nóżki inaczej. Opanowywał na nowo alfabet życia.

Większy kłopot miał z dźwiękami, które wydawali ludzie. Wkrótce po utracie wzroku zaczął zwracać uwagę na głosy, uczyć się je różnicować i interpretować. Stały się dla niego rodzajem kompasu, prowadzącym go przez świat ludzkich emocji. Kiedy Su Kyi była zła czy zmęczona, słyszał to w jej głosie. Czy inni uczniowie zazdroszczą mu

wyników, czy mnisi się na niego irytują, czy ktoś go lubi, czy nie — wszystko to ujawniał ton, jakim mówiła do niego dana osoba.

Każdy głos miał własny repertuar form wyrazu, i tak samo każde serce. Rozpoznanie za drugim czy trzecim razem poznanego niedawno człowieka nie przedstawiało dla Tin Wina trudności, choć bicie nigdy nie było zupełnie identyczne. Wiele mówiło o ciele i duszy i zmieniało się z czasem, stosownie do sytuacji. Serca mogły bić młodo lub niedołąźnie, nudnie, monotonicznie lub tajemniczo. Co jednak miał myśleć, jeśli głos człowieka i jego serce do siebie nie pasowały, jeśli opowiadały dwie różne, wzajemnie sprzeczne historie? Weźmy na przykład U May. Głos miał zawsze mocny i krzepki, tak jakby nie tknęły go lata. Tin Win wyobrażał go sobie jako wielką starą sosnę o potężnym pniu, odporną nawet na wichury, co nawiedzały od czasu do czasu płaskowyż Shan. Jedno z tych drzew, pod którymi dawniej czuł się bezpieczny i lubił się pod nimi bawić. Jego serce jednak wcale nie brzmiało zdrowo ani krzepko. Biło słabo, krucho, ze znużeniem. Przypominało Tin Winowi chude jak szkielet woły, które kiedyś, gdy był mały, mijały ich dom, ciągnąc ciężki wóz wyładowany workami ryżu i drewnianymi belkami. Patrzył w ślad za nimi, przekonany, że padną martwe, zanim osiągną wierzchołek wzgórza. Dlaczego głos U May nie pasuje do jego serca? Któremu z nich ma zaufać? Głosowi czy sercu? Pytania, na które nie znał odpowiedzi. Jednak z pomocą Mi Mi na pewno rozwiąże te zagadki. Przynajmniej niektóre.

Rozdział 13

Mi Mi dobrze pamiętała, kiedy po raz pierwszy usłyszała o Tin Winie. Dwa lata temu jeden z jej braci poszedł do klasztoru jako nowicjusz. Kiedy odwiedziła go z matką, opowiedział im o niewidomym chłopcu, który tego ranka przewrócił się z *thabeik* w rękach. Ze strachu, że wypadnie mu zawartość, nie wypuścił miski i upadł na twarz, rozkrwawił sobie nos i usta, a co gorsza — zmarnował całodzienną porcję ryżu, który wyleciał na ziemię. Podobno chłopak był strasznie niezgrabny, niezależnie od tego, że ślepy, ale o dziwo, w nauce był najlepszy. Zasmuciła ją ta opowieść, choć nie wiedziała dlaczego. Czy ten wypadek przypominał jej własne próby, aby stanąć na kalekiej stopie, za domem, gdzie nikt jej nie widział? Ból i te dwa kroki, które zdołała zrobić, zanim upadła w kurz? Myślała o tym, dlaczego Tin Win się przewrócił, czy często się to zdarza i jak w ogóle zdoła się poruszać. Jak on się musiał czuć... Leżąc w kurzu, zmarnowawszy przeznaczone dla wszystkich jedzenie! Siłą rzeczy przypominał jej się dzień, gdy grała z koleżankami w kulki przed domem. Dzieci zachwycaly się szklanymi kulami, które podarował jej pewien Anglik. Toczyły je do dołków, a Mi Mi z dumą demonstrowała im, na czym polega gra. Nagle jedna z dziewczynek podskoczyła i powiedziała, że się jej znudziło. Czy nie lepiej pobawić się w wyścigi? Kto pierwszy dobiegnie do tego eukaliptusa, zwycięża. I pobiegły. Mi Mi pozbierała kulki, niczego po sobie nie pokazując. Nigdy niczego po sobie nie pokazywała. Raz tylko spytała: Dlaczego. I wiedziała, że nigdy nie uzyska odpowiedzi. Jej stopa była wybrykiem natury. Głupotą byłoby szukać przyczyn czy się buntować. Nie będzie się kłócić z losem. Mimo to bolało.

Jeszcze bardziej bolał dystans, jaki dzielił ją w takich chwilach od rodziny. Kochała rodziców i braci nade wszystko, ale fakt, że tak naprawdę nie rozumieli, co się w niej dzieje, był dla Mi Mi niemal tak samo przykry jak kaleka stopa. Bracia wzruszająco się o nią troszczyli. Na zmianę nosili siostrę na pole czy nad jeziora, obnosili ją po wiosce,

dźwigali na targ, do krewnych, którzy mieszkali daleko w górach. Nie było to dla nich żadne poświęcenie, raczej codzienna rutyna, jak rąbanie rano drewna, jazda po wodę czy kopanie kartofli jesienią. Nie oczekiwali od niej wdzięczności, skądże znowu. A przecież, jeśli Mi Mi była smutna, jeśli płakała bez widocznej przyczyny — rzadko się to zdarzało, ale jednak — stali wokół niej bezradnie, nie wiedząc, co powiedzieć. Ze zdziwieniem na twarzach: Tak jakby chcieli powiedzieć: robimy co możemy, żeby ci było dobrze. Dlaczego to nie dosyć? Nie chciała wyglądać na niewdzięczną, więc starała się przetykać łyzy. Tak samo było z matką. Yadana zachwycała się córką, Mi Mi o tym wiedziała. Dumna była z jej siły i pogody, z jaką Ślimaczek znosił swoje upośledzenie. I Mi Mi chciała być silna, nawet jeśli czasem wyłącznie po to, żeby nie rozczarować matki. A jednak tęskniła czasem za chwilami, kiedy mogłaby być słaba, kiedy nie musiałaby niczego nikomu udowadniać. Ani rodzicom. Ani braciom. Ani sobie.

W parę dni później siedziała na klasztornej werandzie, a brat wskazał jej Tin Wina, który zamiatał dziedziniec.

Nie mogła oderwać od niego oczu. Zdumiewała ją staranność, z jaką sprzątał miejsce, którego nie widział. Od czasu do czasu zatrzymywał się i podnosił głowę. Jak gdyby poczuł powonieniem albo usłyszał coś szczególnego.

W następnych dniach często o nim myślała, a podczas kolejnej wizyty usiadła na schodach i czekała, dopóki nie zobaczyła go znowu. Nadszedł z naręczem drewna, wspiął się po schodach tuż obok niej i nawet jej nie zauważywszy, wszedł do kuchni. Ruszyła za nim, stanęła w pewnej odległości i zaczęła mu się przyglądać. Przełamał parę kawałków i podłożył je do paleniska. Nalał wody do czajnika i zawiesił go nad ogniem. Sprawiał wrażenie, że robi to lekko, bez wysiłku. Mi Mi uważała, że Tin Win jest najprzystojniejszym chłopcem, jakiego w życiu widziała. Miał pociągłą twarz i kształtny, niezbyt ostry nos. Lubiała pełne wargi, a usta Tin Wina były wydatne, ale nieprzesadnie odęte. Krótko ostrzyżone włosy uwydatniały wysokie czoło i kształtną głowę. Najbardziej jednak podobały jej się jego spokojne, pełne namysłu ruchy, milcząca godność, jaka od niego biła. Tak jakby był wdzięczny za każdy krok, jak udało mu się zrobić bez upadku, każdy ruch, który wykonał,

nie czyniąc sobie krzywdy. Czy życie bez wzroku naprawdę było dla niego takie łatwe, jak wyglądało? Czy może kosztowało go tyleż wysiłku, co ją każdy dzień bez stopy? Czy potrafiłby zrozumieć, co czuje Mi Mi, kiedy inne dzieci rzucają się pędem do eukaliptusa? Kiedy matka patrzy na nią z dumą w chwili, gdy poczucie mocy jest od niej jak najdalej? Kiedy mija na plecach braci dziewczyny z sąsiedztwa, siedzące z młodzieńcami na skraju drogi, śpiewające wraz z nimi piosenki, kiedy widzi, jak młodzi ukradkiem biorą się za ręce?

Czy może się okazać jej pokrewną duszą? Parę razy miała ochotę do niego zagadać albo podczołgać się tam, gdzie szedł, tak żeby się o nią potknął i w ten sposób uświadomił sobie, że istnieje. Ale dała spokój. Nie z nieśmiałości, tylko dlatego że była przekonana, iż nie jest to konieczne. Któregoś dnia się poznają. Każde życie ma własny bieg, własny rytm, na który, sądziła, nie sposób wyrzucić jakiegoś decydującego wpływu.

Tamtego popołudnia w klasztorze, gdy Tin Win idąc do kuchni, zatrzymał się nagle, zrobił półobrót, podszedł do niej jak po ścieżce i usiadł obok w kucki, nie była wcale zaskoczona. Patrzyła na niego z bliska i więcej potrafiła wyczytać z jego zasnutych mleczną bielą oczu, niż kiedykolwiek z oczu rodziców czy braci. Widziała, że on wie, co to samotność, rozumie, że w środku człowieka może padać, nawet gdy na zewnątrz świeci słońce, że smutek nie zawsze ma doraźną przyczynę. Nie była nawet zdziwiona, gdy jej powiedział o biciu jej serca. Wierzyła każdemu jego słowu.

Żyła od jednego targu do drugiego i po raz pierwszy w życiu była niecierpliwa. Liczyła godziny i minuty, nie mogła się doczekać, kiedy się znowu zobaczą. Jej tęsknota była tak wielka, że po paru miesiącach zapragnęła odwiedzić go po lekcjach w klasztorze. Sprawi mu radość, czy będzie mu przeszkadzała? Może udać, że przechodziła przypadkowo z bratem? Kiedy usłyszał ją na werandzie, od razu podszedł, a jego uśmiech rozwiał jej wątpliwości. Cieszył się co najmniej tak samo jak ona. Usiadł obok niej i bez słowa wziął ją za rękę. Od tej pory widywali się codziennie.

Niezmordowanie nosił ją po wsi i po polach, wnosił na wierzchołki gór i z powrotem w dolinę. Nosił ją w upalne południa i w najbardziej

gwałtowne ulewy. Na jego plecach, w jego towarzystwie, zniknęły granice jej małego świata. Wędrowali bez końca, tak jakby chciała sobie wynagrodzić te wszystkie lata, gdy jej horyzont wyznaczał ogrodowy płot.

W porze monsunów, w dniach, gdy można było utopić się w błocie, zostawali w klasztorze i znajdowali ucieczkę w książkach Tin Wina. Palce chłopca fruwały po stronicach i na niego przychodziła teraz kolej, by wyczarowywać obrazy przed jej oczyma. Czytał na głos, a ona leżała obok i poddawała się czarowi jego głosu, który był tak nieodparty. Wędrowała z Tin Winem z jednego kontynentu na drugi. Ona, co na własnych stopach nie zdołałaby dojść nawet do sąsiedniej wsi, okrążała teraz glob. Wnosił ją po trapie na transoceaniczne statki i zwiedzali pokład po pokładzie, aż do mostku kapitańskiego. Kiedy wpływali do portu w Kolombo, Kalkucie, Port Saidzie czy Marsylii, sypało się konfetti i grała okrętowa orkiestra. Niósł ją przez Hyde Park, a na Piccadilly Circus ludzie oglądali się za nimi. W Nowym Jorku o mało nie potracił ich samochód, utrzymywał Tin Win, bo ona wciąż patrzyła w górę, zamiast koncentrować się na ulicznym ruchu i prowadzić go przez przypominające kaniony ulice. Przekonała się, że jego wyobrażenia nie zna granic innych niż te, które sama ustanawia. W takich chwilach wiedziała, że nie jest już samotna i nigdy samotna nie będzie. Nie była ciężarem. Była potrzebna.

Z ogromną cierpliwością uczył ją Tin Win sztuki słyszenia. Jej uszy nie były rzecz jasna tak wrażliwe jak jego. Nie słyszała żadnego bicia serca, jeśli nie położyła głowy na jego piersi. Nie odróżniała też jednej ważki od drugiej po brzęczeniu, ani żaby od żaby po rechocie; nauczył ją jednak dostrzegać dźwięki i głosy, nie tylko je słyszeć, ale także zwracać na nie uwagę.

Teraz, gdy ktoś do niej coś mówił, koncentrowała się przede wszystkim na brzmieniu głosu, co nazywała jego barwą. Ton często mówił więcej niż słowa. Na targu wiedziała od razu, czy kupujący zamierza targować się o kartofle, czy zaakceptuje cenę, jaką podała. Bracia zdumiewali się, gdy wieczorem już po paru zdaniach wiedziała, jak minął im dzień, czy są zadowoleni, znudzeni czy zirytowani. Ślimaczek stał się teraz Ślimaczkiem-naszym jasnowidzem.

Kiedy pewnego popołudnia Tin Win nie zastał jej na klasztornych schodach, z miejsca się zaniepokoił. Od ponad roku spotykali się codziennie, a poprzedniego wieczoru nic nie mówiła, że nazajutrz miałyby nie przyjść. Zachorowała? Dlaczego żaden z braci nie przyszedł go powiadomić? Od razu ruszył do ich zagrody. W nocy padał ulewny deszcz i ziemia była rozmiękła i śliska. Tin Win nie próbował wyczuwać kałuż wcześniej, z pluskiem brodził przez sam środek, przeciął ukosem pusty plac targowy i z pośpiechem ruszył zboczem w górę. Parę razy się pośliznął, upadł, wstał i nie troszcząc się o przemoczone i zabłocone *longyi*, szedł dalej. Wpadł na jakąś starą wieśniaczkę; wzburzony, niespokojny, nie usłyszał ani jej głosu, ani bicia serca.

Dom był pusty. Nawet pies zniknął. Sąsiedzi nic nie wiedzieli.

Tin Win starał się uspokoić. Co się mogło stać? Pewnie są w polu i niedługo będą z powrotem. Ale wciąż nie wracali. O zmierzchu lęk powrócił. Usłyszał siebie, jak woła. Mi Mi. Potrząsnął poręczą schodów, raz, drugi, aż ją złamał. Wydało mu się, że wrócił mu wzrok. Z nieba, niczym drapieżny ptak na ofiarę, spadł olbrzymi motyl, usiadł na łące i zaczął pełznąć ku niemu. Tin Win uciekł na pień drzewa. W jego stronę zaczęły pędzić czerwone punkty. Z każdym uderzeniem przeszywał go ostry ból. Próbował ich unikać, biegając po podwórku, z krwawiącym czołem i brodą. Przyniosło go do domu trzech chłopców od sąsiada.

Rozdział 14

Takiego krzyku Su Kyi dotąd nie słyszała. Był głośny, ale nie to w nim dziwiło czy alarmowało. Nie żaloszny lament to był, lecz gwałtowny bunt, krzyk gniewu i rozpacz. Ranił duszę, nie uszy.

Od razu się obudziła i zwróciła w stronę, skąd dochodził. Obok siedział z szeroko otwartymi ustami Tin Win i wył na cały głos. Zawołała go po imieniu, ale nie reagował. Nie była nawet pewna, czy jest przytomny. Złapała go za ramiona i potrząsnęła. Ciało miał spięte, niemal sztywne. Tin Win, Tin Win! — krzyczała, głaskała go po twarzy, objęła za głowę. To go ukoilo. Po chwili opadł powoli na matę. Skulił się, podciągnął kolana do piersi i zasnął, z głową w jej ramionach.

Kiedy się obudziła o szarym brzasku, Tin Win leżał obok i jęczał. Wymówiła szeptem jego imię, ale nie odpowiadał. Wrzuciła na siebie *longyi*, wciągnęła przez głowę bluzkę i sweter i przykryła go kocem. Może się przeziębił? Wczoraj wieczorem wrócił do domu dopiero po zmroku. Przyniosło go trzech młodzieńców. Wyglądał okropnie: ubłocony, zakrwawiony, z pokaleczoną głową. Bez słowa legł na swojej macie.

Poszła do kuchni i rozpałała ogień. Wczorajszy rosół z ryżem, gorący, z odrobiną curry, na pewno dobrze mu zrobi.

Z początku nie zwróciła uwagi na odgłosy krztuszenia się i rżenia. Kiedy weszła do pokoju, Tin Win klęczał przy otwartym oknie i wymiotował. Brzmiało to tak, jakby jego ciało chciało się gwałtem pozbyć wszystkiego, co kiedykolwiek jadł. Skurcze nadchodziły falami, a im mniej wymiotował, tym gwałtowniejsze były wstrząsy, i Su Kyi widziała, jak w końcu objęły całe jego ciało. Tak jakby miał się opróżnić aż na wieczność. Wreszcie z ust płynęła wyłącznie zielonkawa, cuchnąca substancja. Zaciągnęła go z powrotem do łóżka i ułożyła. Macał, szukając jej ręki. Usiadła obok niego i położyła sobie jego głowę na podołku. Usta miał wykrzywione. Z trudem oddychał.

Tin Win nie wiedział, czy przeżywa to na jawie, czy we śnie.

Stracił wszelkie poczucie przestrzeni i czasu. Jego zmysły zwróciły się do wewnątrz. Mgła przed oczami ustąpiła miejsca złowrogiej ciemności. W nozdrzach czuł kwaśny odór, woń własnych wnętrzności. Uszy rejestrowały wyłącznie dźwięki jego ciała. Szum krwi. Bulgotanie i przelewanie się w żołądku. Burczenie w jelitach. Bicie serca. A nad wszystkim tym wisiał strach. Nie miał nazwy ani głosu. Po prostu był. Wszędzie. Jak powietrze, którym Tin Win oddychał. Władał jego ciałem, władał myślami i snami. We śnie słyszał serce Mi Mi i wołał ją po imieniu, ale nie odpowiadała. Zaczynał jej szukać, biegł w stronę bicia, ale nie mógł dobiec. Biegł coraz szybciej i wcale nie był coraz bliżej niej. Biegł, aż w końcu padał z wyczerpania. Albo widział Mi Mi siedzącą na stołku, podchodził do niej, i nagle otwierała się ziemia i pochłaniała go. Było ciemno, spadał i nie miał czego się uchwycić. Było mu coraz goręcej, aż wreszcie zdawał sobie sprawę, że wylądował i zapada się w kipiące bagno. I sen zaczynał się od nowa. Dlaczego nie potrafił wyśnić swej śmierci?

Ale to nie umieranie go przerażało. Przerażało go wszystko inne. Każdy dotyk. Każde słowo. Każda myśl. Każde uderzenie serca. Każdy kolejny oddech.

Nie mógł się ruszać. Nie mógł jeść. Wypluwał herbatę, którą wlewała w niego Su Kyi. Słyszał jej głos, ale była daleko. Czuł jej rękę, a mimo to nie był pewny, czy ona dotyka go naprawdę.

Wciąż na nowo pojawiały mu się w głowie słowa U May: „Jedna tylko jest moc silniejsza od strachu: miłość”. Ale jaka moc może zwyciężyć lęk przed miłością, U May?

Na trzeci dzień wciąż nie było oznak polepszenia. Su Kyi godzinami go masowała, nacierała ziołami, od siedemdziesięciu dwóch godzin nie opuszczała go na krok. Nie skarżył się na żaden ból, nie kaszlał, ciało wydawało się raczej zbyt chłodne niż zbyt gorące. Nie wiedziała, co mu dolega, ale pewna była jednego: cokolwiek to jest, jest to sprawa życia i śmierci. Do kogo by tu się zwrócić o radę? Wobec lekarzy i pielęgniarek ze szpitalika była tak samo nieufna jak wobec astrologów i uzdrowicieli z plemion Danus, Paos i Palongs. Jeśli ktokolwiek może tu pomóc, to U May. Może, myślała, on wcale nie jest chory? Może przebudziły się w nim duchy i demony, które — o ile

wiedziała — mieszkają w każdym z nas i tylko czekają, żeby się wyłonić z ukrycia i zdjąć maskę?

Postawiła przy łóżku śpiącego Tin Wina kubek herbaty i śpiesznie zbiegła do klasztoru.

Kiedy wróciła, Tin Win nadal leżał bez ruchu w łóżku. U May w gruncie rzeczy nie potrafił jej pomóc. Odmalowała mu ze szczegółami trzy ostatnie dni i noce, ale nie wyglądało, by ta opowieść szczególnie go zmartwiła. Mamrotał coś o wirusie, wirusie miłości, który, o ile go dobrze zrozumiała, każdy w sobie nosi, ale rozwija się tylko u nielicznych. Kiedy się jednak rozwinie, wówczas towarzyszy temu z początku znaczny lęk, stany wielkiego wzburzenia, które mogą zaburzać i ciało, i duszę. W większości wypadków objawy te ustępują same we właściwym czasie.

W większości wypadków, powiedział, i Su Kyi siłą rzeczy przypomniała się historia jej ciotecznego dziadka. Przez trzydzieści siedem lat nie wstawał on z pościeli, całe lata leżał bez ruchu na macie, wpatrując się w sufit, nie wydawał żadnego dźwięku, nie chciał samodzielnie jeść i żył tylko dlatego, że jego krewni z anielską cierpliwością trzy razy na dzień go karmili. A wszystko z powodu córki sąsiada, której pragnął w młodości, a rodzice wydali ją za innego. Albo przypadek jej siostrzeńca, który stracił serce dla dziewczyny we wsi i co wieczór o zmierzchu siedział przed jej domem i śpiewał miłosne piosenki. Nie było w tym jeszcze nic niezwykłego, tak postępowało wiele młodych par w Kalaw. Ale siostrzeniec nie zaprzestał śpiewania również wtedy, gdy stało się jasne, że rodzina dziewczyny nie patrzy przychylnie na jego miłosne wyznania. Wkrótce śpiewał już nie tylko wieczorami, lecz przez cały dzień, a kiedy zaczął śpiewać i nocą, zjawili się jej bracia i jako że nie chciał odejść sam, zabrali go i odnieśli. W domu wspiął się na drzewo awokado i śpiewał nadal, dopóki — po trzech tygodniach i sześciu dniach — nie stracił głosu na dobre. Odtąd poruszał tylko ustami w rytm melodii, a wargi formowały słowa piosenki, co mówiła o jego wiekuistej miłości. Im dłużej o tym myślała Su Kyi, tym więcej przypominała sobie historii wieśniaków i mnichów, handlarzy i kupców, złotników i woźniców, a nawet jakichś Anglików, którzy stracili rozum przez miłosną namiętność.

Może — tak sądziła Su Kyi — ma to coś wspólnego z Kalaw? Może jesteśmy siedliskiem wyjątkowo złośliwego zarazka, może chodzi o górskie powietrze albo klimat? Czy jest coś takiego w tym niepozornym zakątku południowo-wschodniej Azji, co sprawia, że wirus staje się wyjątkowo niebezpieczny?

U May nie widział powodu do troski.

Su Kyi ucierała w moździerzku liście eukaliptusa i trzymała je przed nosem Tin Wina, w nadziei że pobudzą one zmysł powonienia. Próbowwała tego samego z gałęziami kwitnącego hibiskusa i jaśminu. Masowała mu stopy i głowę. Tin Win nie reagował. Serce biło, oddychał, ale innych oznak życia nie wykazywał. Wycofał się w świat, gdzie nie mogła go już dosięgnąć.

Rankiem siódmego dnia w drzwiach pojawił się młody mężczyzna. Na plecach niósł Mi Mi. Su Kyi знаła ją z targowiska i wiedziała, że Tin Win spędza z nią popołudnia i niedziele.

— Czy zastałam Tin Wina? — spytała Mi Mi.

— Tak, jest chory — odparła Su Kyi.

— Co mu jest?

— Nie wiem. Nic nie mówi. Nic nie je. Jest nieprzytomny.

— Czy mogę go zobaczyć?

Su Kyi wskazała jej drogę przez kuchnię do pokoju, gdzie sypiali. Tin Win leżał bez ruchu, z zapadłą twarzą, zaostrozonym nosem, zszarzałą pomimo brunatnej barwy cerą. Herbata i ryż stały obok nietknięte. Mi Mi ześliznęła się z pleców brata i podczołgała do Tin Wina. Su Kyi nie mogła oderwać od niej oczu. Dziewczyna poruszała się z gracją, jaką rzadko u kogo widywała. Tak jakby dziwnie uformowana stopa dała jej inną, wyrazistszą świadomość własnych członków i ruchów.

Mi Mi ujęła głowę Tin Wina i położyła sobie na kolanach. Nachyliła się nad nim i jej twarz zniknęła za zasłoną długich czarnych włosów. Zaczęła mu coś szeptać do ucha. Brat odwrócił się i wyszedł, Su Kyi za nim. Przyrządziła dla gości herbatę i wysypała dla nich ze starej blaszanki resztę prażonych pestek melona i słonecznika.

Wyszła do ogrodu i usiadła w cieniu awokado. Patrzyła przez

podwórko na stos narąbanego drewna, ułożonego równo pod ścianą, pieńek, na którym czasem zabijała kurę, zagonki warzyw, próchniejącą powoli ławeczkę, którą musiał postawić ojciec Tin Wina. Sześć ich kur biegało tu i tam, wydziobując coś z ziemi. Su Kyi poczuła narastający smutek. Znała ten nastrój; nie lubiła go i zawsze się przed nim broniła, na ogół skutecznie. Teraz jednak czuła, jak z każdą chwilą zyskuje na wadze i mocy. Nie dostrzegała jego przyczyny, a bezprzedmiotowy smutek nie był dla niej niczym więcej niż uzalaniem się nad sobą, czymś, z czym walczyła przez całe swe życie. Czy to tajemnicza choroba Tin Wina tak ją zmartwiła? Lęk, że go utraci? A może powracające co jakiś czas rozpoznanie, jak dalece sama jest samotna, zagubiona i opuszczona? Tin Win także. I jej siostra. Właściwie każdy. Niektórzy to czują, inni nie.

W tym momencie usłyszała śpiew. Dobiegał z domu, cichutki, tak jakby dochodził z doliny. Subtelny, delikatny dziewczęcy głos śpiewał piosenkę, której melodii Su Kyi nie znała. Słów także nie potrafiła rozróżnić, co najwyżej pojedyncze. To melodia i brzmienie głosu tak ją poruszały.

Ten śpiew potrafi powstrzymać duchy i demony, pomyślała Su Kyi. Łagodził jej ból, poskramiał smutek. Siedziała nieporuszona pod drzewem, tak jakby najlżejszy ruch mógł zburzyć to, co czuła. Głos Mi Mi płynął poprzez dom i podwórko, jak woń, co wnika w każdy zaułek i szczelinę. Su Kyi miała wrażenie, że wszystkie inne dźwięki — świergot ptaków, cykanie świerszczy, rechotanie żab — powoli gasną i odpływają, aż wreszcie pozostał tylko ten śpiew. Miał w sobie moc narkotyku, otwierał każdy por, każdy zmysł jej ciała. Pomyślała o Tin Winie. Nie, nie potrzebuje się o niego martwić. Ten śpiew pokona każdy mur, jaki mógłby wznieść wokół siebie, odnajdzie go w najbardziej odległej kryjówce. Czy to naprawdę tylko przypadek, że wirus, o którym mówił U May, tak często wybuchał w Kalaw?

Siedziała bez drgnienia pod drzewem awokado, aż opadły jej powieki.

Obudził ją wieczorny chłód. Było ciemno, a ona zmarzła. Głos rozbrzmiewał nadal, tak samo łagodnie, tak samo pięknie. Su Kyi wstała i poszła do domu. W kuchni paliła się świeca, druga w sypialni. Mi Mi

wciąż siedziała obok Tin Wina z jego głową na kolanach. Jego twarz była pełniejsza, cera nie tak blada. Brat poszedł. Su Kyi spytała, czy nie jest głodna albo czy nie chce się położyć. Mi Mi krótko pokręciła głową.

Su Kyi zjadła trochę zimnego ryżu i awokado. Była zmęczona i nie wyglądało na to, żeby mogła coś jeszcze zrobić w tej chwili. Poszła do sypialni, rozłożyła matę dla Mi Mi, dała jej kaftan i koc i położyła się.

Kiedy ocknęła się nazajutrz rano, w domu panowała cisza. Rozejrzała się, tak jakby chciała się upewnić, że to już nie sen. Tin Win i Mi Mi spali tuż obok. Wstała i zdała sobie sprawę, że czuje się zdrowa i lekka, choć nie wiedziała dlaczego. Niemal zbyt lekka, pomyślała, idąc do kuchni. Rozpaliła ogień, zaparzyła herbatę, opłukała młodą cebulę i pomidory i ugotowała ryż na śniadanie.

Tin Win i Mi Mi obudzili się przed południem. Było ciepło, ale nie upalnie, i Su Kyi gracowała grządki warzyw, gdy wtem ujrzała, że w drzwiach stoi Tin Win z Mi Mi na plecach. Wyglądał na starszego, tak jakby wydorósł przez te parę dni. A może to po prostu napięcie i wyczerpanie pozostawiły na nim swój ślad? Mi Mi zdawała się dawać mu wskazówki, bo obszedł stos drewna, stołek, siekierę, tak jakby wszystko widział. Usiedli na ławce przy kuchennej ścianie. Su Kyi rzuciła motykę i pośpieszyła do nich.

— Głodni jesteście? — spytała.

— Tak, dosyć — odparł Tin Win. Głos miał nieco niższy niż zwykle, niemal odrobinę obcy. — I pić nam się chce.

Su Kyi przyniosła ryż, curry i herbatę. Jedli powoli i z każdym kęsem Tin Winowi zdawało się powracać życie i siły.

Po posiłku Tin Win powiedział, że zanim zanieś Mi Mi do domu, chciałby się z nią przejść. Czuje się dobrze, bynajmniej nie jest zmęczony. Su Kyi nie potrzebuje się martwić, nogi mu służą i wróci z powrotem, zanim się ściemni. Obiecuje.

Ruszyli stromą ścieżką ku szczytowi wzgórza, a potem górskim grzbietem. Tin Win koncentrował się wyłącznie na chodzie. Czy potrafi jeszcze kiedykolwiek powierzyć się całkowicie w jej ręce, czy ona nadal będzie umiała sterować nim tak zręcznie pośród wszelkich barier?

— Pamiętasz ostatnie parę dni? — spytała Mi Mi po dłuższej

chwili milczenia.

— Prawie nie — odparł. — Musiałem dużo spać. Nie wiedziałem, czy to sen, czy jawa. Nic nie słyszałem, tylko jakieś szmery i stłumione gruchanie czy bulgot.

— Co ci się stało?

— Nie wiem. Byłem opętany.

— Czym?

— Strachem.

— Czego się bałeś?

— Że cię stracę. Kiedy do was poszedłem i nikogo nie zastałem, a sąsiedzi nie wiedzieli, gdzie jesteście, przeraziłem się. Staralem się uspokoić, ale mój niepokój z chwili na chwilę rósł. Myślałem, że cię nigdy więcej nie zobaczę. Gdzie byliście?

— U krewnych w górach. Ciocia umarła i musieliśmy wyjść jeszcze przed świtem. — Zbliżyła usta do jego ucha. — Nie potrzebujesz się bać. Nie możesz mnie stracić. Jestem częścią ciebie, tak jak ty częścią mnie.

Tin Win miał odpowiedzieć, gdy wtem jego lewa stopa trafiła w pustkę. Jama w ziemi zarosła trawą i Mi Mi pewnie by jej nie spostrzegła, nawet gdyby zwracała uwagę. Tin Win poczuł, że zamiera w pół kroku, tak jakby oglądał siebie samego w zwolnionym tempie. Stopa szukała gruntu i zdawało się, że całą wieczność trwa, zanim go w końcu znalazła. Zachwiał się, stracił równowagę i odnotował, że padając, stłumił odruch, by osłonić głowę, starał się raczej mocniej trzymać Mi Mi. Nie wiedział, jak długo będzie leciał, kiedy i na co upadnie, na trawę, na kamień czy na krzak, który porozdziera mu twarz. Upadek zdawał się nie mieć końca, a najgorsza była niepewność, co go czeka. Przekręcił głowę w bok i przyciągnął brodę do piersi. Mi Mi przywarła ciasno do niego. Upadli niemal głową naprzód. Tin Win poczuł, że przykrywa sobą Mi Mi, i potoczyli się jak kłody po trawiastym zboczu.

Upadł, ale i wylądował. To nie była jama bez dna.

Zatrzymali się w jakimś zagłębieniu. Mi Mi była na wierzchu. Dopiero teraz Tin Win spostrzegł, jak kurczowo do siebie przywierali. Nie chciał jej puszczać. Jej serce szybko biło. Nie tylko słyszał je, teraz je także czuł. Mi Mi leżącą na wierzchu odczuwał zupełnie inaczej. Była

lżejsza, niż gdy miał ją na plecach i czuł nie tylko jej ręce wokół szyi. Leżała piersią na jego piersi, brzuchem na jego brzuchu. Ich *longyi* były rozchełstane, gołe nogi splecione. Ogarnęło go nieznane uczucie, pragnienie czegoś więcej. Chciał wziąć Mi Mi i oddać się jej. Chciał stać się z nią jednością, należeć do niej. Odwrócił twarz, zdumiony własnym pożądaniem.

— Nic ci się nie stało? — spytała.

— Nic szczególnego. A tobie?

— Też nie.

Oczyściła mu twarz z brudu. Otarła czoło i usunęła kurz z kącików ust. Na ułamek sekundy ich wargi się musnęły. Tin Win zadrżał.

— Możesz iść? — spytała. — Chyba niedługo zacznie padać.

Tin Win wstał i znowu wziął Mi Mi na plecy. Ruszyli łąką w dół. Wkrótce usłyszeli szum rzeki. Nurt był szybki, rwący, bo po ostatnich deszczach rzeka mocno przybrała. Płynęła tu w niewielkim jarze; dalej, w dół nurtu, był most, ale trudno stąd było do niego dotrzeć. Tin Win spróbował ocenić głębokość po plusku kipiącej w dole wody; musiało być około trzech metrów.

— Jak jest szeroko? — spytał.

— Ze dwa metry, może więcej.

— Jak się przedostaniemy na drugą stronę?

Mi Mi wyprostowała się i rozejrzała.

— Tam leży pień drzewa przerzucony przez rzekę.

Poprowadziła go obok niewielkiego głązu do pnia.

Była to sosna, cieńsza niż myślała Mi Mi, o obwodzie nie większym niż jej udo. Z drzewa zdarto korę, ktoś poobcinał też gałęzie tuż przy pniu. Mi Mi się zawahała.

— O co chodzi? — spytał.

— Tam jest głęboko — powiedziała.

— Tylko jeśli patrzysz. Dla mnie to nic nie znaczy.

Podszedł ostrożnie do pnia i stanął na nim jedną nogą.

Stopa wygięła się na obłej powierzchni. Mi Mi próbowała sterować nim za pomocą ramion, ale pokręcił głową.

— Zaufaj moim stopom.

Zwrócił się leciutko w bok i postawił jedną stopę przed drugą. Nie

szedł normalnym krokiem, lecz prześlizgiwał przednią stopę o parę centymetrów, wymacywał drzewo, dopóki nie poczuł jego kształtu, po czym przenosił na tę nogę ciężar ciała i dociągał drugą. Usłyszał serce Mi Mi. Waliło. Zarazem szum wody stał się głośniejszy i jaśniejszy: musieli znajdować się nad samym jej nurtem. Pień zaskrzypiał złowieszczo i ugiął się pod ich ciężarem.

Tin Win szedł powoli, ale się nie zachwiał. Ani razu. Mi Mi zakręciło się w głowie. Zamknęła oczy. Miał rację: tak było łatwiej. Musi po prostu zapomnieć, gdzie jest.

Tin Win posuwał się powolutku, dopóki szum rzeki znowu odrobinę nie przycichł. Byli na drugim brzegu. Mi Mi zakołysała się z ulgi i ucałowała go w policzki i w kark. Kolana się pod nim ugięły z podniecenia. Potknął się i z trudem odzyskał równowagę. Za ledwie uszli parę kroków, gdy rozległ się potężny grzmot. Zupełnie blisko! Tin Win się przestraszył. Wciąż jeszcze czuł się nieswojo podczas burzy.

— Tam jest szalas, troszkę dalej w dolinie! — zawołała Mi Mi. — Może zdążymy, zanim zaczniesz się na dobre. Biegnijmy wzdłuż rzeki!

Tin Win parł naprzód najszybciej jak mógł. Kiedy zanadto się zbliżał czy oddalał od rzeki, pociągała go za właściwe ramię. Zaczęło padać. Deszcz był przyjemnie ciepły. Spływał im po twarzach, skapywał z nosów i ściekał w dół po szyjach i brzuchach. Mi Mi wtuliła się w niego. Po raz pierwszy uświadomił sobie jej piersi, miękkie, z dwoma twardymi punktami, przesuwającymi się w górę i w dół po jego mokrych plecach.

Szalas był pozbawioną okien budą z drewnianych belek i desek, nie większą niż na dwie-trzy maty do spania, o grubo wysłanej sianem podłodze. Deszcz bębnił w blaszany dach jak tysiąc maleńkich piąstek. Lało tak mocno, że Mi Mi ledwie widziała stąd rzekę, odległą za ledwie o parę metrów. Nawałnica szalała teraz tuż nad nimi i Tin Win wzdrygał się przy każdym uderzeniu pioruna, po raz pierwszy jednak burza nie wydawała mu się groźna. Grzmiało tak, że Mi Mi zatykała sobie uszy. Tin Win wstrząsał się, ale się nie bał.

W środku było jeszcze goręcej i bardziej parno niż na zewnątrz. Ciała mieli gorące i wilgotne, a deszczowa woda stopniowo mieszała się

z potem.

Mi Mi wyciągnęła się na sianie. Tin Win nie leżał jak zwykle na jej podołku, lecz siedział po turecku, mając jej głowę pomiędzy udami. Przegarniał dłońmi jej włosy, głaskał czoło, wyczuwał subtelnym dotykiem brwi, nos, usta, pieścił policzki i delikatną szyję.

Mi Mi czuła koniuszki jego palców. Nie pieściły jej, lecz elektryzowały, z każdym ruchem coraz szybciej biło jej serce. Nachylił się, pocałował w czoło, w nos. Powiódł językiem po szyi, uszach. Mi Mi niemal nie wierzyła, że tak raduje się jej ciało, każde miejsce, którego dotykał Tin Win. Jego dłonie prześliznęły się po jej twarzy, skroniach, mostku nosa. Obwiodły zarys warg, dotknęły powiek i znów ześliznęły się po policzkach do ust. Uchyliła je leciutko i było to tak, jakby nigdy dotąd ich nie dotykał.

Złożył jej głowę na posłaniu z trawy i zdjął koszulę. Mi Mi zamknęła oczy i oddychała głęboko.

Pieścił jej stopy. Wymacywał palce, wyczuwał subtelnym dotykiem paznokcie i drobne kości pod napiętą skórą, gładził kostki. Przesuwał dłońmi po łydkach, do rąbka *longyi* i z powrotem. Raz. Drugi. Mi Mi drżała na całym ciele. Uniosła biodra, podciągnęła lekko koszulę, wzięła jego rękę i położyła sobie na nagim brzuchu. Jego serce waliło, nie szybko, ale głośno i z mocą.

Czuł jej przyspieszony oddech. Wyczuł palcami jej pępek. Prześliznął się dłońmi po jej ciele, niemal go nie dotykając. Pomiedzy koniuszkami palców a jej skórą rosło napięcie, ekscytujące jak nic na świecie. Powoli schodził dłońmi niżej, niżej, pod *longyi*, aż do nasady owłosienia łonowego. Ukląkł obok niej i zobaczyła, że jego *longyi* napięło się wokół bioder w mały namiocik. Przestraszyła się. Nie tego widoku, nie dotyku jego rąk, ale swego pragnienia, swego oddechu i bicia serca, coraz szybszego i gwałtowniejszego. Powoli cofnął dłoń. Pragnęła więcej, przytrzymała go, on jednak położył głowę na jej piersi i leżał bez ruchu. Czekał. Długo trwało, zanim jej serce się uspokoiło.

Nigdy nie spowszednieje mu ten dźwięk. Szacunek i zachwyt, jakie budziło w nim każde uderzenie, sprawiały, że drżał. Było tu, parę centymetrów zaledwie od jego ucha. Miał wrażenie, że zagłęda przez szparę w łono świata. Bicie jej serca. Niezwykłe. Oszołamiająco piękne.

Pieśń życia. I śmierci. Pieśń miłości.

Rozdział 15

Powiał wiatr. Zmarszczył powierzchnię wody i Mi Mi usłyszała, jak drobne fale pluszczą o kamienie u jej stóp. Siedziała w kucki na brzegu małego jeziora i patrzyła na Tin Wina. Żaden był z niego pływak. Wytworzył sobie własny styl, bokiem i z jedną ręką stale wyciągniętą do przodu, by móc wyczuć każdą przeszkodę. Był ostrożny i wolał trzymać się blisko brzegu, gdzie stopy dotykały dna. Miał jednak w sobie wytrwałość i doskonale potrafił nurkować. Mi Mi uwielbiała wodę. Nawet gdy była maleńka, bracia zabierali ją ze sobą nad cztery jeziora, o godzinę drogi pieszo od Kalaw. Nieśli ją na zmianę i szybko nauczyli ją pływać. Te wycieczki to były najpiękniejsze wspomnienia Mi Mi. W wodzie mogła mierzyć się z braćmi i bawić się z innymi dziećmi. Była szybka i zręczna, a nurkowała najlepiej ze wszystkich. W wodzie stopy są bez znaczenia.

Zaprowadziła Tin Wina nad jeziora zeszłego lata i to miejsce stało się ich ulubionym schronieniem. Zawsze szli nad najmniejsze z czterech wodnych oczek, oddalone od bitego traktu i ukryte za kępą sosen. Inne dzieci go unikały, bo podobno było w nim najwięcej wodnych węży. Mi Mi dwa razy widziała je na własne oczy. Kiedy spytała Tin Wina, czy się ich nie boi, zaśmiał się i zapewnił ją, że nigdy nie widział ani jednego.

Tin Win dopłynął do środka jeziora, gdzie wystawał z wody kamień na tyle duży, że dało się na nim usiąść. Wspiął się nań i czekał, by wysuszył go wiatr i słońce. Mi Mi poczuła, że narasta w niej pragnienie. Blisko cztery lata minęły od chwili, gdy spotkała w klasztorze Tin Wina, a gdy minęło pierwszych parę tygodni, nie było dnia, żeby się nie widzieli. Czekala na niego po szkole albo on szedł po lekcjach na targowisko. W niedziele przychodził po nią z samego rana. Byli nierozłączni, jak powiedziała kiedyś półzartem jej matka. Nierozłączni... Swym zwyczajem Mi Mi długo zastanawiała się nad tym słowem. Obracała je w głowie i w tę stronę, i w tę, i po paru dniach doszła do wniosku, że trafniejsze określenie nie istnieje. Byli

nierozłączni. Serce jej trzepotało na sam jego widok, a jakaś jej cząstka zawsze za nim tęskniła, kiedy nie było go obok. Tak jakby świat kręcił się wyłącznie w jego obecności. Jego brak czuła w całym ciele. Bolała ją głowa. Nogi i ręce robiły się ciężkie i niezdarne. Ciągnęło ją w brzuchu i w piersiach. Nawet oddychać było jej trudno bez niego. Wszystkie te dolegliwości znikwały, gdy tylko znalazła się znowu na jego plecach, objęła go rękami za szyję i czuła pod ramionami dotyk jego barków. Nie było miejsca, gdzie czułaby się bezpieczniejsza czy szczęśliwsza.

Siłą rzeczy powracała myślą do tamtego popołudnia, gdy rozszalała się nad nimi burza, a oni schronili się w szałasie. Wtedy po raz pierwszy dotykał jej naprawdę, i ten dotyk obudził w niej pożądanie, które czasem stawało się silniejsze niż wszystkie inne uczucia razem wzięte. Czy to, co czuła w takich chwilach, drzemało w niej już wcześniej, a Tin Win po prostu je przebudził? A może przyszło skąd indziej? Czy on ją zaczarował? Co to takiego, co on budzi do życia swym pocałunkiem? Ilekroć dotykały jej jego wargi, ilekroć muskał palcami jej szyję, piersi, brzuch, uda, miała wrażenie, że po raz pierwszy odkrywa przed nią jej własne ciało. Nie inaczej reagował Tin Win na jej ręce, na jej usta. Potrafiła obudzić jego ciało pocałunkami i dotykiem, aż skręcał się i dyszał z nieskrywanego pożądania. W takich chwilach tak silnie czuła, że żyje, że nie wiedziała, gdzie zmieścić całe to szczęście. Wydawało jej się, że polatuje z wiatrem, czuła się lekka, nieważka, jak skądinąd tylko w wodzie. Czuła w sobie moc, o jaką nigdy dotąd się nie podejrzewała. Moc, którą tylko Tin Win umiał powołać do życia.

Nauczył ją zaufania, stworzył przestrzeń, w której mogła być słaba. Kiedy z nim była, nie musiała niczego udowadniać. Był pierwszym i jedynym człowiekiem, któremu wyznała, jak upokarzające jest dla niej pełzanie na czworakach. Że miewa sny, w których idzie przez Kalaw na dwóch zdrowych stopach i skacze w górę najwyżej jak potrafi. Tak sobie, po prostu. Nie próbował jej w takich chwilach pocieszać. Obejmował ją i milczał. Mi Mi wiedziała, że on rozumie, o co jej chodzi i jak się z tym czuje. Im więcej mówiła o swym pragnieniu, by chodzić na własnych nogach, tym rzadziej ją ono dręczyło. I wierzyła mu, gdy mówił, że nie ma na świecie piękniejszego ciała niż jej.

Nie było kroku, na który nie odważyłaby się z nim.

Patrzyła na niego i choć dzieliło go od niej nie więcej niż piętnaście metrów, nie mogła znieść tej rozłąki. Zdjęła koszulę i *longyi*, wśliznęła się do wody i popłynęła, rozgarniając ją mocnymi rzutami ramion. Słońce ogrzało jezioro, ale woda wciąż była wystarczająco chłodna, by odświeżać. Łaskotała jej nagie ciało. Jeśli usiądzie pomiędzy jego udami i oprze się o niego, na kamieniu wystarczy miejsca dla nich obojga. Podpłynęła do niego, on wyciągnął rękę i pomógł jej wyjść z wody. Wsparła się na nim, on objął ją w pasie i mocno przycisnął.

— Nie mogłam wytrzymać bez ciebie — szepnęła.

— Przecież jestem tu cały czas.

— Chciałam cię poczuć. I było mi smutno.

— Dlaczego?

— Bo byłeś daleko ode mnie, bo nie mogłam cię dotknąć — odparła, zdumiona własnymi słowami. — Smuci mnie każda godzina, którą spędzam bez ciebie. Każde miejsce, dokąd bez ciebie idę. Każdy krok, który stawiasz beze mnie na plecach. Każda noc, kiedy nie zasypiamy objęci i każdy ranek, kiedy nie budzimy się obok siebie.

Odwróciła się i uklękła przed nim. Ujęła jego głowę. Słyszał płynące po jej policzkach łzy. Całowała jego czoło i oczy. Całowała jego usta i szyję. Wargi miała wilgotne i miękkie. Pokryła go pocałunkami. Przyciągnął ją do siebie, a ona objęła go nogami za biodra. Trzymał ją mocno, bardzo mocno. Tak jakby inaczej mogła stąd ulecieć.

Rozdział 16

Uderzenia przypominały mu jednostajne kapanie z rynny. Kap... kap... kap... W ostatnich dniach przerwy pomiędzy uderzeniami były coraz dłuższe. To źródło powoli wysychało.

Tin Win słyszał, że to nadchodzi. Od tygodni. Serce U May zawsze było w jego uszach znużone, ale ostatnio biło słabiej niż zwykle. Od dwóch tygodni młody mnich sam dawał lekcje uczniom U May, on sam zaś leżał w łóżku, zbyt słaby, aby się podnieść. Nic nie jadł, mało pił, pomimo tropikalnych temperatur.

Ostatnie parę dni Mi Mi i Tin Win spędzili przy jego łóżku. Tin Win mu czytał, dopóki nie pocierał sobie niemal do krwi koniuszków palców. Mi Mi proponowała, że będzie mu śpiewać, ale U May odmówił. Znana mu jest magiczna siła jej głosu i nie chce przedłużać swego życia za pomocą żadnych sztucznych środków, powiedział, i przelotny uśmiech zagościł mu na wargach.

Teraz, zapewniwszy sobie chwilę wytchnienia, siedzieli w herbaciarni przy głównej ulicy i pili świeżo wyciśnięty sok z trzciny cukrowej. Od dwóch tygodni Kalaw nękała fala upałów i nie widać było żadnych oznak, by miała ustąpić. Powietrze było nieruchome. Oboje milczeli. Nawet muchy cierpią od gorąca, pomyślał Tin Win. Ich brzęczenie było bardziej niemrawe i ospałe niż zwykle. Obok nich siedzieli handlarze i przekupki i wszyscy nieustannie narzekali na pogodę. Dla Tin Wina było to niezrozumiałe. Dwieście metrów stąd umierał U May, a ludzie po prostu pili herbatę. Krzatali się przy swoich interesach. Rozmawiali o takich głupotach jak pogoda.

Już z daleka usłyszał nadchodzącego mnicha. Rozpoznał go natychmiast po nierównym kroku. Był to Zhaw, który miał lewą nogę nieco krótszą niż prawą i przez to utykał, choć niedostrzegalnie dla oka. Nikt oprócz Tin Wina nawet tego nie zauważył. Zhaw miał złe wiadomości, Tin Win wiedział o tym z jękliwego tonu jego serca. Brzmiało prawie tak samo żałośnie, jak u rannego cielątka, które

znalazła niedawno Mi Mi i które umarło na jej rękach.

— U May stracił przytomność — wychrypiał Zhaw, całkiem bez tchu.

Tin Win wstał, przykląkł przed Mi Mi, która wspięła mu się na plecy, i wyszli. Szedł główną ulicą najszybciej jak mógł; Mi Mi sterowała nim, pomagając omijać pieszych i stojące na skraju wole wózki. Skręcili w dróżkę prowadzącą do klasztoru, pognali przez dziedziniec i rzucili się po schodach na górę.

Wokół U May zgromadzili się wszyscy mnisi i wielu mieszkańców wsi. Siedzieli na podłodze, wypełniając niemal połowę wielkiej sali medytacyjnej. Na widok Tin Wina i Mi Mi rozsunęli się nieco, robiąc im przejście do łóżka U May. Mi Mi przeraził jego wygląd. W ciągu paru godzin jego twarz zapadła się jeszcze bardziej. Oczy były teraz osadzone tak głęboko, że sprawiały wrażenie, jakby ginęły w czaszce. Nos sterczał, a usta niemal zniknęły. Napięta na kościach policzkowych skóra była blada i bez życia jak kawałek papieru. Ręce miał złożone na podbrzuszu.

Przykucnęli przy łóżku, Mi Mi nieco za Tin Winem, obejmując go ramionami za pierś.

Tin Win wiedział, że to już długo nie potrwa. Serce U May niewiele było głośniejsze niż trzepot skrzydeł motyla. Jakże bał się tego momentu. Od dawna nie potrafił sobie wyobrazić życia bez U May. Bez jego głosu. Bez jego rady. Bez jego zachęty. U May był pierwszym człowiekiem, przed którym się otworzył, na ile w owym czasie było go stać. I to U May starał się uwolnić go od strachu. Każde życie zawiera ziarno śmierci, powtarzał mu w tych pierwszych latach ich przyjaźni. Śmierć należy do życia, podobnie jak narodziny, nikt nie może jej uniknąć, nie ma więc sensu się jej sprzeciwiać. Im wcześniej człowiek ją zaakceptuje jako naturalny element życia, zamiast się jej bać, tym lepiej.

Tin Win doceniał logikę tego argumentu, ale tak naprawdę nigdy go to do końca nie przekonało. Strach pozostał. Strach przed śmiercią U May, ale także przed własną. Nie żeby trzymał się kurczowo swego życia czy uważał je za szczególnie wartościowe. Mimo to strach wciąż w nim był, czasem graniczący z paniką. Miał w sobie coś zwierzęcego, i od czasu do czasu przywodziło mu to na myśl prosiaka, którego zabijał

kiedyś na jego oczach ojciec. Nigdy nie zapomni tego widoku... Te wytrzeszczone oczy. Ten ścinający krew w żyłach kwik, ta rozpaczliwa walka, to wicie się całego ciała. Strach przed śmiercią to prawdopodobnie instynkt przetrwania, myślał później Tin Win. Jest częścią nas, podobnie jak każdej żywej istoty. Zarazem powinniśmy go przekroczyć, żeby odejść w spokoju. Była to dla niego sprzeczność nie do rozwiązania. Niejeden raz przez ostatnie dwa lata zastanawiał się nad umieraniem, i oto teraz, gdy zmuszała do tego bliska śmierć U May, nieoczekiwanie znalazł w sobie spokój. Po raz pierwszy miał coś utracić, a mimo to się nie bał. Chętnie spytałby U May o wyjaśnienie, ale było za późno... Nagle U May poruszył ustami.

— Tin Win, Mi Mi... Jesteście tu? — Nie wymawiał słów, lecz je wydychał.

— Tak — powiedział Tin Win.

— Pamiętajcie, jak chciałem umrzeć?

— Wolny od strachu i z uśmiechem na ustach — odparł Tin Win.

— Nie ma we mnie strachu — wyszeptał U May. — Mi Mi powie ci, czy potrafię się także uśmiechać.

Tin Win wziął go za rękę i błagał, by przestał mówić.

— Oszczędzaj się...

— Po co?

Zabrzmiało to jak ostatnie słowa. Tin Win miał nadzieję, że U May powie coś jeszcze. Żadne życie nie powinno się kończyć pytaniem. Po co?

Oznaczało to daremne zmagania. Oznaczało zwątpienie. Niespełnienie. Tin Win liczył sekundy pomiędzy uderzeniami serca. Parę oddechów dzieliło jedno od drugiego.

U May otworzył usta jeszcze raz. Tin Win się nachylił.

— Miłość — powiedział starzec. Nic więcej.

Tin Win wiedział, że powiedział to z uśmiechem.

Nastała cisza. Tin Win czekał. Cisza. Nieskończona, wszechogarniająca, pochłaniająca każdy dźwięk cisza.

Słyszał serce Mi Mi i swoje własne, ich rytmy z każdym taktem upodobniały się do siebie, zbiegały, i przez kilka sekund — jemu się wydawało, że to bardzo długo — słyszał, że ich dwa serca biją jak jedno.

Rozdział 17

Były w życiu Yadany mgnienia — mówiła o nich: magiczne — które będzie pamiętała do śmierci. Kiedy po raz pierwszy ujrzała Tin Wina, na przykład. Po latach wciąż miała przed oczyma żywy, wyrazisty obraz tego spotkania. Siedziała na schodkach ganku i zamierzała właśnie upleść koszyk z wysuszonej trawy. Było późne popołudnie; czuła już woń dymu z rozpalonego przez sąsiadów ognia, słyszała jego trzask i brzękanie garnków i misek. Była sama. Mąż i synowie byli w polu. Nagle na podwórku ukazał się Tin Win z Mi Mi na plecach. Nawet teraz trudno jej było wyrazić, jak się wtedy wzruszyła. Czy to była młodzieńcza twarz Tin Wina, pomimo ślepoty tak promienna, jak rzadko zdarzało się jej widzieć u dorosłych? Jego śmiech, gdy Mi Mi szepnęła mu coś do ucha? Ostrożność, z jaką wszedł na ganek, wyczuwając stopą każdy stopień, i przykucnął, by Mi Mi mogła ześliznąć mu się z pleców? A może była to po prostu twarz córki, jaśniejąca szczęściem, z oczami rozświetlonymi radością niczym dwie gwiazdy w ciemną noc? Z miejsca wiedziała, że to z powodu tego młodzieńca.

Od tego dnia Tin Win przynosił Mi Mi do domu co wieczór. Z początku trzymał się na dystans, opuszczał Mi Mi na podłogę i wkrótce potem się żegnał. Po paru tygodniach jednak zaczął pomagać Mi Mi w kuchni i zostawać na kolację.

Yadana szybko zaczęła o nim mówić: najmłodszy syn. Im dłużej go znała, tym bardziej się jej podobał. Jego takt, troskliwość, czułość, jaką okazywał Mi Mi. Jego humor i skromność. Jego intuicja. Często zdawał się wiedzieć, jak się czuje Yadana i jej rodzina, zanim wymienili między sobą choćby słowo. Nie miała też wrażenia, by utrata wzroku szczególnie go martwiła, zwłaszcza gdy miał na plecach Mi Mi. Czasem widok ich dwojga, podchodzących z boczem, wzruszał ją tak, że nie mogła powstrzymać łez. Pomimo obciążenia Tin Win szedł wyprostowany, rażnym krokiem. Nie dźwigał Mi Mi, on ją niósł jak dar, z dumą, radośnie. Ona, siedząc mu na plecach, śpiewała albo szeptała

coś do ucha. Często rozpoznawała ich po śmiechu, zanim jeszcze zauważyła, że nadchodzą. Tak jakby zdrowe oczy i stopy nie odgrywały w życiu najmniejszej roli.

Mąż po paru miesiącach zaczął ich nazywać bratem i siostrą i teraz, po upływie czterech lat, nadal tak o nich mówił. Czasem Yadana zadawała sobie pytanie, czy to po prostu przypadkowy dobór słów, czy też mąż naprawdę nie dostrzega, co się dzieje tuż przed jego oczami. A im dłużej się nad tym zastanawiała, tym bardziej była przekonana, że on naprawdę tak myśli, że — podobnie jak większość mężczyzn — nie czuje pewnych spraw, brak mu zmysłu, który pomaga widzieć nie tylko to, co widoczne gołym okiem.

Mi Mi i Tin Win od dawna byli czymś więcej niż bratem i siostrą. Mi Mi stała się kobietą. Jej ciało miało kobiece kształty, a radość, jaką promieniowała, nie była już radością dziecka. To było szczęście i ekscytacja człowieka, który czuje się kochany i pożądanym. Tin Win nadal był bardzo spokojny, grzeczny i pełen szacunku, ale w jego głosie, gestach, ruchach było teraz coś więcej niż troska i czułość; dołączyły się do tego pragnienie i namiętność. Tych dwoje młodych łączyła intymność, o którą Yadana była niemal odrobinę zazdrosna. Ona nigdy nie zaznała nic takiego z mężem, i prawdę mówiąc, nie знаła innej pary, która byłaby sobie tak bliska.

Może już pora, teraz, gdy oboje mieli po osiemnaście lat, porozmawiać o małżeństwie? Ale Tin Win był w sposób oczywisty sierotą, nie było więc jasne, do kogo się zwrócić w jego sprawie, a ilekroć próbowała poruszyć ten temat z mężem, w kółko gadał o „bracie i siostrze”. Może powinna po prostu poczekać, aż Mi Mi i Tin Win sami ją o to zapytają... Parę miesięcy, a niechby i rok, nie robi różnicy. Była przekonana, że nie musi się martwić o córkę ani o Tin Wina. Odkryli tajemnicę życia, która jej umknęła, choć zawsze przeczuwała jej istnienie.

Rozdział 18

Zmrok już zapadał, gdy Tin Win wrócił do domu. Spędził popołudnie nad jeziorem z Mi Mi. Pływanie i długi marsz sprawiły, że czuł się przyjemnie zmęczony. Po upalnym dniu nastał łagodny wieczór, w suchym powietrzu trwało jeszcze miłe ciepło, żaby w pobliskim stawie rechotały tak głośno, że pochłoneńto wszystkie inne dźwięki. Na pewno Su Kyi czeka już na niego z kolacją... Otworzył furtkę i usłyszał dwa nieznane głosy. Jacyś mężczyźni rozmawiali z Su Kyi, siedząc przy ogniu przed domem. Usłyszał, że Su Kyi wstaje i podchodzi do niego. Wzięła go za rękę i poprowadziła do nieznajomych. Mężczyźni mówili krótko i zwięźle. Czekają na niego całe popołudnie. Su Kyi bardzo gościnnie ich przyjęła, podała herbatę i orzeszki. Teraz są zmęczeni po długiej podróży i chcą jak najszybciej znaleźć się w hotelu. Zwłaszcza że jutro czeka ich kolejna męcząca podróż. Przyjechali z Rangunu, jego wuj, czcigodny U Saw, polecił im przywieźć go do stolicy najszybciej jak się da. Wszystkich szczegółów dowie się osobiście od wuja. Pojadą nazajutrz wczesnym pociągiem do Thazi, gdzie po kilku godzinach przesiądą się do nocnego ekspresu z Mandalay, by następnego dnia rano znaleźć się w Rangunie. Bilety już kupione, miejsca zarezerwowane. Pierwszy pociąg wyjeżdża z Kalaw o siódmej, przyjdą po niego, niech będzie tak miły i czeka na nich o szóstej. Gotów do podróży.

Tin Win nie rozumiał z początku, co mówią. Jak zawsze gdy miał do czynienia z obcymi, słuchał przede wszystkim ich serc i głosów, nie słów. Serca niewiele mu powiedziały. Brzmiały dziwnie bez wyrazu. Cokolwiek robią w Kalaw, cokolwiek mu teraz opowiadają, niewielkie miało dla niego znaczenie.

Zaalarmowało go dopiero ciężkie westchnienie Su Kyi. I jej serce. Biło szybko, niewspółmiernie do sytuacji. Całkiem jakby była w głębokim szoku albo wspięła się przed chwilą na górę. Tin Win nauczył się z pomocą Mi Mi, że nie tylko wysiłek fizyczny wywołuje przyspieszone bicie serca. Ludzie mogą siedzieć w kucki, na zewnątrz

spokojni, a ich serca w tym czasie galopować jak zwierzęta, co usiłują ujść z życiem. Z własnego doświadczenia wiedział, że sny i wyobrażenia bywają bardziej przykre i groźne niż rzeczywistość, że głowa to często większy balast dla serca niż najcięższa harówka.

Co tak zmartwiło Su Kyi? Teraz, gdy mężczyźni poszli, a ona powtarzała, zdanie po zdaniu, co mówili, stopniowo docierały do niego słowa. Pociągiem. Do stolicy. Sam.

— Dlaczego? Czego mój wuj ode mnie chce? — spytał, gdy wreszcie zrozumiał, o czym mówi Su Kyi.

— Nie wiem. We wsi mówią, że jest bardzo bogaty i że ma dobrych, wpływowych przyjaciół pomiędzy Anglikami. Podobno nawet gubernatora. Na pewno potrafi ci pomóc.

— Nie potrzebuję żadnej pomocy! — Tin Win roześmiał się na myśl, że ktokolwiek mógłby ze współczucia oferować mu jakąś pomoc. — Niczego mi nie brak. Jest mi tak dobrze, jak tylko może być.

— Może się dowiedział o twoich kłopotach z oczami i chciałby, żeby zbadał cię jakiś brytyjski lekarz. Tak czy owak, musimy zdecydować, co jutro ze sobą weźmiesz — rzekła i zawróciła do domu.

— Su Kyi, co ty naprawdę myślisz? — Wiedział, że nie mówi prawdy. Rytm jej serca nie pasował do słów, które miały go uspokoić.

— Ach, po prostu... będzie mi ciebie brakowało. Ale co ja mówię, samolubna stara baba... Komu się zdarza taki przywilej, że może choć raz pojechać do stolicy? Ja przez całe życie marzę, żeby pojechać choć do Taunggyi. Taka podróż to coś nadzwyczajnego. Tyle zobaczysz, tyle się dowiesz! Powinnam się cieszyć z twojego powodu.

— Su Kyi! — powiedział z wyrzutem. Słyszał dokładnie, że ona ukrywa prawdziwe myśli.

— A poza tym najwyżej za parę tygodni będziesz z powrotem — ciągnęła, jakby w ogóle go nie słyszała.

Tin Win się przestraszył. Pomysł podróży był dla niego dotąd czymś abstrakcyjnym. Nigdy nie podróżował i nie potrafił sobie uzmysłwić, na czym to właściwie polega. Będzie musiał opuścić Kalaw. Przyjedzie w nowe miejsce, nieznanne i dlatego groźne, i nie będzie wiedział, czego się może spodziewać. Będzie musiał sobie radzić bez Su Kyi, bez klasztoru i mnichów, bez domu, bez znajomych

zapachów i dźwięków. Bez Mi Mi...

Było to tak niedorzeczne, że aż do tej chwili o tym nie pomyślał. Mi Mi stanowiła tak oczywistą część jego życia, jego samego, że nigdy nie przyszło mu do głowy, iż mógłby się z nią rozstać, choćby na jeden dzień. A teraz miał ją za parę godzin opuścić, nie wiedząc nawet, kiedy wróci... Za parę tygodni? Parę miesięcy? Czy w ogóle? Poczuł, że w piersi budzą mu się demony i upiory.

— Muszę się zobaczyć z Mi Mi — powiedział i odwrócił się na pięcie.

Szedł wyboistą ścieżką wzdłuż górskiego grzbietu. Znał tu każdy kamień i każde zagłębienie. Zaczął iść szybciej, potem biec. Najpierw ostrożnie, potem coraz dłuższymi susami, aż w końcu pędził, najszybciej jak mógł. Jakaś moc gnała go naprzód, moc, co nie znała lęku przed upadkiem, co kazała zapomnieć o ostrożności. Śmignął obok sadzawki, skręcił w bambusowy gaj, pomknął w dół łąką i znowu pod górę, na przeciwległe zbocze. Biegł, nie potykając się, prawie nie czując ziemi pod stopami. Czy to pamięć, instynkt, czy tęsknota prowadziły go tak pewnie do Mi Mi?

Na ostatnich metrach znowu zwolnił i odpoczął chwilę pod żywopłotem z hibiskusa, który oddzielał dom od drogi. Wszedł na podwórko. Pies podbiegł do niego i skoczył mu na piersi. Tin Win poklepał go uspokajająco. Spod ganka dochodziło chrapanie świni. W domu było cicho. Powoli wszedł po schodach. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Skrzypnęły, kiedy je otworzył. Z bicia serca wiedział, gdzie śpi Mi Mi, i ostrożnie wymacał drogę przez pokój do jej maty. O mało nie wpadł na blaszany garnek, co stał pośrodku izby. Przykląkł obok Mi Mi i dotknął jej twarzy.

Z miejsca się obudziła i poznała go.

— Co ty tu robisz?

— Muszę ci coś powiedzieć. Chodź ze mną — szepnął. Włożył jej rękę pod kark, drugą pod kolana i uniósł. Ich twarze niemal się stykały. Nigdy dotąd nie niósł jej na rękach. Ruszyli ku schodom, zeszli, przeszli przez podwórko.

Gładziła go po twarzy i szyi.

— Spoczęłaś się.
— Całą drogę biegłem. Musiałem się z tobą zobaczyć.
— Gdzie idziemy? — spytała.
— Nie wiem. Gdzieś, gdzie nikogo nie zbudzimy i będziemy mogli być sami.

Mi Mi zastanowiła się przez moment. Jeszcze parę domów i zaczynały się pola; na jednym z nich była kryjówka przed deszczem. Poprowadziła go i po paru minutach byli na miejscu. Wczołgali się do środka. Ściany były uplecione z trawy, a przez dziury w dachu Mi Mi widziała niebo. Noc była pogodna, rozgwieżdżona, nietypowo ciepła. Mi Mi poczuła, że serce bije jej szybko, wyczekująco. Wzięła jego rękę i położyła sobie na nagim brzuchu.

— Mi Mi, jutro rano wyjeżdżam do Rangun. Mój wuj, który tam mieszka, przysłał dwóch mężczyzn, żeby mnie przywieźli.

Nigdy nie zapomni tego zdania Mi Mi. Nawet po dziesięcioleciach będzie wciąż dźwięczało jej w uszach. Będzie słyszała jego głos i widziała jego twarz. Jeszcze parę godzin temu, nad jeziorem, marzyła o ich przyszłości, o weselu, wyobrażała sobie ich dwoje, jak mieszkają we dwoje w jednym domu, jak dokazują na podwórku ich dzieci, dzieci mające stopy do biegania i oczy do patrzenia. Opowiadała mu o tym, leżąc w jego ramionach. Postanowili, że w najbliższych tygodniach porozmawiają z rodzicami Mi Mi o małżeństwie. A teraz on jedzie do stolicy... Mi Mi wiedziała, co to znaczy. Rangun to był drugi koniec świata. Niewielu ludzi tam kiedykolwiek pojechało, a jeszcze mniej wróciło. Chciała spytać, czego wuj od niego chce, jak długo tam zostanie i dlaczego muszą się rozstać, ale zarazem poczuła, że słowa jej nie pomogą, nie teraz, i całe jej ciało zatęskniło za Tin Winem. Wzięła go za rękę i pociągnęła ku sobie, w dół. Ich usta się spotkały. Ściągnęła koszulę przez głowę i zaczął całować jej piersi. Jego ciepły oddech na jej ciele. Jego usta schodzące w dół, coraz niżej. Rozwiązał jej *longyi*, oboje byli teraz nadzy. Całował jej nogi, uda, pieścił językiem. Czowała go tak jak nigdy dotąd. I czowała siebie. O wiele głębiej, o wiele piękniej niż kiedykolwiek. Tak jakby spełniły się nagle wszystkie obietnice świata. Z każdym ruchem dawał jej nowe ciało, żadna siła tego świata nie zdołałaby ich powstrzymać, i zobaczyła siebie, jak lata nad Kalaw, nad

górami, lasami i dolinami, od jednego szczytu do drugiego. Ziemia skurczyła się do rozmiarów małej piłki, na której Rangun i Kalaw dzieliła odległość nie większa niż grubość palca, na której nie było żadnych demonów ani upiorów. Straciła kontrolę nad swym ciałem. Było tak, jakby eksplodowały nagle wszystkie jej uczucia, złość, lęk i wątpliwość, tęsknota, czułość i pożądanie, i przez jedno mgnienie, przez jedno czy dwa uderzenia serca wszystko w jej życiu miało sens.

Rozdział 19

Niewiele było do pakowania. Tin Win miał raptem parę sztuk bielizny, trzy *longyi*, cztery koszule i pulower. W delcie sweter nie będzie mu potrzebny, zdecydowała Su Kyi. W stolicy jest gorąco i wilgotno przez okrągły rok. Spakowała rzeczy do starej płóciennej torby, którą znalazła kiedyś pod jednym z brytyjskich klubów. Na drogę przyrządziła mu ryż i jego ulubione curry z suszonej ryby. Włożyła jedzenie do puszki z zamykanym wieczkiem i wepchnęła je pomiędzy *longyi*. Na samym wierzchu położyła tygrysią kość, którą Tin Win dostał od ojca. I skorupkę ślimaka, i ptasie piórko, które dała mu przed paroma miesiącami Mi Mi. Wyjrzała przez okno. Powinno być około wpół do szóstej. Wciąż było ciemno, ale śpiewały już ptaki: powoli zbliżał się świt. Tin Win wrócił parę minut temu. Teraz siedział przed domem.

Su Kyi całutką noc nie spała. Po raz pierwszy od dawna znowu martwiła się o Tin Wina. Odkąd zaprzyjaźnił się z Mi Mi, zmienił się tak bardzo, że nigdy by nie przypuszczała, iż jest to możliwe. Odkrył życie, i kiedy jedli razem poranny posiłek, często miała uczucie, że siedzi obok dziecka, taka była od niego radość i energia. Jak gdyby nadrabiał stracone lata. Nie mogła sobie wyobrazić, że znajdzie sobie drogę w nieznanym otoczeniu bez Mi Mi. Nigdy nie widziała takiej symbiozy pomiędzy dwojgiem ludzi, i bywało, iż na ich widok przychodziło jej na myśl, że człowiek koniec końców wcale nie jest samotny, że najmniejsza jednostka ludzka to wcale nie jedna osoba, lecz dwie. Dlaczego trzeba było teraz rozerwać tę jedność? Może wuj, taką miała nadzieję, naprawdę chce dla swego bratanka jak najlepiej? Może doktorzy w stolicy potrafią go wyleczyć? Może za kilka miesięcy będzie z powrotem?

Wyszła przed dom i spojrzała mu w twarz. Widywała już ludzi umierających, widywała pogrążonych w żałobie, ale nie widziała dotąd twarzy, w której byłoby tyle bólu i zwątpienia. Objęła go ramieniem. Zapłakał. Płakał do chwili, gdy dwaj mężczyźni otworzyli furtkę. Otarła

mu łyzy i spytała, czy mogłaby odprowadzić ich na pociąg. Oczywiście, powiedział jeden z mężczyzn. Drugi wziął torbę.

Przez całą drogę nie wymówili ani słowa. Su Kyi trzymała Tin Wina za rękę. Drżał. Krok miał niezręczny, pełen wahania. Lękliwie wymacał drogę stopą, raczej się potykał, niż szedł. Tak jakby dopiero przed chwilą oślepl. Nogi Su Kyi z każdym krokiem były coraz cięższe, wpadła w rodzaj transu, zauważała tylko część z tego, co się wokół działo. Dobięła ją świst czekającej już na stacji lokomotywy. Zobaczyła białe kłęby pary, unoszące się z czarnego krateru. Roilo się tu od ludzi, uszy wypełniły jej ich wrzaski. Jakieś dziecko płakało. Jakaś kobieta upadła. Po torze potoczyły się pomidory. Dłoń Tin Wina wysliznęła się z jej dłoni. Mężczyźni poprowadzili go dalej. Zniknął w drzwiach.

Ostatni obraz był rozmyty przez łyzy. Tin Win siedział przy otwartym oknie, wspierając na rękach opuszczoną nisko głowę. Zawołała go po imieniu, ale nie zareagował. Lokomotywa wydała przenikliwy gwizd i ruszyła. Su Kyi szła wraz z wagonem. Pociąg przyspieszył, sapanie przybrało na sile. Zaczęła biec. Potknęła się. Wpadła na jakiegoś człowieka, przeskoczyła koszyk z owocami. Peron się skończył. Dwa czerwone tylne światła świeciły jak oczy tygrysa w nocnym mroku. Powoli zniknęły za łagodnym zakrętem. Kiedy Su Kyi się odwróciła, peron był pusty.

Rozdział 20

U Ba mówił od wielu godzin bez przerwy. Usta miał wpólotwarte, oczy patrzyły na wskroś mnie. Nie poruszał się, tylko pierś równomiernie wznosiła się i opadała. Słyszałam własny oddech i brzęczenie pszczoł. Ścisnęłam poręczę fotela. Tylko w samolocie zdarzało mi się siedzieć w takim napięciu, i to tylko wtedy, gdy wpadał w turbulencje albo podchodził do lądowania. Powoli rozluźniłam się i zapadłam w miękkie poduszki.

W miarę jak przedłużało się milczenie, dom powoli wypełniały niepokojące dźwięki. Skrzypiało drewno, coś chrobotowało mi pod stopami, coś gruchało pod okapem dachu. Wiatr uniósł z szelestem drobiny żwiru. W kuchni kapało z kranu. Czy mi się zdawało, czy naprawdę słyszałam bicie serca U Ba?

Spróbowałam wyobrazić sobie ojca. Samotność, w jakiej żył, jego ubóstwo, ciemność, która go otaczała, dopóki nie spotkał Mi Mi. Jak on się musiał czuć wobec perspektywy utracenia wszystkiego, co zdobył z jej pomocą! Poczulałam łzy w oczach. Staralam się je powstrzymać, ale to tylko pogorszyło sprawę. Płakałam, tak jakbym to ja sama wsadziła go do pociągu do Rangun... U Ba wstał i podszedł do mnie. Położył mi rękę na głowie. Nie mogłam się uspokoić. Być może pierwszy raz płakałam tak naprawdę nad ojcem. Zdarzały się po jego zniknięciu dni, kiedy strasznie mi go brakowało. Bywałam przygnębiona, przybita. Może nawet płakałam... Nie pamiętam dokładnie. Ale kogo oplakiwałam? Jego? Siebie samą, bo straciłam ojca? A może były to łzy gniewu i zawodu, bo nas porzucił?

Jasne, nigdy nam nie powiedział o tych pierwszych dwudziestu latach, więc nie dał nam możliwości, byśmy płakali wraz z nim — albo nad nim. Ale czy chciałabym o tym wiedzieć? Czy moja sytuacja stwarzała możliwość, abym wczuła się w jego położenie? Czy dzieci chcą znać ojca i matkę jako niezależne istoty? Czy jesteśmy w stanie zobaczyć ich takich, jacy byli, zanim przyszedł na świat?

Wyjęłam chusteczkę z plecaka i otarłam twarz.

— Jest pani głodna? — spytał U Ba.

Pokręciłam głową.

— A spragniona?

— Tak, trochę.

Poszedł do kuchni i wrócił z kubkiem herbaty. Pachniała imbirem i limonką i dobrze mi zrobiła.

— Zmęczona jest pani? Odprowadzić panią do hotelu?

Tak, byłam wyczerpana, ale nie miałam ochoty być sama. Sama myśl o moim pokoju budziła niepokój. W wyobraźni wydawał mi się nawet większy niż pusta sala jadalna, a łóżko szersze niż hotelowy trawnik. Widziałam siebie, jak leżę w nim, mała i zagubiona.

— Chciałabym troszkę odpocząć. Czy nie miałby pan nic przeciw temu, gdybym... dosłownie na parę minut...

— Ależ naturalnie, Julio — przerwał mi U Ba. — Proszę się położyć na kanapie. Przyniosę koc.

Z trudem podniosłam się z fotela, taka byłam słaba. Kanapa okazała się wygodniejsza, niż na to wyglądała. Skuliłam się na niej i tylko jak przez mgłę docierało do mnie, że U Ba przykrywa mnie kocem. Niemal natychmiast zapadłam w półsen. Słyszałam pszczoły. Ich równomierne brzęczenie kołysało i kołysało. U Ba przeszedł przez pokój. Szczekały psy. Piały koguty. Chrząkały świnie. Z kącika ust pociekła mi ślina.

Kiedy się obudziłam, było ciemno i cicho. Parę chwil trwało, zanim zdałam sobie sprawę, gdzie jestem. Było chłodno. U Ba narzucił na mnie drugi, cięższy koc i włożył mi poduszkę pod głowę. Na stoliku obok stała szklanka herbaty, talerzyk z ciastkami i wazon z kwitnącym jaśminem. Pachniał jak kawa i cynamonowe bułeczki. Usłyszałam, jak zatraskują się z lekkim stukiem grube drewniane drzwi, obróciłam się na bok, podkuliłam nogi, podciągnęłam koc pod brodę i znowu zasnęłam.

Rozdział 21

Kiedy otworzyłam oczy, było jasno. Przede mną parowała szklanka gorącej wody, obok leżała saszetka neski, kostka cukru, mleko skondensowane i świeże ciasteczka. Przez jedno z dwóch okien wpadało słońce, a z kanapy mogłam dostrzec kawałek nieba. Jego błękit był ciemniejszy i bardziej intensywny, niż kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć w Nowym Jorku. Pachniało porankiem i nagle przypomniały mi się letnie weekendy w Hamptons, kiedy jako dziewczynka budziłam się wczesnym rankiem i leżąc w łóżku, słuchałam ryku oceanu, wpadającego przez otwarte okno, i smakowałam chłodne powietrze, w którym pomimo rzeźkości była już zapowiedź późniejszego upału.

Wstałam i przeciągnęłam się. O dziwo, nie bolały mnie plecy, jak zwykle po nocy, którą spędziłam nie w swoim łóżku. Musiało mi się dobrze spać na tej starej kanapie z wytartą tapicerką... Podeszłam do okna. Dom otaczał gęsty żywopłot z bugenwilli. Podwórko było czysto zamiecione. Drewno na opał ułożono pomiędzy dwoma drzewami w porządnym stos, obok leżała sterta cieńszych patyków na rozpałkę. Po podwórku chodził nieokreślonej rasy pies, pod oknem tarzała się świnka. Gdzie jest U Ba?

Poszłam do kuchni. W jednym z kątów trzaskał niewielki ogień, nad nim wisiał czajnik. Dym szedł w górę i uchodził przez dziurę w dachu. Pomimo to piekły mnie oczy. Pod ścianą stała otwarta szafka, a w niej dwie białe, emaliowane blaszane miski, kilka talerzy, szklanek i zasmolone garnki. Na najniższej półce leżały jajka, pomidory, duża wiązka młodej cebuli, korzeń imbiru i limonki.

— Julia? — Głos dochodził z sąsiedniej izby.

U Ba siedział przy stole, otoczony książkami. Cały pokój był nimi wypełniony. Wyglądało to jak zaczątek biblioteki. Pełne książek półki sięgały od podłogi do sufitu, książki leżały całymi stosami na podłodze i fotelu, tworzyły istne wieże na drugim stole. Niektóre były cienkie, najwyżej na palec, inne przypominały grubością słowniki. Niektóre

miały cienkie okładki, większość jednak była twardo oprawiona, niektóre nawet w skórę. U Ba siedział zgarbiony nad otwartą książką, której pożółkłe stronice przypominały kartę perforowaną. Obok leżały rozmaite pęsety, nożyczki i słoik z kleistą białą substancją. Dwie naftowe lampy na stole dawały dodatkowe światło. U Ba spojrzał na mnie znad grubej oprawy okularów.

— Co pan robi, U Ba?

— Po prostu spędzam czas.

— Na czym?

— Na reperowaniu książek. Może to pani nazwać hobby. — Wziął długą pęsetą skrawek papieru, zanurzył na moment w kleju i umieścił na stronicy w jednym z maleńkich otworków. Cieniutkim czarnym pisakiem uzupełnił brakującą górną połowę litery „o”. Spróbowałam przeczytać fragment, z którego pochodziła litera:

„We shall not cease from exploration
and the end of all our exploring
will be to arrive where we started
and know the place for the first time”.

U Ba podniósł na mnie wzrok.

— „We shall not cease from exploration
and the end of all our exploring
will be to arrive where we started and know the place for the first time” — wyrecytował z pamięci. — Ze zbioru poezji Eliota. T.S. Eliota. Bardzo go poważam. — Uśmiechnął się zadowolony i pokazał mi pierwsze stronice książki. Były usiane drobinami przyklejonego papieru. — Nie twierdzę, że wygląda jak nowa, ale przynajmniej można ją znowu czytać.

Przeniosłam wzrok z niego na książkę i z powrotem. Mówi serio? Ten tom musi mieć co najmniej dwieście podziurawionych stron!

— Ile czasu zabiera panu książka taka jak ta?

— Teraz parę miesięcy. Dawniej szło mi szybciej. Oczy nie chcą współpracować jak należy, a krzyż protestuje już po kilku godzinach

garbienia się. Kiedy indziej za bardzo drżą mi ręce... Starość, Julio. — Przerzucił pozostałe strony i westchnął. — Ta konkretna książka jest w szczególnie oplakany stanie... Wygląda na to, że i robaki lubią Eliota.

— Ale z pewnością jest jakaś bardziej skuteczna metoda renowacji książek! W ten sposób pan się z tym nie upora.

— Żadnej, która byłaby w zasięgu moich możliwości, obawiam się.

— Mogę panu przysłać z Nowego Jorku nowe wydania tych, które cenili pan najbardziej — zaproponowałam.

— Proszę nie robić sobie kłopotu. Najważniejsze przeczytałem, kiedy były jeszcze w lepszym stanie.

— W takim razie po co je pan naprawia?

Uśmiechnął się.

— Dla rozrywki. To odwraca uwagę.

— Od czego?

Zastanowił się.

— Dobre pytanie. Pozna pani odpowiedź, kiedy opowiem pani naszą historię do końca.

Przez chwilę oboje milczeliśmy. Rozejrzałam się po pokoju jeszcze raz. Stoję oto w drewnianym domu bez prądu i bieżącej wody, otoczona tysiącami książek...

— Skąd je pan wszystkie ma? — spytałam.

— Od Anglików. Od dziecka byłem rozkochany w książkach. Wielu Brytyjczyków nie wróciło z wojny, a po odzyskaniu niepodległości co roku wyjeżdżało ich coraz więcej. Książki, których nie zamierzali ze sobą zabrać, przynosili mnie. — Wstał, podszedł do półki, wyjął oprawny w skórę tom i przerzucił go. Kartki były podziurawione. — Widzi pani, wiele z nich spotkał ten sam smutny los co Eliota. Klimat. Robaki, owady. — U Ba podszedł do małej szafki, stojącej za jego biurkiem. — Tu są te, które skończyłem. — Wskazał parę tuzinów książek, wyjął jedną i podał mi.

Otworzyłam ją. Nawet strona tytułowa była upstrzona skrawkami papieru. THE SOUL OF A PEOPLE, brzmiał tytuł napisany wielką czcionką. Londyn 1902.

— Gdyby miała pani ochotę dowiedzieć się więcej o naszym kraju,

dobrze będzie zacząć od tego.

— Ona jest trochę przestarzała — zauważyłam z lekką irytacją.

— Dusza narodu nie zmienia się z dnia na dzień — odparował.

Pociągnął się za płatki uszu i rozejrzał, tak jakby czegoś szukał. Wziął kolejno do ręki parę książek z dolnej półki. Stały tam w dwóch rzędach. Ze stojącego na stole czerwonego lakowego pudełka wyjął klucz i otworzył szufladę.

— Tak jak myślałem, zamknąłem ją na klucz — powiedział i wyjął z szuflady książkę. — Jest w braille’u. Su Kyi dała mi ją tuż przed śmiercią. To pierwszy tom jednej z ulubionych książek Tin Wina. Zapomniał ją zabrać ze sobą, kiedy wyjeżdżał do Rangun.

Książka była ciężka i nieporęczna. Parę kawałków taśmy ledwie spajało grzbiet.

— Trzeba do tego usiąść. Chodźmy. Napije się pani kawy i w spokoju rzuci okiem.

Przeszliśmy do drugiego pokoju. U Ba nalał z termosu gorącej wody do szklanki i zrobił mi neskę. Położyłam tom na kolanach i otworzyłam. Kartki były podziurawione, tak jak i w innych książkach. Przesunęłam wskazującym palcem po stronicy, niedbale, tak jakbym sprawdzała jakość sprzątania mojej gosposi i przejechała palcem po zakurzonej półce. Nieswojo się czułam z tą książką. Zamknęłam ją i położyłam na stole. Tak jakby były w niej jakieś szkodliwe wirusy, którymi mogłabym się zarazić. Bałam się jej.

Z dala dobiegł mnie śpiew. Parę głosów, słabiutkich, ledwie dosłyszalnych, tak cichych, że zdawało się, zgasną, zanim dosięgną mojego ucha. Fala niktąca w piasku, zanim zdoła dosięgnąć stóp.

Wśluchałam się w ciszę, ale nie słyszałam nic, znowu uchwyciłam nutę, straciłam ją, wstrzymałam oddech i siedziałam bez ruchu, dopóki śpiew nie dotarł znowu, nieco głośniejszy tym razem. Dostatecznie głośny, by nie zgubić ponownie jego śladu. Musiał to być dziecięcy chór, niezmordowanie powtarzający melodyjną mantrę.

— Czy to dzieci z klasztoru? — spytałam.

— Tak, ale nie tego w mieście. Jest drugi w górach, i kiedy wiatr wieje w tę stronę, rankiem dociera tu do nas ich śpiew. Słyszysz pani to, co słyszeli Tin Win i Mi Mi. Pięćdziesiąt lat temu brzmiał tak samo.

Zamknęłam oczy. Dreszcz mnie przeszedł. Dziecięce głosy przenikały, zdawało się, przez uszy w głąb ciała i docierały tam, gdzie nie dotarło wcześniej żadne słowo, żadna myśl, żaden człowiek.

Skąd ta magia? Nie rozumiałam z tej pieśni ani słowa. Czym było to, co tak na mnie działało? Jak można wzruszyć się do łez czymś, czego nie da się zobaczyć, dotknąć, zrozumieć, co znika niemal w tej samej chwili, gdy się pojawiło?

Muzyka, powtarzał często ojciec, to jedyny powód, dla którego mogę czasem uwierzyć w Boga, a przynajmniej w jakąś niebiańską moc.

Co wieczór, zanim się położył, siadał w sypialni z zamkniętymi oczami i słuchał przez słuchawki muzyki. Jakże inaczej moja dusza ma znaleźć nocny spoczynek, wyjaśniał, kiedy pytałam.

Nie pamiętam ani jednego koncertu czy opery, na których by nie płakał. Łzy spływały mu po twarzy jak woda, co cicho, lecz niepowstrzymanie przelewa się przez brzegi jeziora. Zarazem cały czas się uśmiechał. Czy widziałam go kiedykolwiek szczęśliwszym?

Spytałam go raz, co wzięłby ze sobą na bezludną wyspę, gdyby miał wybierać pomiędzy muzyką a książkami.

Oczywiście że muzykę, odpowiedział. Nigdy nie rozumiałam dlaczego. Teraz zaczynałam mieć mgliste pojęcie.

O, gdyby ten śpiew nigdy się nie kończył... Powinien towarzyszyć mi przez cały dzień. Przez całe życie.

Czy kiedykolwiek czułam się tak blisko ojca? U Ba miał rację. Być może jest on tuż-tuż i muszę go tylko zobaczyć.

Część III

Rozdział 1

Byłam na ich tropie. Zaledwie parę metrów przed sobą słyszałam oddech ojca. Dyszał. Wnosił na górę Mi Mi. Była cięższa, a on starszy. Dźwiganie jej go męczyło. Słyszałam ich szepty. Głosy. Jeszcze parę kroków, a ich dogonię.

Chciałam zobaczyć dom, w którym ojciec spędził dzieciństwo i młodość. Może ukrywają się tam z Mi Mi?

Jeszcze tylko parę kroków.

U Ba zawahał się, kiedy poprosiłam, żeby mnie tam zabrał. Czy mój ojciec mu tego zabronił?

— Domy są w opłakanym stanie. Będzie pani potrzebowała wiele wyobraźni, żeby znaleźć tam ślady jego dzieciństwa — ostrzegł.

— Nieważne.

— Su Kyi od dawna nie żyje.

— Tak też myślałam. Mimo wszystko.

— Muszę coś jeszcze załatwić. Pójdzie pani naprzód?

— Skoro tak musi być.

Szłam górskim grzbietem. U Ba opisał drózkę bardzo dokładnie, gliniastą, nierówną, pełną wybojów. Wydawała mi się dziwnie znajoma. Zamknęłam oczy i spróbowałam sobie wyobrazić wspinającego się nią ojca. Zaskoczyło mnie, że nagle dotarło do mnie tyle rozmaitych odgłosów. Ptaki. Koniki polne. Cykady. Nieprzyjemnie głośnie brzęczenie much, szczekanie psa w oddali. Moje stopy wpadały w dołki i natrafiały na wzniesienia. Potknęłam się, ale nie upadłam. Pachniało eukaliptusem i jaśminem. Powoli wyprzedził mnie wózek zaprzężony w woły; zwierzęta wyglądały na wynędzniałe. Skóra opinała im żebra, oczy były wysadzone, tak jakby miały za chwilę wyskoczyć z czaszki z wysiłku.

Za wierzchołkiem ukazał mi się dom. Czy naprawdę chcę tam iść? Zwolniłam kroku. Przed furtką stanęłam onieśmielona. Moja gotowość znikła. Bałam się wejść.

Furtka wisiała krzywo na jednym tyłku, górnym zawiasie. Ze szczelin murowanych słupków wyrastała trawa. Drewniany płot gęsto zarastały krzaki, brakowało co drugiej czy trzeciej sztachety. Trawa na podwórku zbrązowiała od słońca. Główny budynek, żółta piętrowa willa w stylu Tudorów miała na piętrze rozległy balkon, z którego zapewne widać było wieś i góry. Wsporniki, podstrzesza i okienne ramy zdobił drewniany ornament. Był też ogród zimowy i kilka wykuszy. Z komina wyrastało drzewo. Tu i tam brakowało dachówek i przez dziury przezierało belkowanie więźby. Balustrada balkonu straciła niemal połowę tralek, a fasada zblakła od deszczu. Wiele okien miało wybite szyby.

Opuszczone budynki zawsze wprawiały mnie w przygnębienie, nawet w Nowym Jorku. Jako dziecko zawsze przechodziłam na drugą stronę ulicy, ilekroć na taki dom natrafiłam. Mówiłam, że w nich straszy. Byłam przekonana, że za deskami, którymi zabito okna, czają się duchy, które tylko czekają, aby mnie dopaść. Odważałam się przejść obok takiego domu tylko wtedy, gdy był ze mną ojciec, a i to wyłącznie trzymając go za rękę od strony ulicy.

Równie nieswojo poczułam się na widok tej willi. Dlaczego nikt o nią nie dba? Wciąż było po niej widać dawną świetność, utrzymanie jej nadal w tym stanie nie wymagało wiele wysiłku. Nie wymagało — kiedyś.

Co się stanie, jeśli?... Co czyha w środku? Widma? Dwa życia, których nie przeżyto?

Trochę poniżej stała chata, w której musiał mieszkać mój ojciec z Su Kyi. Była mniejsza niż nasz salon w Nowym Jorku. Nie dostrzegłam ani jednego okna i tylko jedną pustą ramę po drzwiach. Pogięty blaszany dach niemal całkiem zjadła rdza, a ze ścian odpadała glina. Zauważyłam palenisko, stos gałązek na podpałkę i drewnianą ławkę. Siedziały na niej dwie młode kobiety z dziećmi na kolanach. Spojrzały na mnie i uśmiechnęły się tym uśmiechem typu „jak miło cię widzieć”, który za każdym razem na nowo mnie irytował. Za chatą suszyły się na słońcu cztery *longyi*. Dwa młode psy włóczyły się po podwórku, trzeci wygiął grzbiet i zrobił kupę. Potem rzucił mi żalosne spojrzenie.

Odetchnęłam głęboko, raz, drugi i przestąpiłam furtkę. Na

zarośniętym trawą podwórku zobaczyłam pniak po ściętym drzewie. Musiała to być bardzo stara, potężna sosna. Po korze łążyły mrówki, drewno było miękkie i nadkruszone w paru miejscach, ale rdzeń nadal był mocny, choć minęło tyle lat. Weszłam nań bez trudu. Był wilgotny, twardy. Widok na dolinę zasłaniało parę wielkich krzaków. Teraz już wiedziałam, dlaczego za wszelką cenę chciałam zobaczyć to miejsce, a zarazem tak się go bałam. To był klucz do opowieści U Ba. Odkąd usłyszałam dziś rano dobiegający z klasztoru śpiew dzieci, ta historia przestała być bajką. Dźwięczała mi w uszach, mogłam ją czuć powonieniem, dotykać rękami. Siedziałam na pniu, gdzie mój ojciec czekał na próżno na swoją matkę, moją babcię. Gdzie o mało nie zagłodził się na śmierć. Na tym podwórku stracił wzrok i żył w tej dziwnej miejscowości, która niewiele się zmieniła od pięćdziesięciu lat. On i Mi Mi. U Ba mnie do nich zaprowadził. Słyszałam ich szepty. Głosy. Jeszcze tylko parę kroków.

A co, jeśli oni za chwilę przede mną staną? Panika ogarnęła mnie na tę myśl. Może Mi Mi i mój ojciec zaszyli się w tej opuszczonej willi? Czy już mnie zobaczyli przez okno? Czy schowają się przede mną, uciekną, czy wyjdą mi naprzeciw? Co mam powiedzieć? Cześć, tato? Czemu nas porzuciłeś? Czemu mi nigdy nie powiedziałeś o Mi Mi? Tęskniłam za tobą?

Jak zareaguje? Może będzie zły, że go szukałam i znalazłam, gdy najwyraźniej zamierzał zniknąć bez śladu? Czy nie powinnam była uszanować jego pragnienia i pozostać w Nowym Jorku? A może mimo wszystko obejmie mnie i przytuli? Może zobaczę w jego oczach ten blask, którego mi tak brakowało? Jakie to bolesne, nie być pewną jego reakcji... Dlaczego wątpię, że ucieszy się na mój widok?

— Proszę się nie martwić, Mi Mi i pani ojciec tu nie mieszkają. —
To był U Ba. Nie zauważyłam, że nadchodzi.

— U Ba... Przestraszył mnie pan.

— Proszę mi wybaczyć. Nie chciałem tego.

— Skąd pan wiedział, o czym myślałam?

— A o czym innym mogłaby pani myśleć?

— A gdyby Mi Mi i mój ojciec tu byli, czy miałabym jakiś powód do zmartwienia?

Uśmiechnął się i przechylił głowę na bok. W spojrzeniu, którym mnie obdarzył, była czułość, która budziła zaufanie. Chciałam wyciągnąć do niego rękę. Powinien przeprowadzić mnie obok tego nawiedzonego przez duchy budynku i zaprowadzić do domu. Tam, gdzie jest bezpiecznie.

— Czego się pani boi?

— Nie wiem.

— Nie miałyby pani powodu do zmartwienia. Jest pani jego córką. Dlaczego wątpi pani w jego miłość?

— Porzucił nas.

— Czy jedno wyklucza drugie?

— Tak! — powiedziałam. Głos oskarżyciela.

— Dlaczego? Miłość ma tyle różnych postaci, Julio, tyle rozmaitych twarzy, że nie jesteśmy w stanie ogarnąć ich wyobraźnią. Najważniejsze, aby ją rozpoznać, kiedy mamy ją przed oczyma.

— Czemu to musi być takie trudne?

— Bo widzimy tylko to, co już znamy. Nasze doświadczenia projektujemy na innych, zarówno te dobre, jak i te złe. Dlatego uznajemy za miłość przede wszystkim to, co odpowiada naszej wizji miłości. Chcemy, by nas kochano tak, jak sami kochamy. W każdej innej formie czujemy się niezręcznie. Reagujemy wątpliwościami, podejrzliwością, źle odczytujemy jej oznaki, nie rozumiemy jej języka. Oskarżamy. Twierdzimy, że dana osoba nas nie kocha. Ale być może kocha, tylko na swój własny sposób, którego nie potrafimy rozpoznać. Mam nadzieję, że zrozumie pani, co mam na myśli, kiedy skończę naszą opowieść.

— Nie rozumiałam, co ma na myśli. Ale mu ufałam.

— Kupiłem na targu trochę owoców. Jeśli to pani odpowiada, możemy usiąść pod drzewem awokado i będę kontynuował opowieść. — Podszedł swym zwawym, lekkim krokiem do dwóch młodych kobiet, które najwyraźniej dobrze go znały. Roześmiały się, spojrzały na mnie, skinęły głowami i wstały. U Ba wzięła ławkę pod pachę i zaniósł ją pod drzewo, gdzie stałam w cieniu, czekając.

— O ile się nie mylę, sporządził ją pani dziadek. Teka. Przetrwa co najmniej sto lat. Tylko raz musieliśmy ją naprawiać. — Wyjął z torby termos i dwie nieduże szklanki i nalał herbaty.

Zamknęłam oczy. Mój ojciec był w drodze do Rangun. Czułam, że będzie to okropna podróż.

Rozdział 2

Udawać martwego. Nie ruszać się. Mieć nadzieję, że ten czas przeminie.

Nie wydawać dźwięku. Odmawiać jedzenia i picia. Oddychać płytko. Liczyć, że to nieprawda.

Tak przetrwał Tin Win podróż do Rangun. Siedział skulony, bez kontaktu, tak jakby stracił przytomność. Ignorował pytania obu mężczyzn, którzy w końcu zrezygnowali i dali mu spokój. Rozmowy, bicie serc współpodróżnych przepływały obok niego bez śladu, tak jak nocny krajobraz przepływał przed oczyma innych pasażerów.

Cisza panująca w domu wuja ułatwiała nieco sytuację. Nie musiał zmieniać pociągów ani ignorować pytań. Był sam. Leżał bez ruchu na łóżku, z szeroko rozrzuconymi rękami i nogami.

Udawać martwego. Nie zawsze mu się to udawało.

Chwilami płakał. Dostawał drgawek, które trwały parę minut, po czym powoli słabły. Jak wsiąkająca w piasek woda.

— Proszę — mówił półgłosem, tak jakby w pokoju był ktoś, kto go słyszy — spraw, żeby to nie była prawda. Proszę, spraw, żebym się obudził. — Wyobrażał sobie, że leży na słomianej macie obok śpiącej Su Kyi. Su Kyi wstaje, on zostaje w pościeli. Słyszy, jak krząta się po kuchni. Czuje słodko-gorzki zapach świeżej papai. Słyszy, jak siedząca naprzeciwko Mi Mi wysysa pestkę mango. Rangun to tylko sen. Nieporozumienie. Daleko, daleko, jak burzowa chmura na horyzoncie, odpływająca powoli w inną stronę.

Co za bezmierną ulgę przynosił ten obraz... Ale zaraz zniknął, rozplywał się jak dym na wietrze.

Zapukano do drzwi. Kiedy nie odpowiedział, zapukano ponownie. Drzwi się otworzyły i ktoś wszedł. Chłopak, pomyślał Tin Win. Poznał po kroku. Mężczyźni chodzą inaczej niż kobiety. Są bardziej niezdarni, chodzą głośniejszymi, stawiają stopy płasko; kobiety zwykle stąpają płynnie i ciszej. Pieszczą podłogę podeszwami stóp. Chłopak był prawdopodobnie

nieco młodszy od niego, a w każdym razie niższy i lżejszy. Szedł lekko i żwawo. Na stole przy łóżku postawił tacę; zapachniało ryżem z jarzynami. Nalał z dzbanka wody do szklanki. Tin Win powinien dużo pić, powiedział. Przyjechał przecież z gór i nie jest przyzwyczajony do upałów stolicy. Po paru tygodniach się zaaklimatyzuje i poczuje się lepiej. Powinien jak najwięcej wypoczywać i wołać, jeśli będzie czegoś potrzebował. Wuj jest poza domem, ale wróci na kolację.

Tin Win, znowu sam, usiadł na łóżku i wziął tacę. Zjadł parę łyżek. Curry mu smakowało, ale nie miał apetytu. Woda była dobra, świeża.

Parę tygodni aklimatyzacji. Te słowa, które miały go pocieszyć, zabrzmiały raczej jak przekleństwo. Nie potrafił sobie wyobrazić, że przeżyje choćby jeszcze jeden dzień bez Mi Mi.

Nad głową coś mu bzycało. Dźwięk był trudny do zniesienia, bez śladu jakiegokolwiek rytmu, odpychająco monotony. Nie ustawał ani na chwilę, nie cichł i nie narastał, wciąż taki sam. Zarazem poczuł idący z góry słaby powiew. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, jak jest gorąco. Lekki wiatr nie chłodził, zbyt upalne było powietrze. Niewiele brakowało, by parzyło.

Wstał, żeby poznać swój pokój. Wstrzymał oddech i zaczął nasłuchiwać. Po ścianie przed nim chodziło parę mrówek. Pod łóżkiem tkwił pająk, w którego sieć właśnie wplątała się mucha. Słyszał jej trzepotanie się, rozpaczliwe, przeciągłe brzęczenie. Pająk skradał się do swojej ofiary. Do sufitu przywarły dwa gekony, mlaskające na przemian językami. Żaden z tych dźwięków nie był szczególnie budujący. Zamachał ramionami i postąpił o krok.

Krzesła nie wydają żadnego dźwięku ani zapachu. Uderzył wierzchem dłoni w kant i krzyknął. Ból przeniknął aż do ramienia. Ukląkł i zaczął pełzać po pokoju na czworakach.

Stoły nie wydają żadnego dźwięku ani zapachu. Będzie miał porządny guz na czole.

Niczym odkrywca badający nieznaną ląd, obmacał każdy zakątek pokoju, by uniknąć zderzenia w przyszłości. Oprócz stołu i krzesła była tu duża szafa, pod ścianą. Przy łóżku postawiono dwa stoliki, nieduże, lecz wysokie; na każdym stała lampa. Nad stołem wisiał obraz. Dwa wysokie, półotwarte okna sięgały podłogi. Okiennice były przymknięte.

Postukał w podłogę. Stare drewno tekowe; rozpoznał ten niepowtarzalny ciemny dźwięk. Może zbadać cały dom? Zrezygnował jednak i położył się z powrotem. Lepiej poczekać na powrót wuja.

Przebudziło go pukanie do drzwi. Był to ten sam chłopiec co w południe. Wuj czeka na niego, by zjeść razem kolację.

Z wahaniem stawiając przed sobą stopy, zszedł po schodach, które szerokim łukiem prowadziły na parter. Pogłos, jaki budziły jego kroki, zdradzał rozmiary pomieszczenia. Musiało być rozległe, coś w rodzaju reprezentacyjnego przedpokoju, sięgającego od podłogi do dachu. Słyszał, że chłopiec idzie za nim. Na ostatnim stopniu wziął Tin Wina za rękę i poprowadził przez dwa wielkie pokoje do jadalni.

Czekając na bratanka, U Saw zmieszał wodę sodową z sokiem limonki i wyszedł na taras, aby sprawdzić ogród za domem. Na jednej z palm dostrzegł duży brązowy liść. Któryś z ogrodników musiał go przeoczyć. U Saw nie tolerował podobnego niedbalstwa. Czy przypadkiem nie czas już, aby znowu zwolnić kogoś ze służby? Nie ma lepszego sposobu, aby wyleczyć pozostałych z próżniactwa, przynajmniej na kilka miesięcy. Zszedł na trawnik, nachylił się i sprawdził, czy trawa jest świeżo skoszona. Najwyraźniej parę źdźbeł było dłuższych niż pozostałe... Był wstrząśnięty. Jutro przedsięwzięcie stosowne kroki.

U Saw był jednym z nielicznych Birmańczyków, którzy pod brytyjskim panowaniem osiągnęli więcej niż skromny dostatek. Gdyby zsumować jego interesy, jego nieruchomości za granicą i gotówkę, jaką dysponował, okazałoby się, że jest jednym z najbogatszych ludzi w kraju, nie licząc, rzecz jasna, paru Anglików i paru Europejczyków z innych krajów, co żyli w odrębnym świecie, niewiele mającym wspólnego z resztą Birmy i dlatego nienadającym się do porównań. Jego posiadłość na Halpin Road mogła rywalizować z najokazalszymi rezydencjami kolonialnych panów. Domy mające ponad dwa tuziny pokoi, basen kąpielowy i kort nie stoją na każdym rogu ulicy, nawet w dzielnicach zamieszkałych przez białych. Ponieważ U Saw nie grał w tenisa, wymagał, by grali jego służący. Co rano, tuż po wschodzie słońca, dwóch spośród pięciu ogrodników przez godzinę odbijało piłkę, aby stworzyć wrażenie, że to sam właściciel regularnie korzysta z kortu.

Sąsiedzi i odwiedzający uważali go za niezwykle wysportowanego. Oprócz ogrodników U Saw zatrudniał dwóch kucharzy, dwóch szoferów, parę sprzątaczek, trzech nocnych strażników, chłopca pokojowego, lokaja i kobietę, która była kimś w rodzaju gospodyni i odpowiadała za zakupy.

Przed laty snuto liczne domysły co do źródeł jego dostatku, ale gdy majątek się powiększył, plotki ucichły. Pewien poziom społecznego statusu izoluje od czczych spekulacji.

O jego przeszłości wiedziano w stolicy tyle, że na początku wieku jako młody człowiek obracał się w kręgach niemieckich, mówił swobodnie w tym języku i wkrótce został zarządcą należącego do Niemców wielkiego ryżowego młyna. Pierwsza wojna światowa sprawiła, że właściciel, podobnie jak wielu jego rodaków, opuścił brytyjską kolonię. Przed wyjazdem przepisał interes na U Saw, podobno pod warunkiem że przekaże go z powrotem właścicielowi, gdy ten wróci po wojnie. Dwóch innych ryżowych magnatów też jakoby powierzyło mu swój los, sprzedając mu młyny za symboliczną cenę kilku rupii. Żadnego z nich nie widziano więcej w Rangunie. Sam U Saw nigdy nie skomentował ani słowem tego korzystnego dla siebie obrotu fortuny.

Interesy U Saw rozwinęły się w latach dwudziestych, a Wielki Kryzys z początku lat trzydziestych, odczuwalny nawet w południowo-wschodniej Azji, potrafił umiejętnie wykorzystać z pożytkiem dla siebie. Skupywał ryżowe pola i zagrożone upadkiem młyny, potem przejął firmę hinduskiego eksportera ryżu i wkrótce miał pod kontrolą cały obrót ryżem — od ziarna do sprzedaży za granicę. Dbał o dobre stosunki nie tylko ze swymi hinduskimi rywalami, ale także z Anglikami i z mniejszością chińską. Wcześniej się nauczył, że koneksje szkodzą tylko temu, kto ich nie ma, i jak przystało na człowieka z jego pozycją, dawał hojne datki na trzy klasztory w Rangunie. Trzy wzniesione przez niego pagody nosiły jego imię, a w głównym holu jego domu stał imponujący buddyjski ołtarz.

Krótko mówiąc, w wieku pięćdziesięciu lat U Saw był więcej niż zadowolony z siebie i swego losu. Nawet tragiczna śmierć żony przed dwoma laty nie odebrała mu dobrego samopoczucia. Ten pozbawiony dzieci związek nie był dla niego niczym więcej niż niekorzystnym

partnerstwem zawartym dla korzyści. Żona była córką magnata okrętowego i U Saw liczył, że małżeństwo obniży jego koszty spedycji. Skąd miał wiedzieć, że potężny armator znajduje się na krawędzi bankructwa? Małżeństwo było oficjalne, lecz rzadko konsumowane.

U Saw nie miał wrażenia, by szczególnie brakowało mu żony. Bardziej niepokoiły go okoliczności jej śmierci. Pewien astrolog gorąco mu odradzał podróż w interesach do Kalkuty. Jeśli pojedzie, na jego rodzinę spadnie wielkie nieszczęście. Mimo to U Saw pojechał. W dwa dni później żonę znaleziono w łóżku martwą. W pościeli leżała zwinięta w kłębek śpiąca kobra. Musiała wpełznąć do sypialni przez otwarte okno.

Od tej pory U Saw nie podjął żadnej ważnej decyzji, nie zasięgnąwszy przedtem rady astrologa albo wróżbity. Zaledwie dwa tygodnie temu pewien astrolog przepowiedział mu katastrofę osobistą lub handlową (U Saw tak naprawdę nie rozumiał, na czym polega różnica, ale i nie prosił o wyjaśnienie), której może uniknąć tylko pod warunkiem, że pomoże członkowi rodziny w wielkim nieszczęściu. To ostrzeżenie kosztowało go kilka bezsennych nocy. Nie wiedział o żadnych członkach rodziny, których dotknęłoby wielkie nieszczęście! Wszyscy byli biedni, wszyscy zawsze chcieli od niego pieniędzy — właśnie dlatego już wiele lat temu zerwał z nimi kontakty. Ale wielkie nieszczęście? W końcu przypomniał sobie mgliście, że słyszał kiedyś o smutnym losie jednego z dalekich krewnych żony, chłopca, którego ojciec nie żył. Młodzieniec z dnia na dzień stracił wzrok, kiedy porzuciła go matka. Były pogłoski, że mieszka z sąsiadką, która opiekuje się także jego, U Saw, willą w Kalaw. Czyż można lepiej zadośćuczynić gwiazdom niż poprzez pomoc niewidomemu chłopcu? Umiejętnie wypytał astrologa, czy nie zapobiegłaby katastrofie również darowizna na rzecz klasztoru, hojna ma się rozumieć. Mniej byłoby z tym zachodu... Nie? A może wzniesienie kolejnej pagody? Albo dwóch? Nie. Wyrok gwiazd był jasny i niedwuznaczny.

Nazajutrz U Saw wysłał dwóch swoich najbardziej zaufanych asystentów do Kalaw.

Słyszając dochodzące z jadalni głosy, U Saw wszedł z powrotem do domu. Na widok Tin Wina stanął jak rażony gromem. Spodziewał się

zobaczyć kalekę, niedorozwiniętego fizycznie i umysłowo chłopca, którego sam widok wzbudzałby litość. Tymczasem bratanek był krzepkim, przystojnym młodzieńcem, wyższym od wuja o co najmniej dwie głowy i promieniującym dziwną pewnością siebie. Miał na sobie białą koszulę i czyste zielone *longyi*. Nie wyglądał na człowieka w potrzebie... U Saw był nad wyraz rozczarowany.

— Witaj w Rangunie, drogi bratanuku. Cieszę się, że wreszcie mam cię u siebie.

Głos wuja brzmiał dla Tin Wina irytująco już od pierwszego zdania. Nie potrafił go zinterpretować. Nie poruszał w nim żadnej struny. Był przyjazny, ani za głośny, ani za gruby, ale czegoś w nim brakowało, czego Tin Win nie mógł uchwycić. Przypominał mu tamto buczenie pod sufitem. Jeszcze dziwniejsze było bicie serca — bez wyrazu, monotonne, jak tykanie zegara na ścianie w przedpokoju.

— Mam nadzieję, że podróż nie była zanadto uciążliwa? — ciągnął U Saw.

— Nie.

— Jak twoje oczy?

— Dobrze.

— Dobrze? Sądziłem, że jesteś niewidomy.

Tin Win usłyszał zmieszanie w głosie wuja. Czuł, że nie jest to właściwy moment, aby wdawać się w dyskusję na temat ślepoty i zdolności widzenia.

— To prawda. Miałem tylko na myśli, że mnie nie bołą.

— To doskonale. Niestety, dopiero niedawno dowiedziałem się przypadkiem od znajomego z Kalaw o twojej przypadłości, inaczej naturalnie pomógłbym ci wcześniej. Mój dobry przyjaciel, doktor Stuart McCrae, jest naczelnym lekarzem w największym szpitalu w Rangunie. Kieruje oddziałem oftalmologii. Załatwię, żeby w przyszłym tygodniu cię zbadał.

— Jestem upokorzony twoją hojnością, wuju — powiedział Tin Win. — Nie wiem, jak ci dziękować.

— Już dobrze, dobrze. Medycyna poczyniła wielkie postępy. Być może okulary albo operacja będą mogły ci pomóc — powiedział U Saw, którego nastrój wyraźnie się poprawił. Doceniał unizony ton bratanuka;

już teraz dźwięczała w nim stosowna wdzięczność. — Chciałbyś może czegoś się napić?

— Trochę wody, jeśli można.

U Saw nalał do wody do szklanki i, niepewny, jak podać ją bratankowi, z głośnym stukiem postawił szklankę obok niego na stole. Tin Win wymacał szklankę i upił łyk.

— Poleciałem kucharzowi, żeby przyrządził rosół z kurczaka i curry z rybą i ryżem. Mam nadzieję, że będzie ci smakowało.

— Z pewnością.

— Czy potrzebujesz pomocy przy jedzeniu?

— Nie, dziękuję.

U Saw klasnął w ręce i zawołał kogoś po imieniu. Wrócił chłopak i zaprowadził Tin Wina do jego krzesła. Tin Win usiadł i wymacał przedmioty na stole — płytki talerz i stojący na nim głęboki, serwetkę, łyżkę, nóż i widelec. Kiedyś w klasztorze U May wcisnął mu do ręki te przybory i wyjaśnił, że Anglicy jedzą za ich pomocą, a nie palcami. Tin Win już w południe spróbował jeść curry łyżką i ze zdumieniem odkrył, że to bardzo łatwe.

U Saw z ulgą zauważył, że Tin Win potrafi posługiwać się sztucami i że ślepotą nie przeszkadza mu jeść estetycznie. Nawet zupa nie sprawiała mu kłopotów. Wcześniej U Saw wyobrażał sobie ze zgrozą, że bratanka trzeba będzie być może karmić co wieczór, że się ślini lub rozlewa jedzenie po stole.

Obaj milczeli. Tin Win myślał o Mi Mi. Ciekawe, jak opisałyby wuja... Czy ma on pulchne palce? Czy jest gruby, ma podwójny podbródek, jak sprzedawcy trzciny cukrowej w Kalaw, których serca brzmiały podobnie płasko? Czy oczy wuja błyszcżą, czy też jego wzrok jest tak samo pozbawiony wyrazu, jak uderzenia dochodzące z jego piersi? Kto mu pomoże odczytać ten nowy świat, w którym się znalazł? Lekarze? Co z nim zrobi ten przyjaciel wuja? I czy pozwoli mu wrócić do Kalaw, jak tylko się okaże, że nic się zrobić nie da? Przy odrobinie szczęścia może być znowu z Mi Mi pod koniec przyszłego tygodnia.

A jeśli lekarze przywrócą mu wzrok? Nigdy dotąd nie zastanawiał się nad taką możliwością. Ani we wcześniejszych latach, ani odkąd przyjechał do Rangun. Niby po co? Miał przecież wszystko, czego

potrzebował.

Spróbował sobie wyobrazić skutki pomyślnej operacji. Oczy, którymi będzie mógł widzieć. Ostre kontury. Twarze. Czy zachowa umiejętność słyszenia? Wyobraził sobie, że patrzy na Mi Mi. Leży przed nim naga. Jej smukłe ciało, jej małe, twarde piersi. Widzi jej płaski brzuch i włosy łonowe. Jej gładkie uda, jej płeć. Dziwne, ale ten obraz go nie podniecał. Nie było większej przyjemności, niż wodzić językiem po jej ciele, muskać wargami piersi i słyszeć, jak w coraz bardziej szaleńczym rytmie tańczy jej serce...

Głos wuja przerwał bieg jego myśli.

— Mam dużo do roboty w najbliższych dniach i niewiele będę miał czasu dla ciebie — powiedział U Saw, gdy skończył jeść. — Ale jeden z pokojowych, Hla Taw, będzie nieustannie do twojej dyspozycji. Może cię oprowadzić po ogrodzie albo nawet po mieście, jeśli będziesz miał ochotę. Mów mu o wszystkim, czego potrzebujesz. Jeśli uda mi się tak to zorganizować, to pod koniec tygodnia zjemy razem obiad. Wizytę u doktora McCrae mamy wyznaczoną na wtorek. — U Saw się zawahał. Czy astrolog określił, ile czasu powinien spędzić z krewnym, który ma wielkie zmartwienie? Nic takiego sobie nie przypominał. Na wszelki wypadek odwiedzi go znowu jutro po południu.

— Dziękuję ci, wuju — odparł Tin Win. — Nie zasługuję na twoją hojność.

U Saw wstał. Był nadzwyczaj zadowolony. Jego bratanek potrafił się znaleźć. Myśl, że on, U Saw, może przywrócić chłopcu wzrok, sprawiała mu przyjemność, przyjemność bez granic. Gest tak wspaniałomyślny, tak wielkoduszny nie może pozostać bez nagrody. Co do tego nie było żadnych wątpliwości.

Rozdział 3

Tin Win leżał bezsennie po nocach i sypiał za dnia. Dostał biegunki. Droga do łazienki wydłużała się coraz bardziej, i z obawy, że nie zdąży, całe godziny spędzał na posadzce przed toaletą.

Na każdym kroku pełno było odgłosów, które z niego szydziły lub się ich bał. W łazience coś szczękało i bulgotało w ścianach i pod podłogą. Pająk pod łóżkiem stał się żarłoczny. Przedśmiertna walka much, ich łamiące się nóżki, odgłosy wysysania i żucia, jakie wydawał pająk, wszystko to budziło wstręt. Któregoś ranka usłyszał, że po podłodze pełźnie bezgłośnie wąż; zdradziło go bicie serca. Słyszał, jak się zbliża. Wpełza do łóżka. Pełźnie po jego nogach. Przez cienkie prześcieradło czuł jego zimne wilgotne ciało. Wąż zasyczał przy jego głowie, tak jakby chciał mu opowiedzieć jakąś historię. W parę godzin później wypełził przez uchylone okno. Gekony na suficie naśmiewały się z niego. Niejednokrotnie zatykał sobie uszy i wołał o pomoc.

Hla Taw składał to na karb nowego pożywienia i upału. Tin Win wiedział swoje. Siedział na pniaku. Czekał. Niedługo, powiedziała.

Wziął głęboki oddech i zatrzymał go. Liczył sekundy. Czterdzieści. Sześćdziesiąt. Ucisk w piersi narastał. Dziewięćdziesiąt. Sto dwadzieścia. Zaczęło mu się kręcić w głowie. Ciało błagało o tlen. Tin Win nie ustępował. Słyszał, jak serce zaczyna się jąkać. Wiedział, że ma moc, aby je zatrzymać.

W oddali pojawiła się śmierć. Zbliżała się wielkimi krokami, coraz większa i większa, wreszcie stanęła przed nim.

— Wzywałeś mnie.

Przestraszył się. Nie bliskości śmierci, nie jej głosu. Złakł się siebie. Wezwał śmierć, ale nie chciał umierać. Nie tu. Nie teraz. Nie był już małym chłopcem, który ze strachu wycofał się ze świata, który pragnął tylko jednego: by zniknąć, rozpląnąć się w nicość. Chciał żyć. Chciał być z Mi Mi. Chciał znowu ją czuć, jej oddech na skórze, jej wargi przy uchu.

Piosenkę jej serca.
Odetchnął głęboko.

Odkryje, czego chce od niego wuj. Zrobi, czego po nim oczekuje, i wróci do Kalaw najszybciej jak się da.

W cztery dni później Tin Win stał w drzwiach prowadzących na taras i nasłuchiwał. Zaczęło padać. Żadna ulewa, raczej stały, powolny szelest i stukot kropel. Tin Win lubił deszcz. Widział w nim sprzymierzeńca. Słyszał w nim szept Mi Mi, jej głos, który potrafił być tak czuły. Nadawał kształt domowi i ogrodowi, unosił woal z wujowej posiadłości. Rysował obrazy. W każdej stronie dziedzińca deszcz szemrał inaczej. Obok niego krople roztrzaskiwały się głucho o blaszany dach, łączący kuchnię z głównym budynkiem. Przed nim stukały w kamienny taras, którego rozmiary mógł teraz, dzięki deszczowi, dokładnie określić. O trawę uderzały bardziej miękko. Wyłapywał słuchem ścieżki pomiędzy klombami, kępy krzewów, trawniki. Piaszczysty grunt wchłaniał wodę niemal bezszelestnie. Słyszał, jak krople padają na szerokie liście palm, jak spływają po ogonkach, jak chlupią w kielichach kwiatów, jak szarpia i utracają drobniejsze kwiecie. Odnotował, że dziedziniec nie jest płaski, że woda ledwie dosłyszalnie spływa ku ulicy. Miał wrażenie, że podszedł do okna w swoim pokoju, otworzył okiennice i po raz pierwszy oglądał wujową posiadłość.

Deszcz zaszumiał gęściej. Zabębniło na blaszanym dachu. Tin Win wyszedł na taras. Deszczowa woda była cieplejsza niż w Kalaw. Rozpostarł ramiona. Krople, teraz duże i ciężkie, masowały mu ciało. Poczul na plecach Mi Mi. Zapragnął pokazać jej ogród. Postąpił kilka kroków, po czym puścił się biegiem. Zbiegł paroma susami na trawnik, obiegł truchtem palmę, pogalopował wokół kortu, przeskoczył dwa niewielkie krzaki, szerokim łukiem pomknął do otaczającego posiadłość żywopłotu i wrócił na taras. I jeszcze raz. I jeszcze. Bieg go wyzwalał. Uwalniał moc, która zanikła w nim w ostatnich dniach.

Deszcz wydzierał go z kleszczy strachu, i z każdą kroplą czuł się coraz bardziej żywy. Była z nim Mi Mi. To ona przebudziła go do życia i nigdy go nie opuści. Wiedział, że na niego czeka. Jedyne, co stało pomiędzy nimi, to jego własny smutek i strach. U May powiedział mu:

strach oślepia i ogłusza. Złość oślepia i ogłusza. I tak samo zazdrość i podejrzliwość. Jedna tylko jest siła silniejsza niż lęk.

Tin Win pobiegł w stronę tarasu. Zdyszany, tryskający szczęściem.

— Tin Win! — To głos wuja. Dlaczego wrócił z biura tak wcześniej? — Doktor McCrae przysłał wiadomość. Zmienił się termin wizyty. Idziemy dzisiaj. Zaraz.

Przez chwilę U Saw obserwował bratanka w milczeniu.

— Widziałem, jak biegasz. Czy naprawdę jesteś ślepy?

Jak bardzo można zbliżyć się do prawdy, a mimo to jej nie przeczuwać.

Badanie trwało raptem kilka minut. Pielęgniarka trzymała go za głowę, doktor silnymi dłońmi naciągał skórę wokół oczu. Po chwili Stuart McCrae usiadł przed nim i nachylił się w jego stronę. Oddech doktora przesycony był wonią tytoniu.

Podczas badania McCrae nie wymówił ani słowa. Tin Win skoncentrował się na biciu jego serca: ciekawe, czy potrafi wyprowadzić z niego diagnozę. Rytm serca się nie zmieniał. Nie był niemiły, po prostu obcy. Emanował równoważeniem i solidnością. Tak jak głos doktora. McCrae mówił krótkimi zdaniami, które zaczynały się gdziekolwiek i równie nieoczekiwanie kończyły, bez żadnych wzniesień czy opadnięć głosu. Nie było to nieprzyjemne, po prostu wyprane z emocji.

Diagnoza była szybka. (Tin Win był ślepy, ku wielkiej uldze U Saw). Katarakta. Wysoce nietypowa w jego wieku. Prawdopodobnie zaburzenie genetyczne. Operowalna. Jeśli zechcą, zaraz jutro.

Najgorsze były zastrzyki. Długimi, grubymi igłami kłuto go nad i pod oczami i koło uszu. Zimny metal wchodził w ciało coraz głębiej, tak jakby próbowano go przyszpilić do podłoża. Potem usunięto soczewki. Tin Win czuł nacięcie, ale nie czuł bólu. Zawołano o igłę i nitkę i z powrotem zszyto mu tkanki. Jak kawałek materiału. Przez dwa dni miał nosić na głowie bandaż.

Teraz lekarze i pielęgniarki postukiwali nożyczkami i szczypcami i dawali sobie nawzajem wskazówki, których Tin Win nie rozumiał. Przywrócą mu wzrok, mówili. Poczuj się jak nowo narodzony. Tak

twierdzili.

Potem zdejmą mu bandażę i dostrzeże światło, ciepłe, jarzące się światło. Zacznie rozpoznawać zarysy i kształty i po paru dniach, kiedy gotowe będą jego okulary, będzie znowu widział. Lepiej niż kiedykolwiek w życiu.

Tin Win nie był pewien, czy ma im wierzyć. Nie żeby im nie ufał czy podejrzewał, że świadomie wprowadzają go w błąd. Mówili to, co myślą, ale mówili o czymś innym. Czy jest coś cenniejszego niż wzrok? — spytał McCrae przed operacją i natychmiast sam sobie odpowiedział: Nie ma. Widzieć znaczy wiedzieć.

Zachowywali się tak, jakby wypuszczali go z więzienia. Jakby istniała tylko jedna prawda. Czy choć jedno z nich słyszało kiedykolwiek śpiew serca? Czy by go rozpoznali? Co im mówi ulewa? Że trzeba wziąć parasol?

Pielęgniarki życzyły mu odrobiny cierpliwości.

Chciał im powiedzieć, że wcale nie jest podekscytowany. Nikt nie powinien się śpieszyć z jego powodu. Jeśli się niecierpliwi, to wyłącznie dlatego, że chciałby jak najprędzej być z młodą kobietą, która porusza się na czworakach. Ona wie, że widzi się nie tylko oczami, a odległość mierzy nie tylko za pomocą kroków. Czy ci ludzie to rozumieją? Lepiej milczeć.

— No i proszę. — McCrae odwijął bandaż. Zwijał go z powrotem, i z każdym obrotem napięcie w pokoju rosło. Nawet serce McCrae biło odrobinę szybciej niż zwykle.

Tin Win otworzył oczy. Uderzyło weń z siłą pioruna. Światło. Jaskrawe, oślepiające światło. Nie przyćmione, nie mleczone, lecz białe i jasne. Naprawdę jasne.

Światło bolało. Paliło mu oczy, w głowie czuł kłujący ból. Zacisnął powieki. Wycofał się w ciemność.

— Widzisz mnie? — wykrzyknął wuj. — Widzisz mnie?

Nie, nie widział. Nie potrzebował. W pełni wystarczyło mu bicie serca. Brzmiało tak, jakby U Saw oklaskiwał sam siebie. Mógł sobie wyobrazić jego zadowoloną twarz.

— Widzisz mnie? — powtórzył U Saw.

Tin Win zmrużył oczy. Tak jakby zmrużenie mogło odfiltrować

ból od światła.

Tak jakby był jakiś powrót.

Rozdział 4

Okulary od razu dobrze leżały. Na nosie, za uszami.

Miał otworzyć oczy. Tak jakby to było takie proste. Po ośmiu latach.

Tin Win chciał zaczekać.

Proszę otworzyć oczy. Chciał poczekać, dopóki naprzeciw niego nie będzie siedziała Mi Mi. Chciał, by ona, i tylko ona, była pierwszą rzeczą, którą zobaczy.

OTWORZYĆ OCZY. Niecierpliwe głosy.

Musiał wywahać je siłą. Podciągać z całej siły powieki, dopóki nie uchyliły się odrobinę. O szczelinę, nie więcej. Daruje im szczelinę. Spojrzał przez nią, tak jakby wyjrzał z kryjówki.

Zasłona zniknęła. W jednej chwili.

Mlecznoszara mgła się rozwiała.

Wszystko, co widział, było ostre i wyraźne. Ostrość posłała skurcz bólu od gałek ocznych przez czoło aż do karku. Przed nim stali doktor McCrae i U Saw. Wpatrywali się w niego, dumni i niespokojni. Tak jakby stworzyli świat na nowo, tylko dla niego.

Twarz wuja. Tak, widział ją.

Zamknął oczy z powrotem. Klap, klap. Drzwi, co się zatrzasnęły. W ciemności czuł się bezpieczniej.

Nie, nie bolało. Nie, nie kręciło mu się w głowie. Nie, nie miał ochoty się położyć. Po prostu było tego zbyt wiele. Zbyt wiele światła. Zbyt wiele wpatrujących się w niego oczu. Zbyt wiele oczekiwań. Zbyt wiele kolorów. Irytowały go. Kremowa biel zębów U Saw z brązowymi obwódkami. Srebrzysty błysk chromowej lampy na biurku doktora. Jego rudawe włosy i brwi. Ciemnoczerwone usta pielęgniarek. Tin Win żył dotąd w świecie czarno-białym. Kolory nie wydają dźwięku. Nie bulgocą, nie ćwierkają, nie skrzeczą. Ich wspomnienie zbladło z biegiem lat, jak pismo na kartce papieru.

Proszę otworzyć oczy jeszcze raz. Tin Win pokręcił głową. Ani

szczeliny.

— Coś z nim jest nie w porządku — powiedział U Saw do lekarza.

— Nie sędzę. To szok. Przyzwyczajai się — odparł McCrae.

Obaj, nie wiedząc o tym, mieli słuszność.

Tin Win siedział na czerwonym ceglany murku na brzegu rzeki Rangun. Przed nim rozpościerał się port.

Otworzyć oczy. Musiał sobie o tym przypominać. Dziesięć dni minęło, odkąd świat znowu przybrał kształty. Dziesięć dni wypełnionych światłem. Dziesięć dni nabitych obrazami. Ostroymi jak igła. Pstrokatymi od barw. Nie był do tego przyzwyczajony.

Rozejrzał się. W dół rzeki widać było stalowe, bezlistne drzewa, z łoskotem poruszające się na szynach to w jedną, to w drugą stronę. Ich haki znikwały w brzuchach frachtowców, by po chwili wynurzyć się z tuzinami powiązanych ze sobą worków. Wczoraj przenosiły na pokład słonia. Zwisał na linach, owinięty w czerwony brezent, przebierając w powietrzu nogami, bezradny jak przewrócony na grzbiet żuk. Przed magazynami piętrzyły się stosy skrzyń i beczek z wypisanym czarno miejscem przeznaczenia. Kalkuta. Kolombo. Liverpool. Marsylia. Port Said. Nowy Jork.

Po porcie krążyły tysiące łodzi. Jedne miały żagle, inne motory, wiele było takich, gdzie siedział tylko samotny wioślarz. Niektóre statki były tak zapchane ludźmi, koszykami i rowerami, że z każdą falą chlustała na pokład woda. W górę rzeki kołysały się na falach łodzie mieszkalne, w których żyły całe klany. Pomiedzy masztami suszyło się na sznurach pranie. Po pokładzie biegały dzieci. W hamaku drzemał stary człowiek.

Tin Win patrzył na mewy, prześlizgujące się bez poruszania skrzydłami w powietrzu. Nigdy nie widział tak eleganckich ptaków. Pomimo lekkiej bryzy, muskającej powierzchnię wody, było gorąco i parno.

Zamknął oczy. Słyszał uderzenia tłoka okrętowego motoru. Korniki w ścianie stojącego obok magazynu. Słabnące serca ryb w koszyku, który miał u stóp. Klaskanie fal o kadłuby. Z tonu mógł określić, czy łódź jest z metalu, czy z drewna. Rozpoznawał nawet, z

jakiego gatunku drzewa pochodzi dany pień. Te odgłosy opisywały port wyraziściej niż wszystko, co mogły zobaczyć oczy. Oczy rejestrowały obrazy, strumień obrazów. Każda sekunda, każdy ruch źrenic, każdy zwrot głowy owocował nowym. Patrzył na te obrazy, ale go nie angażowały. Był ciekawym obserwatorem, niczym więcej.

Mógł przez całe minuty skupiać wzrok na tym samym punkcie, na żaglu, kotwicy, kutrze czy na kwitnącej gałęzi w ogrodzie wuja. Dotykał obiektu spojrzeniem, wyczuwał go, każdy łuk, każdą krawędź, każdy cień, tak jakby mógł rozłożyć go na części i złożyć z powrotem i wejrzeć w ten sposób pod powierzchnię, poza fasadę. Ożywić go. Nie wychodziło. Widzenie czegokolwiek — ptaka, człowieka, łodzi rybackiej — ani nie sprawiało, że stawały się bardziej realne, ani go do nich nie przybliżało. Obrazy mogły się poruszać, a mimo to pozostawały obrazami. Tin Win czuł dziwny dystans pomiędzy sobą i wszystkim co widział. Okulary nie były żadną namiastką oczu Mi Mi. Jej oczami widział więcej niż tylko obrazy.

Zszedł z murku i ruszył wzdłuż portu. Czy on jest niewdzięczny? Czego się spodziewał? Oczy rzeczywiście są pomocne w codziennym życiu. Łatwiej mu się poruszać, nie musi się martwić, że wpadnie na krzesło czy ścianę, że potknie się o śpiącego psa czy korzeń. To narzędzia, którymi wkrótce nauczy się posługiwać. Sprawia, że jego życie stanie się bezpieczniejsze, prostsze i wygodniejsze.

Być może dystans, jaki tworzą, to cena, jaką trzeba za to zapłacić. Pomyślał o U May. Istota rzeczy jest niewidoczna dla oka, ostrzegął. Naucz się dostrzegać istotę rzeczy. Oczy będą ci w tym raczej przeszkadzać. Rozpraszą nas. Chętnie pozwalamy się olśniewać. Tin Win pamiętał każde słowo.

Szedł wzdłuż rzeki, mijając statki i dźwigi. Wokół niego mężczyźni dźwigali z przystani do magazynu worki z ryżem. Szli zgięci wzdłuż, z ładunkiem na plecach. *Longyi* mieli podkasane powyżej kolan. Pot sklejał im oczy. Ich ciemne nogi były chude jak patyki, mięśnie z każdym krokiem napinały się pod ciężarem. Kulisi przy pracy. Dopiero gdy zamknął oczy, ta scena go poruszyła. Jęczeli. Cicho, lecz żałośnie. W żołądkach burczało im z głodu. Płuca z trudem chwytały powietrze. Serca biły słabo, cherlawo. W niektórych słychać było bliski koniec.

Zachował zdolność słyszenia. Gdy tylko wycofywał się w ciemność, nic nie uchodziło jego uszom. Chciał traktować oczy jako zmysł pomocniczy. Zaszkozić to nie zaszkodzi, o ile weźmie sobie do serca ostrzeżenie U May.

Szedł jakiś czas w dół rzeki, po czym skręcił w boczną uliczkę. Powietrze było tu wprost nie do zniesienia. Żadnej bryzy z portu, żadnej otwartej przestrzeni, jak w alejach, którymi przechadzają się Europejczycy. Większość ciasno upchanych domów była z drewna, okna pootwierano na oścież. Miał wrażenie, że zszedł do piwnicy miasta. Była brudna, ciasna i hałaśliwa. Śmierdziała potem i siuškami. W rynsztokach leżały gnijące owoce, resztki żywności, szmaty, papiery. Po obu stronach, na o wiele za wąskim chodniku, siedzieli na stołkach i ławeczkach ludzie, wielu już niemal na skraju jezdni. Parterowe sklepy wypchane były aż po sufit towarem: belami materiału, herbatą, ziołami, jarzynami, makaronem, a przede wszystkim ryżem. Tin Win nie zdawał sobie sprawy, że jest tyle odmian ryżu i że każdy pachnie inaczej. Przechodnie śmiali się i rozmawiali w języku, którego nie rozumiał. Wielu wpatrywało się w niego, jakby był intruzem. Nieszczególnie mile widzianym.

Może powinien się odwrócić? Zamknął oczy. W dźwiękach, które słyszał, nie było nic groźnego. W kuchniach skwierczał tłuszcz. Kobiety zagniatyły ciasto, kroily mięso i warzywa. Na wyższych piętrach śmiały się i hałasowały dzieci. Głosy na ulicy nie były wrogie.

Ani serca.

Szedł dalej, wchłaniając dźwięki, zapachy, widoki. Każdy odkładał na właściwe miejsce. Tak jakby mógł zawinąć każde wrażenie, obwiązać i zapakować, aby podzielić się z nim później z Mi Mi. Nic nie powinno jej ominąć.

Parę przecnic dalej kończyła się chińska dzielnica, a zaczynała hinduska. Ludzie byli wyżsi, mieli ciemniejszą cerę. Ale powietrze było nie lepsze, a ulice nie mniej zatłoczone. Inne pomieszczenie w piwnicy. Zapachy żywności były bardziej znajome. Curry. Imbir. Trawa cytrynowa. Czerwona papryka. Ludzie, których mijał, nie zwracali na niego uwagi. Zauważył, że na podstawie bicia serc nie jest w stanie ocenić, czy idzie ulicą chińską, czy hinduską, czy przebywa wśród

Anglików, czy Birmańczyków. Biły u każdego odmiennie, zdradzając młodość lub starość, radość lub smutek, strach lub odwagę, ale rasa i narodowość nie czyniły żadnej różnicy.

Szofer czekał na niego, tak jak było ustalone, pod wieczór koło pagody Sule. Jechali wzdłuż jezior, w których toni odbijał się lekki róż przedwieczornych obłoków.

W domu czekał na niego U Saw. Od operacji wuj i bratanek co wieczór jadali razem. Za pierwszym razem Tin Win czuł się tak niezręcznie, że nie tknął ani ryżu, ani curry. Podziękował, usprawiedliwiając się upałem. U Saw nie zauważył jego braku apetytu. Chciał wiedzieć, co zrobił bratanek z jego darem tego pierwszego dnia. Co widziałeś? Gdzie chodziłeś?

Tin Win czuł się niezręcznie z tymi pytaniami. Nie chciał dzielić się przeżyciami z wujem. Chował je dla Mi Mi. Zarazem nie chciał wypaść na nieuprzejmego, a tym bardziej niewdzięcznego. Starał się więc opisywać wrażenia najzwięźle jak się da. Piątego wieczoru zauważył, że wuj w ogóle nie reaguje, gdy opowiada mu ponownie wrażenia z dnia poprzedniego. U Saw nie słuchał. Albo go to nie interesowało. Pewnie jedno i drugie. To ułatwiało sprawę. Te same pytania, te same odpowiedzi. I tak toczyła się co wieczór płynna konwersacja, którą wuj niezmiennie ucinał w pół zdania dokładnie po dwudziestu minutach. Z chwilą gdy przełknął ostatni kęs, wstawał, wyjaśniał, że musi jeszcze popracować, życzył Tin Winowi dobrej nocy i miłego poranka i zniknął.

Dziś jednak wszystko było inaczej. U Saw stał w korytarzu, witając jakiegoś gościa. Kłaniając się wielokrotnie, rozmawiali ze sobą w języku, którego Tin Win nie rozumiał. Kiedy wuj dostrzegł, że bratanek nadchodzi, ruchem ręki skierował go do gabinetu. Tin Win usiadł na brzegu skórzanego fotela i czekał. Pokój był ciemny, pod ścianami stały stosy książek, sięgające sufitu. Na pokrytym skórą biurku upalne powietrze chłodził wentylator. Po paru minutach wszedł U Saw. Usiadł przy biurku i spojrzał na Tin Wina.

— W Kalaw chodziłeś do klasztornej szkoły, prawda?

— Tak.

— Umiesz liczyć?

— Tak.

— A czytać?

— Tak. Braille'em. Wcześniej...

— A pisać?

— Zanim oślepiłem, potrafiłem.

— Szybko nauczysz się znowu. Chciałbym, żebyś poszedł do szkoły w Rangunie.

Tin Win liczył na bilet kolejowy do Kalaw. Może nie jutro, ale niedługo. Ta perspektywa dawała mu siłę, aby wytrzymać wszystkie te dni i aby zwiedzać miasto. A teraz miał iść do szkoły w Rangunie... Przygryzł wargi, żeby nie krzyczeć. Wiedział, że to nie jest propozycja. U Saw nie robił propozycji. On po prostu oznajmiał, co należy zrobić. Szacunek, jaki miał Tin Win dla starszego wiekiem krewnego, powstrzymywała go przed okazywaniem czegokolwiek innego niż pokora i wdzięczność. Pytania stawiała w tym domu tylko jedna osoba.

— Nie zasługuję na twoją wielkoduszność, wuju.

— Już dobrze, dobrze. To nic takiego. Dyrektor Saint Paul High School to mój znajomy. Jutro z samego rana go odwiedzisz. Szofer cię zawiezie. Tak naprawdę jesteś już za duży, ale zgodził się cię przeegzaminować. Jestem pewien, że nam pomoże.

U Saw wstał.

— Teraz muszę zająć się gościem. Jutro wieczorem zdasz mi sprawę, jak było w Saint Paul.

U Saw poszedł do salonu, gdzie czekał na niego japoński konsul. Przez moment zastanowił się, czy wdzięczność Tin Wina była szczerą. Kiedy usłyszał o jego planie, twarz skrzywiła mu się gwałtownie. Dlaczego? Czy ma to znaczenie? Tak czy owak, astrolog nie pozostawił mu wyboru. Hojna darowizna na rzecz szpitala w Rangunie nie pomoże. Musi to być krewny i musi to być długotrwałe zobowiązanie. Musi wziąć chłopca pod swoje skrzydła. A poza tym, czyż ostrzeżenie astrologa i jego, U Saw, hojność nie przyniosły już owoców? Czyż zaledwie w dwa dni po operacji nie złożył swego podpisu pod upragnionym kontraktem na dostawę ryżu dla rządu? Czyż nie jego ryż będą niedługo jadły wszystkie brytyjskie garnizony w stolicy? Również pertraktacje w sprawie zakupu pól bawełnianych na brzegach Irawadi okazały się od

chwili przybycia Tin Wina nader obiecujące.

Być może, pomyślał U Saw, sprowadziłem do domu talizman? W każdym razie Tin Win powinien pozostać w Rangunie co najmniej przez dwa lata. Mógłby nawet znaleźć dla niego zajęcie w swoim stale rozwijającym się przedsiębiorstwie... Dlaczego nie miałby zostać przydatnym asystentem? W domu nie przeszkadza. A do tego opowiada przy stole takie ciekawe, za każdym razem inne historie.

Rozdział 5

Najdroższa Mi Mi!

Czy słyszałaś dziś rano ptaki? Śpiewały głośniejszy czy ciszej? Inaczej niż zwykle? Czy przekazały ci wiadomość ode mnie? Wczoraj wieczorem chodziłem po ogrodzie i mówiłem im szeptem, jak cię kocham, a one obiecały przekazywać to przez całą noc od krzaka do krzaka, od drzewa do drzewa przez całą deltę, w górę Sittang, a potem górami aż do Kalaw. Powiedziały, że przysiądą na drzewie przed twoim domem i powiedzą ci o mojej miłości, mojej tęsknocie.

A ty, najdroższa Mi Mi? Niczego tak nie pragnę, jak żeby ci było dobrze. Często sobie wyobrażam, jak krzątasz się wokół codziennych spraw. Widzę, jak siedzisz na targowisku, jak idziesz przez Kalaw na plecach któregoś z braci, jak gotujesz w kuchni. Słyszę twój śmiech, słyszę bicie twojego serca, najpiękniejszy dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszałem. Widzę, że cierpisz, ale nie jesteś przygnębiona. Widzę, że jesteś smutna, ale zarazem jest w tobie radość i szczęście. Mam nadzieję, że nie zwodzę sam siebie. Coś we mnie mówi mi, że czujesz to tak samo jak ja.

Nie gniewaj się, ale muszę już kończyć. Hla Taw czeka. Co rano odnosi moje listy na pocztę i nie chcę, żeby choć jeden dzień minął ci bez wiadomości ode mnie. Pozdrów, proszę, ode mnie Su Kyi, a także swoich rodziców i braci. Często o nich myślę.

*Przytulam cię i całuję,
twój kochający cię nade wszystko*

Tin Win

Najdroższa Mi Mi!

Kiedy patrzę nocą w niebo nad Rangunem, widzę tysiące gwiazd, i pociesza mnie myśl, że jest coś, co możemy ze sobą co wieczór dzielić. Widzimy te same gwiazdy. Wyobrażam sobie, że każdy z naszych

pocałunków zmienił się w gwiazdę. Teraz patrzą na nas z nieba. Rozświetlają mi drogę w ciemności. A najjaśniejszą ze wszystkich planet jesteś ty, moje słońce...

U Saw dalej nie czytał. Pokręcił głową, odłożył list i z leżącego przed nim stosu kopert wyciągnął garść nowych.

Najdroższa Mi Mi!

Dlaczego wciąż trwa czas, kiedy nie jesteś ze mną? Dni nie mają końca. Nawet noce zmówiły się przeciwko mnie. Nie mogę spać. Leżę bezsennie i liczę godziny. Mam wrażenie, jakbym stopniowo oduczał się sztuki słyszenia. Odkąd widzę oczami, uszy są mniej precyzyjne.

Widzenie w zamian za słyszenie? Co za przerażająca myśl. Żałosna byłaby to zamiana. Ufam moim uszom bardziej niż oczom. Oczy do dziś są mi obce. Być może jestem nimi rozczarowany. Nigdy nie widziałem świata tak wyraźnie i żywo, tak pięknie i intensywnie jak twoimi oczami. W moich oczach połowa księżycy to tylko połowa księżycy, a nie melon, którego połowę zjadłaś. W moich oczach kamień to tylko kamień, a nie zaczarowana ryba, a po niebie nie wędruje wodny bawół, serca ani kwiaty. Jedynie chmury.

Ale nie chcę się skarżyć. U Saw jest dla mnie dobry. Koncentruję się na nauce i mam nadzieję, że będę mógł być znowu z tobą z końcem roku szkolnego.

Nie zapomnij przekazać pozdrowień dobrej Su Kyi. Całuję cię i przytulam.

Twój na zawsze

Tin Win

Ukochana Mi Mi!

To już siedem miesięcy, odkąd U Saw posłał mnie do tej szkoły. Wczoraj po raz trzeci promowano mnie o klasę wyżej. Mówią, że jestem teraz w tej, gdzie powinienem ze względu na wiek. Nikt nie rozumie, jak niewidomy chłopiec w klasztornej szkole w Kalaw mógł się tyle nauczyć. Nie znali U May...

Najdroższa Mi Mi!

Wybacz mi, jeśli w ostatnich tygodniach moje listy brzmiały zbyt melancholijnie. Nie chcę cię obciążać moją tęsknotą. Nie martw się o mnie, proszę. Czasem to po prostu trudne — nie wiedzieć, jak długo jeszcze muszę być silny, zanim znów cię wreszcie zobaczę. Ale to nie tęsknotę ani strach czuję, kiedy myślę o tobie. Czuję nieskończoną wdzięczność. Otworzyłaś mi świat i stałaś się częścią mnie. Widzę świat twoimi oczami. Pomogłaś mi pokonać strach. Z twoją pomocą nauczyłem się stawiać mu czoło. Moje upiory nie mają już nade mną mocy. Za każdym razem, kiedy mnie dotykałaś, z każdą godziną, kiedy miałem szczęście czuć na plecach twoje ciało, dotyk twoich piersi na barkach, ciepło twojego oddechu na szyi, stawały się coraz mniejsze. Kurczyły się. Oswajały. Ośmieliłem się spojrzeć im w oczy. Wyzwoliłaś mnie. Jestem twój.

Pelen miłości i wdzięczności

Tin Win

U Saw złożył listy z powrotem. Dość się naczytał. Gdzie kończy się miłość, a zaczyna szaleństwo? — zapytywał sam siebie, wkładając listy z powrotem do kopert. Czy w ogóle jest jakaś różnica?

Dlaczego Tin Win wciąż pisze o swej wdzięczności i podziwieniu dla tej kobiety? Nawet po długim namyśle U Saw nie mógł sobie przypomnieć ani jednego człowieka, którego by szczególnie podziwiał. Szanował paru ryżowych magnatów, to jasne. Zwłaszcza tych, którzy odnieśli większy sukces niż on. Szanował też niektórych Anglików, choć ostatnio coraz mniej. A wdzięczność? Nie znał nikogo, komu miałby coś zawdzięczać. Był wdzięczny żonie, ilekroć trzymała język za zębami na tyle długo, że mógł w spokoju zjeść kolację.

Spojrzał na leżący przed nim na biurku stos listów. Przez cały miniony rok jego bratanek codziennie pisał do tej Mi Mi w Kalaw. Przez cały rok! Codziennie! Bez wyjątku! I to pomimo że aż dotąd ani razu nie otrzymał odpowiedzi... U Saw patrzył na stos listów na biurku. Zadowolony był, że w tych trudnych czasach są jeszcze służący, na

których można liczyć. Co wieczór dobry Hla Taw wręczał mu list, który jakoby zaniósł na prośbę Tin Wina na pocztę. Ma się rozumieć, codziennie wybierał też z popołudniowej poczty ten, który przychodził od Mi Mi. Nie słyszeli nic o sobie, nie przeczytali od siebie nawzajem ani słowa, a mimo to żadne nie zaprzestało codziennego pisania! U Saw nie wytrzymał i parsknął śmiechem na widok takiego obłąkania. Usiłował się powstrzymać, mimo to prychał, krztusił się, kaszlał i nie mógł złapać tchu. Kiedy się w końcu uspokoił, włożył listy z powrotem do górnej szuflady i utworzył dolną, w której trzymał te od Mi Mi, aż dotąd nieczytane. Wziął parę na chybił trafił.

Mój najdroższy Tin Winku!

Mam nadzieję, że znajdziesz kogoś, kto przeczyta ci na głos moje listy. Wczoraj moja matka przyszła na ganek i usiadła koło mnie. Wzięła mnie za rękę, spojrzała na mnie i spytała, jak się czuję. Wyglądała, jakby miała mi powiedzieć, że niedługo umrze. Dziękuję, mamo, wszystko ze mną dobrze, odpowiedziałam. Jak sobie radzisz bez Tin Wina? To już ponad miesiąc, jak wyjechał, powiedziała. Próbowałam jej wyjaśnić, że wcale nie jestem bez ciebie, że jesteś ze mną od chwili, gdy się budzę, do chwili, gdy zasypiam, że to ciebie czuję, gdy pieści mnie wiatr, że to twój głos słyszę w ciszy, ciebie widzę, gdy zamknę oczy, ty sprawiasz, że śmieję się i śpiewam, gdy nikogo nie ma w pobliżu. Ale widziałam współczucie w jej oczach i nie powiedziałam nic. To jedno z tych nieporozumień, których nie da się wyjaśnić za pomocą słów.

Cała moja rodzina szalenie się o mnie troszczy, i to jest bardzo mile. Bracia wciąż mnie pytają, czy chciałabym gdzieś pójść, i noszą mnie po całym Kalaw. Myślę na ich plecach o tobie i nucę sobie po cichu. Moja radość jest dla nich niezrozumiała, czasem może nawet niepokojąca. Jak mam im wytłumaczyć, że to, kim dla mnie jesteś, co mi dajesz, nie zależy od tego, w jakim miejscu na świecie się znajdujesz? Że nie trzeba czuć nawzajem swoich rąk, żeby być blisko siebie?

Wczoraj odwiedziliśmy Su Kyi. Ma się dobrze. Cieszyłaby się, gdybyś czasem do niej napisał.. Powiedziałam jej, że dostaniemy od ciebie wiadomość i zobaczymy cię, kiedy przyjdzie czas. Ale znasz ją. Martwi się. Teraz muszę się podpisać, żeby mój brat mógł zanieść ten list

na pocztę. Serdeczne pozdrowienia od Su Kyi, mojej matki i moich braci, a już najbardziej ode mnie.

Tęskniąca i kochająca cię z każdym dniem coraz bardziej

Mi Mi

Mój duży i silny, mój najdroższy Tin Winku!

Parę tygodni temu zaczęłam zwijać cygara. Matka uznała, że powinnam się nauczyć jakiegoś rzemiosła, żebym mogła w przyszłości na siebie zarobić. Mam wrażenie, że ona nie wierzy, że wrócisz. Nigdy jednak tego nie powiedziała. Ani ona, ani ojciec nie czują się zbyt dobrze. Oboje bolą nogi i plecy, a ojcu zaczyna coraz bardziej brakować tchu. Już prawie nie pracuje w polu. Słuch też mu się pogarsza. Oboje mają dobrze po pięćdziesiątce, a niewielu ludzi w Kalaw dożywa tego wieku. Moi rodzice mają szczęście. Nawet starzeją się razem. Co za dar! Gdybym miała wyrazić jedno życzenie, byłoby takie: żebyśmy i my mogli cieszyć się takim szczęściem. Chcę się z tobą zestarzeć. O tym marzę, zwijając cygara. O tobie i o naszym życiu.

Praca jest o wiele łatwiejsza, niż myślałam. Parę razy w tygodniu przychodzi ze wsi człowiek i przynosi naręczce suszonych liści thanata, stare gazety, łuski kukurydzy (używam ich jako filtra) i torbę tytoniowej mieszanki. Codziennie po południu siedzę przez parę godzin na ganku, kładę na liść garść tytoniu, przyciskam lekko, roluję w dłoniach, tak żeby był zwarty, ale niezbyt twardy, wkładam filtr, zwijam liść i przycinam na końcu. Ten człowiek mówi, że nigdy nie widział kobiety, która zwijałaby cygara tak szybko i bez wysiłku. Jego klienci są zachwyceni i twierdzą, że moje cygara mają specjalny zapach, który odróżnia je od cygar innych kobiet. Jeśli nadal będą się sprzedawały tak dobrze, to nie potrzebujemy się martwić o przyszłość.

Właśnie zaczęło padać. Podczas ulewy zawsze mam teraz gęsią skórkę.

Z miłością

Mi Mi

Mój Tygrysku!

Znalazłam tego motylka parę tygodni temu martwego na ganku. Sprasowałam go. To jeden z tych, których uderzenia skrzydełek lubisz najbardziej. Kiedyś powiedziałeś, że przypominają ci bicie mego serca. Nic nie brzmi tak słodko...

U Saw upuścił list. Wstał i podszedł do okna. Padało. Krople tworzyły na kałużach duże bańki, które szybko pękały.

Tin Win i Mi Mi zwariowali, co do tego nie było żadnej wątpliwości. Ani jednego gorzkiego słowa, nawet po roku milczenia! Ani śladu oskarżeń! Dlaczego do mnie nie piszesz? Gdzie są twoje odpowiedzi? Piszę do ciebie codziennie, a ty? Już mnie nie kochasz? Jest ktoś inny?

Jak to dobrze, że miłość nie jest chorobą zakaźną. Inaczej musiałby zwolnić całą służbę i wydezynfekować willę i ogród. Może i on się już zaraził, może zakocha się w którejś ze służących? — myśl tak absurdalna, że nie chciał się nią dłużej bawić.

Czy te listy zmieniają jakoś jego plany? Chyba nie. To miłosne szaleństwo przeminie, był o tym przekonany. Nie ma uczucia, które oparłoby się korozyjnej mocy czasu. Oddalenie i upływ lat rozbijają na kawałki również i tę miłość.

We wszystkich innych sprawach Tin Win okazał się od chwili przybycia nadzwyczaj użyteczny i kompetentny. Odwrócił przepowiedzianą przez astrologa klęskę. Interesy U Saw szły lepiej niż kiedykolwiek, i to pomimo że czasy były coraz trudniejsze. A najważniejsze, że nauczyciele w Saint Paul's High School, zbiegiem okoliczności jednej z najbardziej prestiżowych szkół w Birmie, uważali, że Tin Win jest niezwykle utalentowany. Wszyscy przepowiadali mu olśniewającą przyszłość. Za rok uzyska maturę, a wtedy przyjmie go każdy angielski uniwersytet, i na pewno zaoferują mu stypendium, twierdził dyrektor. Kraj będzie w przyszłości potrzebował rodzimych talentów.

U Saw to pochlebiało, ale martwiła go trwająca w Europie wojna. Zanosilo się na jej rozszerzenie. Japończycy posuwali się w głąb Azji i było kwestią miesięcy, może nawet tygodni, że zaatakują brytyjskie

imperium kolonialne. A wtedy — jak długo zdołają Anglicy przeciwstawić się w Europie Niemcom? W jego oczach było tylko kwestią czasu, by na wieży Big Ben zatrzepotała flaga niemiecka. Epoka Londynu jako stolicy świata zmierzała do nieuchronnego końca.

U Saw miał inne plany.

Rozdział 6

Tin Win wyobrażał sobie odbicie pasażerskiego parowca jako dość uroczyste. Na pokładzie załoga w białych mundurach. Muzyka. Powiewające na wietrze flagi i transparenty. Być może krótkie przemówienie kapitana. Tymczasem przeszło koło niego paru marynarzy w poplamionych olejem uniformach. Nie było żadnej orkiestry, flag, konfetti. Wsparł się o poręcz i spojrzał w dół, na nabrzeże. W cieniu jednego z magazynów stała konna furmanka i parę rikszy; woźnica i rikszarze spali w swoich pojazdach. Mostek już dawno podniesiono. Przed statkiem wciąż stało, czekając, paru umundurowanych mężczyzn z władz portu. Garstka odprowadzających wpatrywała się w czarny maszyn parowca i powiewała chusteczkami. Wyciągają szyje jak pisklęta, pomyślał Tin Win. Jego nikt nie odprowadzał. Na polecenie U Saw Hla Taw został w domu. Do portu zawiózł Tin Wina szofer. Dwóch tragarzy zabrało jego kufer i załadowało na statek. Dawno już poszli.

Ostatni raz widział U Saw wczoraj wieczorem. Zjedli razem kolację, po czym U Saw wręczył mu dokumenty podróży. Paszport i wizę do Stanów Zjednoczonych Ameryki. Jeden bilet na podróż do Liverpoolu, drugi przez Atlantyk. List do jego współnika, hinduskiego importera ryżu z Nowego Jorku, który miał się zająć Tin Winem w pierwszych miesiącach. Kopertę z pieniędzmi. Jeszcze raz wyjaśnił, czego od niego oczekuje. Co najmniej sześć listów rocznie ze szczegółowym sprawozdaniem. Dyplom uniwersytecki. Z wyróżnieniem. Jeszcze raz odmalował czekającą go po powrocie przyszłość. Zrobi z niego zarządcę, a potem współnika. Będzie należał do najbardziej wpływowych ludzi w stolicy. Niczego nie będzie mu brakowało.

Życzył mu wszystkiego dobrego. W podróży, na studiach. Po czym odwrócił się i poszedł do gabinetu. Nie było między nimi żadnego kontaktu fizycznego.

Tin Win patrzył w ślad za nimi i zastanawiał się, ile czasu

potrzeba, aby młode drzewo na nowo zapuściło korzenie po przesadzeniu. Kilka miesięcy? Rok? Dwa? Trzy? Mieszkał w Rangunie dwa lata i przez cały czas czuł się tu nie na miejscu. Pozostał w tym mieście cudzoziemcem. Drzewem, które podmuch wiatru mógł wyrwać i ponieść dalej.

W szkole nauczyciele szanowali go za osiągnięcia, koledzy uczniowie cenili jego gotowość do pomocy. Przyjaciół nie miał żadnych. Nie było nikogo, kto trzymałby go w Rangunie.

Patrzył na port i miasto. W słońcu późnego popołudnia lśniła złota iglica pagody Shwedagon. Niebo było błękitne, bez jednej chmurki. Rangun jest w grudniu całkiem przyjemny, pomyślał. Dni były ciepłe, ale niezbyt upalne, noce przyjemnie łagodne. Grudzień zapewniał każdemu parę tygodni wytchnienia pomiędzy wilgotnym żarem monsunu a wczesną wiosną, kiedy bezlitosne słońce wkłada kajdany na każdą żywą istotę, każdego człowieka, każde zwierzę, kiedy upał więzi w podwórkach i klatkach schodowych smród potu i odchodów, kiedy temperatura sięga czterdziestu stopni, a powietrze wydaje się zbyt gorące, by nim oddychać. Grudzień wyciąga mieszkańców z ich domów.

W tygodniach poprzedzających wyjazd Tin Win spędził wiele wieczorów na włóczędze po mieście. Po drodze zbierał pogłoski, co spadały na miasto niczym rój szarańczy na ryżowe pole. Każdy ściszony głos przy każdym stoisku z zupą dostarczał nowych. Tak jakby ludzie tylko tym się karmili. W Zatoce Bengalskiej zbiera się na tajfun stulecia, głosiła jedna z nich. Tygrys przepłynął basen portowy i pożarł pięcioosobową rodzinę wraz z ich oswojoną świnką. Co nie dość, że jest tragedią samą w sobie, ale na domiar złego, jak wie każdy, kto ma choćby najskromniejsze zaufanie do wróżbitów, oznacza zbliżające się trzęsienie ziemi. Niemieckie okręty blokują angielskie porty, mówiono, a co gorsza, Japończycy szykują się do ataku na Birmę. Gwiazdy nie były przychylnie dla Brytyjczyków, ani w Europie, ani w Azji. Jeśli inwazja zacznie się w środę lub w niedzielę, Birma jest właściwie stracona.

Tin Win przyjmował te plotki do wiadomości i w skromnym zakresie sam przyczyniał się do ich rozpowszechniania. Nie dlatego, by dawał im wiarę, raczej z poczucia obywatelskiego obowiązku. Nie obchodziło go, co gadają. Prawda, miał płynąć przez Zatokę Bengalską i

zawijać do angielskich portów, ale się nie bał. Ani trzęsień ziemi, ani Japończyków. Ani tajfunów. Ani niemieckich U-Bootów.

Kiedy właściwie opuścił go strach? Czy tego wieczoru, kiedy wuj zapowiedział, że on, Tin Win, będzie po skończeniu szkoły średniej studiował za granicą? Czy w parę dni później, kiedy U Saw oświadczył, że po powrocie poślubi córkę właściciela plantacji bawełny? A może stało się to wtedy, gdy był z Hla Taw u brytyjskiego krawca i spojrzął w lustro? Lustro, które trzymało przed nim dwóch sprzedawców i w którym przymierzał biały garnitur. Z kamizelką. Z najlepszej bawełny. Biała koszula, mankiety, krawat. Hla Taw potrafił go zawiązać. Tin Win odwrócił się, szukając tego kogoś, co za nim stoi. To nie mogło być jego odbicie. Kupili trzy garnitury, buty, bieliznę i koszule. Cały kufer. Tylko na rejs do Ameryki.

Nie, to nie był żaden z tych momentów. Jego strach rozwiewał się stopniowo. Nie wiedział, kiedy i jak to się zaczęło, był to proces długotrwały. Mango nie dojrzewa przez jedną noc.

Pamiętał pewne lipcowe popołudnie, kiedy zdał sobie sprawę, że ten proces ma miejsce. Był to jeden z tych niemożliwie gorących letnich dni, ale upał specjalnie mu nie przeszkadzał. Siedział, zlany potem, w parku nad Royal Lake. Przed nim przycupnęły dwa napuszone gołębie, zbyt znużone, by gruchać. Wpatrywał się w wodę i marzył o Mi Mi. Po raz pierwszy myśl o niej nie wywoływała tej wyniszczającej, niepohamowanej tęsknoty, która wysysała z niego wszelką radość życia. Żadnego strachu. Nawet smutku. Wiedział, że kocha Mi Mi bardziej niż kiedykolwiek, ale ta miłość go nie trawiła. Już nie. Nie przykuwała go. Ani do łóżka, ani do pniaka po ściętym drzewie. Nie odbierała mu sił.

Kiedy zaczęło padać, zamknął oczy. Krótka, ale rześista ulewa. Kiedy znów je otworzył, zapadał zmierzch. Wstał, przeszedł parę kroków i całym ciałem poczuł, że coś się zmieniło. Tak jakby urósł. Jakby odpadł od niego jakiś ciężar. Był wolny. Niczego już od życia nie oczekiwał. Nie dlatego, że był rozczarowany czy zgorzkniały. Nie oczekiwał niczego, bo nie istniało nic ważnego, czego by już nie przeżył. Posiadł wszelkie szczęście, jakie jest dostępne człowiekowi. Kochał i był kochany. Bezwarunkowo.

Wypowiedział to zdanie na głos, cicho, zaledwie poruszając

ustami. Kocham i jestem kochany.

To wszystko. Takie proste, takie skomplikowane.

Pewien był swojej i Mi Mi miłości, jak pewien był własnego ciała. Nikt nigdy nie zdoła odebrać mu tego szczęścia. Dopóki oddycha, będzie ją kochał i będzie przez nią kochany. Nawet jeśli Mi Mi mieszka o dwa dni drogi od niego. Nawet jeśli nie odpowiada na jego listy i stracił już wszelką nadzieję, że zobaczy ją w ciągu najbliższych kilku lat. Nawet jeśli nie mogą swej miłości dzielić z sobą codziennie i codziennie jej potwierdzać. To co ma, to więcej, niż większości ludzi dostępne jest przez całe życie. Musi tylko przestać pragnąć więcej. Nie może sobie pozwolić na chciwość. Chciwość oślepia i ogłusza. Zawstydział się, że był tak ślepy na własne szczęście.

Kiedy to zrozumiał i zaakceptował, zdał sobie sprawę, jak szczerze został obdarowany. Nie tkwił już ani w przeszłości, ani w przyszłości. Cieszył się każdym dniem, tak jakby budził się obok Mi Mi i przy niej zasypiał.

— Cumy rzuć! — wyrwał go z marzeń głos młodego oficera na mostku.

— Cumy rzuć! — powtórzyło dwóch mężczyzn na przystani. Liny z pluskiem wpadły do wody. Z komina uniosły się kłęby czarnego dymu. Statek zadrzał, rozległ się głośny, niski sygnał okrętowej syreny. Tin Win poczuł motylki w żołądku.

Rozejrzał się. Stojący obok starszy człowiek, ze wzrokiem utkwionym w Rangun, uchylił na chwilę kapelusza. W oczach miał dziwną melancholię. Tak jakby opuszczał coś więcej niż pełne ludzi miasto. Za nim dwie Angielki powiewały białymi chusteczkami i płakały.

Tin Win przetarł twarz dłońmi. Nawet pot nie zwilżył mu policzków.

Rozdział 7

W miarę opowiadania zmęczenie wkradło się na jego twarz, choć dotąd tego nie zauważyłam. Zmarszczki wokół ust i na czole się pogłębiły, policzki bardziej zapadły. U Ba siedział nieruchomo i przenikał mnie na wylot niewidzącym wzrokiem.

Czekałam.

Po paru minutach milczenia sięgnął do kieszeni i bez słowa wyjął starą kopertę. Była pognieciona i poprzecierana, najwyraźniej rozprostowywano ją i składano wiele razy. Adres nieco zbladł, ale niebieski atrament, duże litery, dziwnie zamaszysty charakter pisma sprawiały, że wciąż był w pełni czytelny. Na odwrocie koperty adres zwrotny: Halpin Road 7, Rangun.

Nie, to nie mogła być ręka mojego ojca. Pismo było zbyt energiczne, brało siebie zbyt serio, by mogło do niego pasować. Otworzyłam kopertę.

Rangun, 14 grudnia 1941 r.

Szanowna Mi Mi!

Mój bratanek Tin Win polecił mi panią powiadomić, że parę dni temu opuścił kraj. W chwili gdy to piszę, jest w drodze do Ameryki, gdzie po przyjeździe do Nowego Jorku podejmie studia prawnicze.

Przez kilka tygodni przed wyjazdem był bardzo zajęty przygotowaniami do podróży, nic więc dziwnego, że nie znalazł czasu, by skontaktować się z Panią osobiście albo przynajmniej napisać parę słów. Jestem przekonany, że Pani to zrozumie. Prosił, abym podziękował Pani w jego imieniu za niezliczone listy, jakie napisała Pani do niego w ciągu ostatnich dwóch lat. Obowiązki szkolne i osobiste, jakie miał w Rangunie, nie pozostawiły mu niestety czasu, by Pani odpowiedzieć.

Ponieważ nie spodziewa się, by wrócił wcześniej niż za kilka lat, gdy ukończy studia, prosi, aby odtąd zaprzestała Pani dalszej

korespondencji.

Życzy Pani wszystkiego najlepszego.

Z poważaniem

U Saw

Przeczytałam list po raz drugi i trzeci. U Ba patrzył na mnie wyczekująco. Znów był przytomny i czujny. Tak jakby wspomnienia tylko na chwilę rzuciły cień na jego twarz.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Wprost nie sposób sobie wyobrazić, jak musiał ją zranić ten list! Jaka musiała się czuć zdradzona, opuszczona! Przez ponad dwa lata nie dostała od mojego ojca ani słowa. Napisała setki listów, a te parę linijek to była jedyna odpowiedź, jaką kiedykolwiek otrzymała. Siedziała tam, w Kalaw, zwijała cygara i marzyła o moim ojcu, o życiu z nim, nie wiedząc nawet, czy go jeszcze kiedyś zobaczy, zależna od braci, którzy jej tak naprawdę nie rozumieli... Jej samotność mnie przytłaczała. Pierwszy to chyba był raz, kiedy coś wobec niej poczułam.

Na początku mojej podróży była tylko imieniem, pierwszym przystankiem w pogoni za moim ojcem, niczym więcej. Z czasem zyskała twarz i ciało. Była kaleką, która ukradła mi ojca, i byłam o nią zazdrosna. A teraz? To ją oszukiwano, ją wprowadzano w błąd! Rozwścieczył mnie list U Saw. Już nie patrzyłam na Mi Mi jak na zagrożenie. Była czymś więcej niż środkiem do celu. Może sama była celem?

— Jak przyjęła ten list? — spytałam.

U Ba wyjął z kieszeni drugą kopertę, jeszcze bardziej pogniecioną niż pierwsza. Stempel pocztowy: Kalaw, 26.12.1941.

Adresat: U Saw, Halpin Road 7, Rangun

Nadawca: Mi Mi

Wielce Szanowny U Saw!

Jakże mam Panu podziękować, że pofatygował się Pan, aby do mnie napisać? Czuję się upokorzona, że podjął Pan dla mnie ten wysiłek. Naprawdę, nie było takiej konieczności.

Pański list sprawił mi radość, której nie potrafię wprost opisać. Tin Win jest w drodze do Ameryki! Ma się dobrze! Pomimo tylu obowiązków i absorbujących przygotowań do podróży znalazł czas, aby Pana poprosić o napisanie do mnie! Gdyby Pan wiedział, jak mnie to uszczęśliwia! Jeszcze raz pragnę powtórzyć, jak niezmiernie jestem Panu wdzięczna, że uszanował Pan jego prośbę.

Oczywiście ja także uszanuję jego życzenie.

Pozostaję z wielkim i niezachwianym szacunkiem

Mi Mi

U Ba złożył list i włożył go z powrotem do koperty. Uśmiechnęliśmy się do siebie. Nie doceniłam Mi Mi... Widziałam w niej bezradną ofiarę, niezdolną do obrony przed knowaniami U Saw. Była mądrzejsza i silniejsza, niż sądziłam. Ale i tak było mi jej żal. Jakże musiała się czuć samotna! Jak sobie radziła bez Tin Wina? Jak przetrwała długą rozłąkę?

— Z początku nie było łatwo — powiedział U Ba bez pytania z mojej strony. — Po roku zmarli jej rodzice. Najpierw ojciec, w dwa miesiące po nim matka. Najmłodszy brat dołączył do ruchu narodowowyzwoleńczego i wkrótce podczas walk w dżungli został ranny. Nigdy więcej go nie widziała. Japończycy mieli go jakoby zamęczyć na śmierć. Rodzina najstarszego brata zginęła podczas nalotu bombowego Anglików w roku 1945. Trudne to były czasy. A mimo to — wprost nie mam na to słów, Julio... — mimo to z każdym rokiem była coraz piękniejsza. Przeżywała śmierć bliskich, jasne, tęskniła też za Tin Winem, ale nie żyła ze złamanym sercem. Taki ból piętnuje twarz na zawsze, ale ona go nie знаła. Jej rysy nigdy nie stwardniały, nawet w starości. Może trudno w to uwierzyć, Julio, ale przestrzenne oddalenie czy bliskość naprawdę nie miały dla niej znaczenia.

Nieraz się zastanawiałem, jakie jest źródło jej urody, jej promienności. To nie wielkość nosa, odcień cery, kształt warg czy oczu decyduje o tym, czy ktoś jest piękny czy brzydki. Co w takim razie? Czy może mi to pani powiedzieć jako kobieta?

Pokręciłam głową.

— Powiem pani: miłość. To miłość sprawia, że jesteśmy piękni. Czy zna pani choć jednego człowieka, który kocha i jest kochany, kochany bezwarunkowo, a zarazem jest brzydki? Nie ma co się pani zastanawiać nad odpowiedzią. Nie ma takiego człowieka.

Nalał herbaty i upił łyk.

— Nie było chyba wtedy w Kalaw ani jednego mężczyzny, który nie chciałby wziąć jej za żonę. Nie przesadzam. Po wojnie zaczęli przyjeżdżać konkurenci z całego stanu Shan, niektórzy podobno nawet z Rangunu i Mandalay. Aż tam dochodziła wieść o jej urodzie. Przywozili jej prezenty, złotą i srebrną biżuterię, drogie kamienie i kosztowne tkaniny, które Mi Mi rozdzielala później pomiędzy mieszkańców wsi. Wszystkim odmawiała. Również później, kiedy Tin Wina nie było dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści lat.

Byli mężczyźni, co chcieli umrzeć, w nadziei że w przyszłym wcieleniu odrodzą się jako jedno z jej zwierząt, świnia, kurczak czy pies.

Mi Mi mieszkała w rodzinnym domu z krewnym, który się o nią troszczył. Trzymała kury, dwie świnie, starego chudego wodnego bawołu i psa. Każdego popołudnia siedziała na ganku i zwijała cygara, kołysząc się lekko z zamkniętymi oczami w przód i w tył. Poruszała ustami, tak jakby opowiadała komuś jakąś historię. Nikt, kto miał szczęście widzieć ją przy tej pracy, nigdy nie zapomni wdzięku i elegancji jej ruchów.

Jej cygara naprawdę miały pewien szczególny, jedyne w swoim rodzaju aromat. Były słodsze, ze śladem wanilii, której smak długo jeszcze pozostawał w ustach. W parę lat po odzyskaniu niepodległości rozeszła się pogłoska, że jej cygara nie tylko nadzwyczajnie smakują, lecz mają także nadprzyrodzone własności. Nie zdziwi to pani, Julio. Zdążyła się już pani przekonać, jak przesądni jesteśmy my, Birmańczycy.

Pewien wdowiec wypalił wieczorem jej cygaro. W nocy ukazała mu się zmarła żona i dała mu swoje błogosławieństwo, jeśli chodzi o małżeństwo z córką sąsiada, której pragnął od dawna. Do tej pory dziewczyna konsekwentnie odrzucała wszystkie jego starania, kiedy jednak nazajutrz rano, jak każdego dnia, przykucnął przed jej gankiem, by śpiewać serenady, wyszła z domu i spędziła z nim cały dzień i

wieczór. Mężczyzna nie posiadał się z radości. Przed snem wypalił kolejne cygaro Mi Mi i w smudze dymu ujrzał twarz żony z zachęcającym uśmiechem na ustach. Nazajutrz rano dziewczyna znowu przy nim usiadła, a w tydzień później przyjęła jego oświadczenia. Wdowiec przypisywał swoją pomyślność cygarom Mi Mi i odtąd nie było w Kalaw mężczyzny, który przed spacerem z upragnioną kobietą nie wypaliłby choć jednego. Szybko zaczęto je traktować jako lekarstwo na wszelkie choroby, zwłaszcza wypadanie włosów, zatwardzenie, rozwolnienie, ból głowy, ból żołądka i właściwie na każdą dolegliwość.

Z biegiem lat Mi Mi stała się kimś w rodzaju Mędrzyni z Kalaw, cieszyła się większym poważaniem niż burmistrz, astrologowie i lekarze razem wzięci. Ludzie, którzy odnosili się z lekceważeniem do astrologów, przychodzili do niej po radę, gdy trzeba było załagodzić konflikt pomiędzy małżonkami, rodzeństwem czy sąsiadami.

U Ba wstał, złożył starannie koperty i wetknął je za pasek *longyi*. Jak trafiły do jego rąk? Jaką rolę odegrał w tej historii?

Skąd zna treść korespondencji pomiędzy Mi Mi a Tin Winem? Nie od mojego ojca, który przecież nic nie wiedział o listach Mi Mi. W jego opisie zdarzeń było wiele szczegółów, których nie mógł mu dostarczyć mój ojciec.

— Czy mogę o coś zapytać? Kto panu opowiedział tak szczegółowo historię Mi Mi i Tin Wina?

— Pani ojciec.

— On nie może być jedynym źródłem. Pańska opowieść zawiera tyle rozmaitych szczegółów, opisał pan tyle wrażeń i uczuć, o których mój ojciec w ogóle nie mógł wiedzieć... Kto opowiedział panu resztę?

— Podniosła pani ważny punkt, i rozumiem pani ciekawość. Proszę dać mi możliwość, abym jeszcze przez chwilę wstrzymał się z odpowiedzią. Kiedy pozna pani całą historię, nie będzie już pani miała żadnych pytań.

— Skąd pan ma te dwa listy? — nalegałam.

— Od Su Kyi. U Saw bywał w Kalaw na początku lat pięćdziesiątych. Po wojnie zaczęły go prześladować niepowodzenia, czy może raczej powinienem powiedzieć: opuściło go szczęście, co przecież nie znaczy jedno i to samo. Podczas okupacji kolaborował z

Japończykami, co nie przyczyniło mu popularności ani wśród Anglików, ani w ruchu niepodległościowym. Wkrótce po ponownym przejęciu kraju przez Brytyjczyków spłonęło kilka jego młynów. Przyczyny pożaru nie ustalono. W latach po odzyskaniu niepodległości doszło w naszym kraju do licznych mordów na tle politycznym i niekończącej się walki pomiędzy różnymi frakcjami. U Saw najczęściej bywał po przegranej stronie, w związku z czym przepadła znaczna część jego fortuny. Podobno usiłował kupić sobie stanowisko ministra. Dwukrotnie przyjechał na parę dni do Kalaw. Podejrzewaliśmy, że w stolicy stało się dla niego zbyt niebezpiecznie. Za każdym razem przywiózł ze sobą mnóstwo bagażu, głównie segregatorów i teczek z dokumentami, które zostawił w domu. Trzeciej wizyty nie przeżył. Su Kyi znalazła te listy wśród rzeczy, które po nim zostały.

— W jaki sposób umarł? Zamordowano go?

— Parę osób, które go znały, tak później twierdziło. Trafił go piorun, kiedy grał w golfa.

— Znał go pan osobiście?

— Spotkałem go przelotnie parę razy w Rangunie.

— Był pan w Rangunie?

— Chodziłem tam przez jakiś czas do szkoły. Byłem bardzo dobrym uczniem. Przyjaciel naszej rodziny był na tyle hojny, że opłacał mi przez parę lat naukę w Saint Paul High School. Dostałem nawet stypendium, żeby studiować fizykę na uniwersytecie w Wielkiej Brytanii. Miałem smykałkę do nauk przyrodniczych.

— Studiował pan w Anglii?

— Nie. Musiałem wrócić do Kalaw.

— Dlaczego?

— Moja matka źle się czuła.

— Coś poważnego?

— Nie. Starość. Nic jej nie bolało, ale codzienność stawała się dla niej coraz trudniejsza.

— Nie ma pan rodzeństwa?

— Nie.

— A innych krewnych nie było?

— Byli.

Pokręciłam z niedowierzaniem głową.

— To dlaczego się nią nie zaopiekowali?

— To był mój obowiązek. Byłem jej synem.

— Ależ U Ba! Pańska matka nie była poważnie chora. Po skończeniu studiów mógł pan ją zabrać do Anglii!

— Matka potrzebowała mnie już wtedy.

— Czy była inwalidką?

— Nie, skąd to pani przyszło do głowy?

Nie mogliśmy się porozumieć. Z każdą jego odpowiedzią byłem coraz bardziej wzburzona, a zarazem stawało się jasne, że z moją logiką nie zajdę daleko.

— Jak długo opiekował się pan matką?

— Trzydzieści lat.

— Ile?

— Trzydzieści lat — powtórzył. — Jak na nasze warunki dożyła bardzo późnego wieku.

Policzyłam.

— Czyli pomiędzy dwudziestką a pięćdziesiątką nie robił pan nic poza opiekowaniem się matką?

— Miałem przy niej całkiem sporo zajęcia.

— Nie twierdzą, że się pan wałkoniał! Po prostu... studia w Anglii... Otworzyłyby się przed panem wszystkie możliwości tego świata!

Teraz to on mnie nie rozumiał.

— Mógłby pan pracować naukowo jako fizyk! Przy odrobinie szczęścia dostałby pan posadę na którymś z prestiżowych amerykańskich uniwersytetów!

Dlaczego czułam się tak dotknięta? Bo rodzina i kultura U Ba wymagały od niego, żeby zmarnował swoje uzdolnienia w jakiejś zapadłej górskiej mieścinie? A może dlatego, że uważał to za oczywistość?

— Jestem w pełni zadowolony z mojego życia, Julio. Wprawdzie żona, którą bardzo kochałem, zbyt wcześnie umarła, ale to mogło mi się przytrafić w każdym miejscu na świecie.

Mówiliśmy różnymi językami. Czy naprawdę nie rozumiał, o co mi chodzi? Z każdym moim pytaniem oddalaliśmy się od siebie coraz

bardziej. Ja byłam coraz bardziej wzburzona, on zachowywał spokój. Tak jakbym to ja zmarnowała życie, nie on!

— Nigdy pan nie żałował, że wrócił pan do Kalaw?

— Żałować mogę tylko takiej decyzji, którą podjąłem świadomie i z własnej woli. Czy żałuje pani, że pisze lewą ręką? To, co ja zrobiłem, rozumie się samo przez się. Każdy Birmańczyk postąpiłby w mojej sytuacji tak samo.

— Dlaczego nie wrócił pan do Rangun, kiedy matka umarła? Nadal mógłby pan mieć możliwość wyemigrowania do Anglii.

— Po co? Czy koniecznie trzeba oglądać świat? Tu, w tej wiosce, w każdym domu, w każdej chacie znajdzie pani wszystkie uczucia, do jakich zdolny jest człowiek: miłość i nienawiść, zazdrość i strach, radość i smutek. Nie musi ich pani szukać. Trzeba je tylko dostrzec.

Popatrzyłam na niego. Widok był poruszający: niewysoki mężczyzna, odziany w łańchmany, z pieńkami zamiast zębów, który przy odrobinie szczęścia mógłby być profesorem i mieszkać w luksusowym apartamencie na Manhattanie albo w domu na londyńskim przedmieściu... Kto z nas dwojga stracił miarę? Ja z moimi wymaganiami czy on z jego skromnością? Nie byłam pewna, co wobec niego czuję. Nie było to współczucie... Był to osobliwy rodzaj sympatii. Miałam ochotę go ochraniać, choć wiedziałam przecież, że mojej ochrony nie potrzebuje. Zarazem czułam się przy nim bezpiecznie, wręcz przytulnie. Tak jakby to on mnie przed czymś osłaniał. Ufałam mu. Dotąd myślałam, że trzeba najpierw poznać człowieka, aby poczuć się przy nim blisko.

Rozdział 8

Przypomniał mi się ojciec. Staliśmy na brooklińskim moście w Nowym Jorku. Miałam osiem czy dziewięć lat. Był jesienny dzień z chłodnym wiatrem, w którym wyczuwało się już tchnienie zimy. Byłam za lekko ubrana i marzłam. Ojciec zarzucił mi na ramiona marynarkę. Rękawy były o wiele za długie, tonęłam w niej, ale była ciepła. Pod stopami miałam deski, przez których szczeliny widać było refleksy słońca, tańczące na powierzchni East River. Czy ojciec potrafiłby mnie uratować, gdyby w tej chwili most się pod nami załamał? Oceniałam odległość dzielącą nas od brzegu. Był dobrym pływakiem; nie, nie miałam wątpliwości. Nie wiem, ile razy tak staliśmy. Często bez słowa.

Ojciec lubił te miejsca w Nowym Jorku, które właściwie interesują tylko turystów. Promy Circle Line, kursujące wokół Manhattanu. Empire State Building. Statuę Wolności, mosty. Tak jakby był tu tylko przejazdem. Najbardziej pociągał go prom na Staten Island. Bywało, że po całym dniu pracy szedł na przystań, żeby się nim przejechać tam i z powrotem. Pamiętam, jak staliśmy raz, wsparci o poręcz, tuż nad samochodami, a on powiedział, że trudno mu uwierzyć, jak dalece zmienił się port i miejski pejzaż. Kiedy zamknie oczy, wciąż widzi ten sam obraz, co w tamten mroźny poranek w styczniu czterdziestego drugiego roku, kiedy wiatr był tak lodowaty, że prawie nikt nie mógł wytrzymać na pokładzie oprócz niego.

Nie mogłam wtedy zrozumieć, co go ciągnie w te miejsca, których unika większość nowojorczyków z wyjątkiem przybyszów z prowincji. Potem mi się to znudziło, a jako nastolatka uważałam to za żenujące i więcej z nim nie chodziłam. Teraz myślę, że właśnie wśród turystów znajdował potrzebny dystans pomiędzy sobą a miastem, do którego nigdy tak naprawdę nie należał. Podejrzewam, że były to jego znikające punkty, kiedy tęsknota stawała się nie do zniesienia. Czy czuł się tam bliżej Mi Mi? Czy widział siebie, jak opuszcza Nowy Jork na pokładzie statku czy samolotu? Czy o tym marzył?

Podeszliśmy z U Ba wolą dróżką na wierzchołek. Było już po południu. Przed chatami paliły się pierwsze ognie; wiatr rozwiewał dym po podwórkach. Przywykłam już do wieczornej woni płonącego drewna.

Nie wiedziałam, dokąd idziemy. U Ba powiedział, że jest tylko jedno miejsce, gdzie może dokończyć opowieść. Wstał, spakował do torby termos i kubki, odniósł ławkę na miejsce i gestem zachęcił mnie, abym za nim szła. Spojrzał na zegarek i zwolnił kroku. Tak jakbyśmy przyszli za wcześnie na umówione spotkanie.

Byłam zdenerwowana i niespokojna. Kto na nas czeka? Czy idziemy na spotkanie z ojcem i Mi Mi?

— Niewiele więcej mogę pani opowiedzieć — rzekł U Ba, przystając na chwilę. — O jego życiu w Ameryce wie pani więcej ode mnie.

Znowu to pytanie, którego unikałam od dwóch dni. Co ja tak naprawdę wiedziałam?

Miałam wspomnienia. Wiele pięknych, czułych wspomnień, które bardzo sobie ceniłam, ale co one są warte, jeśli chodzi o rozumienie ojca? To świat widziany oczami dziecka. Nie odpowiedzą na pytania, które krążyły mi w głowie. Dlaczego ojciec nie wrócił do Kalaw po wojnie?

Dlaczego ożenił się z moją matką? Kochał ją? Czy zdradzał ją z Mi Mi, czy Mi Mi z nią?

— U Ba, dlaczego mój ojciec został po skończeniu prawa w Nowym Jorku? — Zaskoczył mnie mój głos. To był ton mojej matki, gdy próbowała powściągnąć furję.

— A jak pani sądzi, Julio?

Nie chciałam niczego sądzić. Chciałam odpowiedzi. Prawdy.

— Nie wiem.

— Czy ojciec miał jakiś wybór? Gdyby wrócił do Birmy, musiałby się podporządkować życzeniom wuja. Był jego dłużnikiem. U Saw przyjął na siebie rolę ojca, a woli ojca syn się nie sprzeciwia. To nie Mi Mi czekała na niego w Rangunie, lecz zaaranżowane życie. Młoda narzeczona. Wielka firma. Nowy Jork był jego jedyną szansą, żeby od tego uciec. — Spojrzał na mnie, jakby chciał wyczytać w moich oczach, czy mnie przekonał. — Proszę nie zapominać — ciągnął — że to było

pięćdziesiąt lat temu. Jeśli chodzi o rodzinę i rodzinne zobowiązania, jesteśmy bardzo konserwatywnym krajem, zarówno wtedy, jak obecnie.

Pomyślałam o decyzji U Ba, by zamiast iść na studia, opiekować się matką. Może należy po prostu zaakceptować, że ani jego decyzji, ani decyzji ojca nie powinnam oceniać według własnych standardów? Czy moja rola to ferowanie wyroków? Przyjechałam tu odszukać ojca, zrozumieć go, czy go sądzić?

— Mógł wrócić po śmierci U Saw. — Była to sugestia, ukryte pytanie, a nie zarzut.

— U Saw zmarł w roku 1958.

Trzy miesiące po narodzinach mojego brata... Czy to dlatego nigdy nie łączyła ich szczególnie bliska więź? Czy został z moją matką dla jego dobra?

— Dlaczego ożenił się z moją matką? Dlaczego nie poczekał po prostu, aż U Saw umrze, i nie wrócił do Mi Mi?

— Obawiam się, że na to pytanie pani nie odpowiem.

Po raz pierwszy wyczułam w głosie U Ba ślad irytacji. Był raczej zmieszany niż zły. Przypomniał mi się list matki, który napisała do mnie tuż przed moim wyjazdem. Ojciec długo nie chciał się z nią ożenić, przestrzegał ją jeszcze na krótko przed ślubem. Dlaczego w końcu ustąpił? Czy czuł się samotny po wszystkich tych latach przeżytych na własną rękę w Nowym Jorku? Szukał pociechy? Liczył, że pomoże mu to zapomnieć o Mi Mi? Biorąc pod uwagę wszystko, co już wiedziałam, wydawało się to niezwykle mało prawdopodobne. Czy kochał matkę? Nie potrafiłam pomyśleć wyraźnie tego zdania. Brzmiało nieprawdziwie. W każdym razie z punktu widzenia matki. Czy miał nadzieję, że w końcu ją pokocha? Czy pragnienie posiadania własnej rodziny stało się w końcu tak wielkie, że się poddał?

Może ją kochał, tylko ona tego nie dostrzegала, nie mogła w to uwierzyć, bo nie był to jej styl miłości?

Żał mi było matki. Pamiętałam jej twarde, zgorzkniałe rysy podczas lunchu. Słyszałam jej zimny, ostry głos, kiedy ojciec wracał późno do domu, bo znowu popłynął promem na Staten Island. Wspominałam, jak co jakiś czas, w regularnych odstępach, spędzała dni w zaciemnionym pokoju, przykuta do łóżka przez jakąś tajemniczą

chorobę, której nazwy my, dzieci, nigdyśmy się nawet nie dowiedzieli. Nikomu oprócz domowego lekarza nie wolno było jej oglądać, nawet ojcu. Teraz wiem, że cierpiała na depresję. Obojgu rodzicom lepiej by było bez siebie nawzajem, zbyt późno jednak to spostrzegli.

Żał mi było ich obojga. Cokolwiek czuł ojciec do matki, jakkolwiek cieszyły go niektóre chwile spędzane z nami, dziećmi, znajdował się nie tam, gdzie było jego miejsce. Obok Mi Mi.

Czy jego to była wina, bo nie oparł się naporowi matki? Czy jej, bo wymagała od niego czegoś, czego nie mógł jej dać? Czy zawiniły niefortunne okoliczności, fałszywe wrażenia, zraniona próżność? Niezdolność do tego, aby wybaczyć i zapomnieć? Czy kwestia winy ma w ogóle jakieś znaczenie?

W milczeniu szliśmy dalej. Ścieżka schodziła łagodnie w dół, po czym skręcała ostro ku dziko rozrośniętemu żywopłotowi. Przedarliśmy się przez krzaki, przecięliśmy linię kolejową, podeszliśmy w górę łąką i skręciliśmy na ścieżkę, która zaprowadziła nas w nieco odosobniony zakątek Kalaw. Minęliśmy kilka podwórek, na których bawiły się dzieci, i stanęliśmy przed jakąś furtką. Obejście było zadbane. Niedawno ktoś pozamiatał podwórko. W korycie wystawiono świeżą karmę dla kur. Pod gankiem widniał stos narąbanego drewna i sterta gałązek na podpałkę. Dom, choć nieduży, był w znakomitym stanie. Na ganku dostrzegłam blaszane garnki i zastawę stołową. Usiedliśmy na szczycie schodków i czekaliśmy.

Rozejrzałam się po podwórku. Potężny eukaliptus dzielił je od obejścia sąsiadów. Przed kurnikiem widniał drewniany pień do siedzenia, przed nim kamienny moździerz. Spojrzałam na grube kolumnienki poręczy na ganku — dziecko mogło z łatwością się na nich podciągnąć. Jeszcze parę sekund... i kawałki układanki wskoczyły na swoje miejsce. Wiedziałam, gdzie jesteśmy. Zerwałam się i okręciłam wokół.

Słyszałam w domu oddech mojego ojca. Słyszałam odgłos czołgania się Mi Mi po podłodze. Słyszałam ich szepty. Ich głosy. Złapałam ich.

U Ba podjął opowieść.

Rozdział 9

Cisza zapadła w herbaciarni, gdy nieznajomy doprowadził swą opowieść do końca. Słyszeć było tylko migotanie świec i jednostajne oddechy gości. Nikt się nie poruszył. Ustało nawet brzęczenie much. Siedziały bez drgnienia na lepkich od cukru ciastkach.

Tin Win opowiedział wszystko, co opowiedzieć musiał. Teraz zawiódł go głos. Usta formowały słowa, ale nie było ich już słyszeć. Czy jeszcze kiedykolwiek coś powie? Wstał, pociągnął łyk zimnej herbaty, przeciągnął się krótko i ruszył do drzwi. Czas był najwyższy. Obejrzał się raz jeszcze i pożegnał się. Uśmiech był ostatnią rzeczą, jaką u niego widzieli.

Na ulicy stała ciężarówka pełna żołnierzy. Dzieci w zielonych mundurach. Ludzie zdawali się ich nie dostrzegać, a mimo to obchodzili samochód szerokim łukiem. Zrobiło się późno.

Tin Win zacisnął mocniej węzeł *longyi* i powoli ruszył główną ulicą. Na prawo miał klasztor. W paru miejscach wyłamano deski ze ścian, a zardzewiały blaszany dach nie sprawiał wrażenia, by dawał szczególną ochronę przed deszczem. Tylko dzwoneczki pagody dźwięczały jak niegdyś. Naprzeciwko szło dwóch młodych bosonogich mnichów. Ich czerwonobłękitne szaty zszarzały od kurzu. Uśmiechnął się do nich, a oni odpowiedzieli mu uśmiechem.

Minął opustoszały plac targowy, przeszedł na małej stacyjce przez tory i powoli ruszył z boczem w górę, gdzie było jej obejście. Pewien był, że mieszka w rodzinnym domu. Coraz to przystawał i się rozglądał. Nie śpieszył się. Po pięćdziesięciu latach? Nie był nawet niespokojny. Z chwilą gdy boeing 737 linii Thai Air wylądował na lotnisku w Rangunie, wszelka nerwowość się rozwiła i pozwalał sobie teraz na luksus radości. Radości bez granic, niepodbarwionej już strachem ni ostrożnością, z godziny na godzinę coraz większej. Zatracił się w niej i była teraz tak wielka, że prawie nie mógł powstrzymać łez. Pięćdziesiąt lat minęło. I oto był.

Widok Kalaw go fascynował. Obcy i znajomy zarazem. Pamiętał zapachy. Wiedział, jak pachnie wieś zimą i latem, w dni targowe i w święta, gdy uliczki i domy wypełnia woń kadzidełek. I znał odgłosy tego miejsca. Jego Kalaw jęczało i charczało, piszczalo i turkotało, umiało śpiewać i płakać. Nie wiedział jednak, jak wygląda. Ostatni raz widział je jako dziecko, i to przez zasnuęte mgłą oczy. Rozpoznał klub angielski, gdzie w pustym basenie rosły młode drzewka, za nim kort, a powyżej hotel Kalaw w stylu Tudorów, biały z czerwonym dachem. Taki jak go opisywała Mi Mi. Gdzieś za kolejnym wzniesieniem musiał mieszkać z Su Kyi.

Stał na rozwidleniu dróg, nie wiedząc, w którą iść stronę. Na wprost czy na lewo, gdzie podejście jest bardziej strome? Przez cztery lata nosił tę ścieżkę Mi Mi, nawet jej nie widząc. Zamknął oczy. Nie będą mu teraz potrzebne. Nogi będą musiały pamiętać, nos, uszy. Coś pociągnęło go na wprost. Ruszył z zamkniętymi oczyma. Pachniało dojrzałymi mango i jaśminem. Rozpoznał te zapachy. Musi tu być ten płaski kamień, na którym czasem odpoczywali. Znalazł go bez trudu.

Słyszał bawiące się na podwórkach dzieci, ich śmiechy i krzyki. Nie były to głosy z jego dzieciństwa, ale brzmiały tak samo jak wtedy. Zdumiony był, że tak pewnie porusza się z zamkniętymi oczyma. Kiedy próbował tego w Nowym Jorku, wpadał na przechodniów, na uliczne lampy i drzewa. Raz o mało nie przejechała go taksówka.

Nie potknął się ani razu.

Stał przed ogrodową furtką.

Woń eukaliptusa. Jakże często myślał o tym drzewie. Ile godzin przeleżał bezsennie po nocach, próbując przywołać w nozdrzach ten zapach.

Otworzył furtkę. Jak często wyobrażał sobie ten moment.

Wszedł. Podbiegły mu do nóg dwa psy. Kury siedziały w kojcu.

Słyszał dochodzące z domu głosy. Zdjął sandały. Stopy pamiętały ziemię. Miękką, ciepłą, łaskoczącą go pomiędzy palcami.

Wymacał drogę ku schodkom, ujął poręcz. Ręce pamiętały drewno. Nic się nie zmieniło.

Wszedł po schodach, stopień po stopniu. Nie śpieszył się. Nie po pięćdziesięciu latach.

Ruszył wzdłuż ganku. Głosy nieco przycichły. Kiedy stanął w drzwiach, zamilkły.

Usłyszał, jak ludzie przemykają obok niego i wychodzą. Nawet ćmy, co krążyły dotąd wokół żarówki, wyfrunęły przez okno w mrok. Chrząszcze i karaluchy zniknęły pośpiesznie w szczelinach desek.

Wszystko ucichło.

Podszedł do niej, nie otwierając oczu. Już ich nie potrzebował.

Ktoś sporządził dla niej łóżko.

Przykląkł przed nim. Jej głos. Jej szept. Uszy pamiętały.

Jej ręce na jego twarzy. Ciało pamiętało.

Pamiętały usta i wargi. Pamiętały dłonie i nos. Jak długo tęsknił za tym zapachem. Jak on bez niej wytrzymał? Skąd wziął siłę, by przeżyć bez niej choćby dzień?

W łóżku było dosyć miejsca dla dwojga.

Jaka lekka się stała.

Jej włosy na jego twarzy. Jej łzy.

Tak wiele do podzielenia się, tak wiele do przekazania, tak mało czasu.

Nad ranem ich siły się wyczerpały. Mi Mi zasnęła w jego ramionach.

Wkrótce powinno wzejść słońce. Wiedział o tym ze śpiewu ptaków. Położył głowę na jej piersi. Nie mylił się. Serce biło słabo, ze zmęczeniem. Wkrótce się zatrzyma.

Zdażył w samą porę. Akurat.

Rozdział 10

Przed południem znalazł ich jeden z krewnych. Był już wcześniej, rano, i pomyślał, że śpią.

Głowa Tin Wina spoczywała na jej piersi, ona obejmowała go rękami za szyję. Kiedy wrócił w parę godzin później, byli bladzi i zimni.

Człowiek zbiegł pędem do wsi, aby wezwać lekarza ze szpitala.

Doktor nie był zaskoczony. Mi Mi od ponad dwóch lat nie opuszczała domu i podwórka, ostatni rok spędziła w łóżku. Lada dzień spodziewał się jej śmierci. To, co słyszał w stetoskopie, nie wróżyło nic dobrego. Nie pojmował, jak ona może żyć przy tak słabym sercu i z zapaleniem płuc. Parę razy proponował jej przewiezienie do stolicy. Opieka medyczna, choć także marna, mimo wszystko jest tam lepsza niż tutaj. Odmówiła. Kiedy ją spytał, jak na litość boską udaje jej się przy wszystkich jej dolegliwościach pozostać przy życiu, tylko się uśmiechała. Zaledwie kilka dni temu odwiedził ją i przyniósł trochę leków. Zdumiał się, że wygląda tak zdrowo. Lepiej niż w poprzednich miesiącach. Siedziała wyprostowana w łóżku, nuciła coś do siebie, we włosach miała żółty kwiat. Całkiem jakby na kogoś czekała.

Leżącego obok niej mężczyzny nie znał. Był w wieku Mi Mi, prawdopodobnie birmańskiego pochodzenia, ale z pewnością nikt z Kalaw ani z okolicy. Pomimo zaawansowanego wieku zęby miał w nienagannym stanie. Doktor nigdy też nie widział tak dobrze utrzymanych stóp. Nie były to stopy człowieka, który całe życie chodził na ogół boso. Ręce nie były rękami wieśniaka. Nosił szkła kontaktowe. Być może przyjechał z Rangun.

Na oko sprawiał wrażenie zdrowego. Na temat przyczyn zgonu lekarz mógł tylko spekulować.

„Zatrzymanie akcji serca” — napisał na kartce.

Wieść o śmierci Mi Mi rozeszła się po okolicy równie szybko, jak poprzedniego wieczoru wiadomość o powrocie Tin Wina. Po południu pojawili się na podwórzu pierwsi mieszkańcy wsi z niewielkimi

wieńcami ze świeżego jaśminu i bukietami orchidei, frezji, mieczyków i geranium. Składali je na ganku, a gdy zabrakło na nim miejsca, układali na schodach, przed domem i na podwórku. Inni przynosili jako ofiarę owoce mango i papai, banany i jabłka, i układali niewielką piramidę z owoców. Mi Mi i jej ukochanemu nie powinno niczego brakować. Zapalano kadzidelka i wtykano je w ziemię albo w wypełnione piaskiem wazonny.

Rolnicy przychodzili ze swych pól, mnisi ze swych klasztorów, rodzice przyprawiali dzieci, a jeśli ktoś był zbyt stary lub zbyt słaby, by wejść na wzgórze o własnych siłach, wnosili go sąsiedzi lub przyjaciele. Z nastaniem wieczoru podwórce pełne było ludzi, owoców i kwiatów. Była łagodna, bezchmurna noc i zanim księżyc wzniósł się ponad góry, droga i przyległe podwórka wypełniły się żałobnikami. Mieli ze sobą świece, latarki i lampy naftowe, i ktokolwiek spojrział z ganku Mi Mi, widział przed sobą morze światła. Porozumiewano się wyłącznie szeptem. Jeśli ktoś nie znał historii Tin Wina i Mi Mi, słyszał ją teraz, opowiadaną po cichu przez sąsiadów. Kilkoro najstarszych mieszkańców utrzymywało nawet, że znali Tin Wina i nigdy nie wątpili, że powróci.

Nazajutrz rano opustoszały szkoły, herbaciarnie, nawet klasztor, i nie było nikogo w Kalaw, kto by nie wiedział, co zaszło. Do smutku z powodu śmierci Mi Mi dołączyła się od samego rana jakaś radość. Nie umarła bez niego. Opłaciło się jej wytrwałe czekanie. Nie omyliła się. Powrócił. Po pięćdziesięciu latach. Jest moc silniejsza niż przestrzeń i czas razem wzięte. Jest siła, co wiąże ludzi ze sobą, mocniejsza niż strach i zwątpienie. Siła, co przywraca wzrok niewidomemu i opiera się normalnym procesom rozkładu. Jedynie w to wierzyli tego dnia ludzie w Kalaw.

Procesja, która odprowadzała oboje zmarłych na cmentarz, rozbrzmiewała łkaniem i pieśnią. Ludzie płakali i śmiali się, i tańczyli. Stracili Mi Mi, ale zyskali w zamian coś niezwykłego. Nadzieję, którą zachowają i będą przekazywać z pokolenia na pokolenie. Nikt im tego nie odbierze.

Po konsultacji z wojskiem, proboszczem i innymi lokalnymi osobistościami, burmistrz wydał zgodę, by uhonorować Mi Mi i Tin

Wina jednym z najwyższych pośmiertnych odznaczeń, jakimi dysponowało Kalaw: ich ciała miały być spalone na cmentarzu.

Już o brzasku dwunastu młodych mężczyzn zaczęło zbierać chrust i gałęzie i układać je w dwa stosy. Prawie trzy godziny zajęło przejście żałobnego pochodu z domu Mi Mi na położony w innej części wsi cmentarz.

Nie było żadnych ceremonii ani przemówień. Ludzie nie potrzebowali pocieszenia.

Drzewo było suche, płomienie żarłoczne. W parę minut zwłoki stanęły w ogniu.

Dzień był bezwietrzny. Słupy dymu miały kolor bieli — jak kwiat jaśminu. Szły prosto w błękitne niebo.

Nikt, kto tam był, nie zapomni tego widoku.

Rozdział 11

Wiadomość o śmierci mojego ojca zastała mnie kompletnie nieprzygotowaną. Dlaczego? Czasu miałam pod dostatkiem. Ale czy cokolwiek w życiu może nas przygotować na utratę rodziców?

W miarę jak słuchałam U Ba, z godziny na godzinę rosła moja ufność i nadzieja. Jego opowieść ożywiła ojca bardziej, niż kiedykolwiek zdołałam ożywić go we wspomnieniach. Pod koniec był już tak blisko, że nie potrafiłam sobie wyobrazić jego śmierci. Żył. Zobaczę go znowu. Siedziałam na schodkach obok U Ba, pewna, że są tam, w domu. Słyszałam ich szepty. Ich głosy.

Koniec opowieści. Chciałam wstać i wejść do środka. Chciałam ich powitać i znowu objąć ojca ramionami. Parę sekund minęło, zanim zdałam sobie sprawę, co powiedział U Ba. Tak jakbym w ogóle nie zwróciła uwagi na finał jego historii. Nie weszliśmy do domu. Nie chciałam oglądać go wewnątrz. Nie teraz.

U Ba zabrał mnie do siebie. Zasnęłam, wyczerpana, na jego kanapie.

Kolejne dwa dni spędziłam w fotelu w jego bibliotece, przyglądając się, jak odnawia swe książki. Niewiele rozmawialiśmy. Siedział pochylony nad biurkiem, pogrążony w pracy. Sprawdzał stronice. Maczał w kleju drobiny papieru. Dorysowywał literki A i O. Ignorując wszelkie zasady skuteczności.

Spokój, z jakim oddawał się tej rutynowej czynności, uspokajał i mnie. U Ba nie zadawał żadnych pytań i niczego nie oczekiwał. Od czasu do czasu spoglądał na mnie znad okularów i uśmiechał się. Czułam się w jego obecności pewnie i bezpiecznie, choć padało niewiele słów.

Rankiem trzeciego dnia poszliśmy razem na targ. Zaproponowałam, że ugotuję mu obiad. Tak jak robiłam to dla moich przyjaciół na Manhattanie. Był zaskoczony, ale się ucieszył. Kupiliśmy ryż, warzywa, zioła i przyprawy. Chciałam przyrządzić wegetariańskie

curry, które robiłam czasem z moją hinduską przyjaciółką w Nowym Jorku. Poprosiłam go o obieraczkę do kartofli. Nie rozumiał, o czym mówię. Miał jeden nóż. Był tępy.

Nigdy nie gotowałam na otwartym ogniu. Przypaliłam ryż. Warzywa wykkipiały i zalały ogień. Cierpliwie rozpałił jeszcze raz.

Mimo wszystko obiad mu smakował. Tak twierdził.

Siedzieliśmy po turecku na kanapie i jedliśmy. Gotowanie odwróciło moją uwagę. Teraz smutek powrócił.

— Myślała pani, że go zobaczy? — spytał.

Pokiwałam głową.

— Przepraszam. To moja wina. Robiłem pani fałszywe nadzieje.

— Nie, przeciwnie. Pańskie opowieści tak mi go przybliżyły, że nie potrafię sobie wyobrazić, że nie żyje. To jest takie... ostateczne. Nie mogłam się z nim pożegnać. Ani w Nowym Jorku. Ani w Kalaw. To boli. Nie znałam takiego rodzaju cierpienia.

U Ba milczał.

— A pański ojciec żyje? — spytałam po chwili.

— Nie. Umarł parę lat temu.

— Chorował?

— Moi rodzice byli starzy, jak na birmańskie warunki nawet bardzo starzy.

— Czy ich śmierć zmieniła pańskie życie?

U Ba chwilę się zastanowił.

— Spędzałem z matką wiele czasu, więc częściej czuję się teraz samotny. Ale poza tym niewiele się zmieniło.

— Jak długo trwało, zanim przeszedł pan nad tym do porządku?

— Przeszedł do porządku? Nie jestem pewien, czy tak bym to nazwał. Kiedy przechodzimy nad czymś do porządku, idziemy naprzód, zostawiamy to za sobą. Czy zostawiamy zmarłych za sobą, czy raczej ich z sobą zabieramy? Myślę, że raczej to drugie. Towarzyszą nam. Pozostają z nami, choć w innej postaci. Musimy się nauczyć żyć z nimi i ich śmiercią. W moim przypadku ten proces trwał kilka dni.

— Tylko parę dni?

— Kiedy zrozumiałem, że ich nie straciłem, szybko wróciłem do równowagi. Myślę o nich każdego dnia. Zastanawiam się, co by

powiedzieli w danej chwili. Pytam ich o radę, nawet teraz, w moim wieku, kiedy trzeba będzie niedługo pomyśleć o własnej śmierci. — Wziął jeszcze trochę ryżu i ciągnął: — Nie potrzebuję się smucić z powodu moich rodziców. Byli starzy, zmęczeni, gotowi, by odejść. Przeżyli swe życie. Umarli, nie cierpiąc. Nic ich nie bolało. Jestem przekonany, że w chwili gdy ich serca przestały bić, byli szczęśliwi. Czy jest piękniejsza śmierć?

— Być może trzeba mieć pięćdziesiąt pięć lat, aby tak to widzieć.

— Może. Kiedy się jest młodym, jest trudniej. Długo trwało, zanim pogodziłem się ze śmiercią żony. Nie była stara, nie miała jeszcze trzydziestki. Dopiero co zbudowaliśmy wtedy ten dom i byliśmy w nim szczęśliwi.

— Na co umarła?

U Ba długo się namyślał.

— Nie pozwalamy sobie na to pytanie, bo rzadko dostajemy na nie odpowiedź. Widzi pani, w jakiej biedzie żyjemy. Śmierć jest dla nas elementem codzienności. Przypuszczam, że w moim kraju ludzie umierają młodziej niż w pani. W zeszłym tygodniu ośmioletni syn sąsiadki dostał z dnia na dzień wysokiej gorączki. W dwa dni później już nie żył. Brak nam leków, by leczyć choćby najprostsze choroby. Pytanie: dlaczego, pytanie o przyczynę śmierci jest w tych okolicznościach zbyt wielkim luksusem. Moja żona umarła w nocy. Obudziłem się rano i zastałem ją martwą obok siebie. To wszystko, co wiem.

— Przykro mi.

Długą chwilę milczeliśmy. Zastanawiałam się, czy oprócz ojca straciłam w życiu jeszcze kogoś, kogo dobrze znałam. Rodzice matki nadal żyli. W zeszłym roku utonął w Atlantyku brat mojej przyjaciółki. W weekend jeździliśmy z nim czasem do Sag Harbor czy Southampton. Lubiłam go, ale nie byliśmy ze sobą zbyt blisko. Nie byłam na jego pogrzebie. Termin kolidował ze służbowym spotkaniem, jakie miałam w Waszyngtonie. Matka mojej partnerki od tenisa niedawno umarła na raka. Kiedy byłam mała, dawała mi lekcje fortepianu. Długo chorowała, a ja odkładałam obiecaną wizytę w szpitalu, aż w końcu było za późno. Śmierć najwyraźniej nie była u nas elementem codzienności. Był świat chorych i umierających i świat zdrowych, a zdrowi i wracający do

zdrowia nie chcieli wiedzieć nic o świecie chorych i umierających. Tak jakby nie miały one ze sobą nic wspólnego. Tak jakby nie wystarczył jeden fałszywy krok po cienkim lodzie, jedna zapomniana świeczka, by wyrwać nas z jednego świata i przenieść do innego. Zdjęcie rentgenowskie, ukazujące białą kulę w piersi.

U Ba wstał i odniósł talerze do kuchni. Parę razy dmuchnął mocno w ogień, podłożył polano i nalał wody do czajnika.

— Nie, ja dziękuję za herbatę! — zawołałam przez ścianę. — Chciałabym pójść na cmentarz. Chcę zobaczyć miejsce, gdzie ich skremowano. Pójdzie pan ze mną?

— Oczywiście — odpowiedział z kuchni U Ba.

Zwolniliśmy kroku. Zabrakło mi tchu, choć nie było tu stromizny. Droga wznosiła się dość łagodnie. Mieliśmy przed sobą ostatni przystanek mojej podróży. Stałam przed domem, gdzie umarł mój ojciec. Jadłam posiłek w ogrodzie, gdzie spędził dzieciństwo i młodość. Teraz chciałam zobaczyć, gdzie zakończyła się jego droga.

— Nie ma żadnego grobu ani pomnika — uprzedził mnie U Ba. — Wiatr rozwiał ich popioły na wszystkie strony.

Bałam się widoku cmentarza. Tak jakbym miała w ten sposób przyznać, że moja droga także się kiedyś zakończy.

Byle jak utwardzona ulica stopniowo stawała się coraz bardziej zapiaszczona, aż w końcu zmieniała się w nierówny, gliniasty trakt. Wkrótce dostrzegłam pierwsze groby, ukryte wśród krzaków i suchej trawy. Brązoszare betonowe płyty, przeważnie ozdobne, pokryte birmańskimi napisami, choć były i całkiem proste, bez żadnych napisów, leżące w kurzu niczym rumowisko po dawno opuszczonym placu budowy. Gdzieniegdzie ze spękań wyrastała trawa; inne porastały chaszczce. Nigdzie nie było widać świeżych kwiatów. Żaden z grobów nie był pielęgnowany.

Weszliśmy na szczyt wzgórza i usiedliśmy. Opuszczone, osamotnione miejsce. Jedyne znakiem ludzkiej aktywności były wydeptane ścieżki, które ciągnęły się niczym mrówcze szlaki pośród gór. Było cicho. Nawet wiatr nie szeleścił.

Przypomniały mi się nasze spacerunki. Most Brookliński i prom do

Staten Island, nasz dom i zapach ciepłych cynamonowych bułeczek o poranku.

Nie mogłam znajdować się dalej od Manhattanu. A jednak mi go nie brakowało. Czułam w sobie niemal nadnaturalny spokój. Myślałam o tych wieczorach, kiedy ojciec opowiadał mi bajki. O przedstawieniach operowych w Central Parku. Składanych krzesłach i o wiele za ciężkim piknikowym koszu. Ojciec nie tolerował plastikowych nakryć ani papierowych kubków. Wkładał czarny garnitur, tak jakby szedł do Metropolitan. Ciepła letnia noc. Blask świec. Za każdym razem zasypiałam na jego kolanach. Myślałam o jego cichym głosie i jego śmiechu, jego spojrzeniu i jego mocnych rękach, którymi podrzucał mnie do góry i łapał.

Wiedziałam, dlaczego pozostał z nami i dlaczego wrócił po pięćdziesięciu latach do Mi Mi. To, co trzymało go w Nowym Jorku, to było coś więcej niż poczucie obowiązku. Byłam pewna, że kochał swoją rodzinę, matkę, brata, mnie, każde z nas w inny sposób. I kochał Mi Mi. Obu miłościom pozostał wierny, i byłam mu za to wdzięczna.

— Jest jeszcze jeden szczegół, który może panią interesować — powiedział U Ba.

Spojrzałam na niego pytająco.

— Stos Mi Mi stał tutaj — wskazał okrągły placyk odległy o parę kroków — a stos pani ojca tam, jakieś dwadzieścia metrów dalej, nieco w dół. Ogień podłożono równocześnie. Drewno było suche, gałęzie momentalnie się zajęły. Słupy dymu szły prosto w niebo.

Już mi to mówił. Nie wiedziałam, do czego zmierza.

— No i?

— Potem zrobiło się cicho — powiedział i się uśmiechnął.

— Cicho?

— Kompletnie. Pomimo tych wszystkich ludzi. Nikt nie mówił ani słowa. Nawet ogień przestał trzaskać, palił się bezgłośnie.

Oto znowu był ojciec. Siedział na krawędzi mego łóżka. Bładoróżowy pokój. Zwisające z sufitu pszczoły w żółte i czarne paski.

— I zwierzęta zaczęły śpiewać? — spytałam.

U Ba skinął głową.

— Wielu żałobników twierdziło później, że słyszeli, jak zwierzęta

śpiewają.

— I nagle, nie wiadomo dlaczego, dwa słupy dymu zaczęły się do siebie przybliżać?

— O tym mogę zaświadczyć osobiście.

— Choć nie było wiatru, zbliżały się do siebie coraz bardziej, aż...?

— Nie wszystko, co prawdziwe, da się wyjaśnić, Julio — przerwał mi. — I nie wszystko, co da się wyjaśnić, jest prawdą.

Spojrzałam na miejsca, gdzie stały stosy ze zwłokami, a potem w niebo. Było błękitne. Błękitne i bezchmurne.

Rozdział 12

Przebudziłam się w ciemności. Leżałam w moim hotelowym łóżku. Obudził mnie sen. Miałam dwanaście czy trzynaście lat, był środek nocy w naszym nowojorskim mieszkaniu. Ułyszałam jakieś odgłosy, dochodzące z sypialni ojca. Głosy matki i brata. Ojciec charczał. Głośne, przerażające, nieludzkie dźwięki, wypełniające cały dom. Wstałam. W białej nocnej koszuli szłam korytarzem, bosą po zimnych deskach. W pokoju ojca paliło się światło. Matka klęczała, szlochając, przy łóżku.

— Nie — jąkała. — Na miłość boską, nie. Nie, nie, nie...

Brat potrząsał ojcem.

— Obudź się, tato, obudź się! — Ukląkł nad nim i masował mu pierś, robił sztuczne oddychanie usta-usta.

Ojciec wymachiwał ramionami. Oczy wychodziły mu z czaszki, włosy miał złane potem. Zaciskał pięści. Walczył. Nie chciał iść.

Jęknął głośno jeszcze raz. Ramiona poruszały się wolniej, zadrgały i opadły. W chwilę później zwisły bezwładnie z łóżka.

Sen mnie przebudził i zrozumiałam, jak miłosierna jest rzeczywistość.

Zamknęłam oczy i spróbowałam sobie wyobrazić ostatnie godziny ojca z Mi Mi. Nie mogłam. Musiałam przyznać, że jest to ta jego część, której nie znam. A jednak im dłużej o tym myślałam, tym lepiej rozumiałam, że nie mam powodu do smutku. Czułam wobec ojca bliskość, której nie umiałam ani wyjaśnić, ani opisać. Była to bliskość dziecka, naturalna i bezwarunkowa. Jego śmierć nie była tragedią, ani dla mnie, ani dla niego. Nie bronił się przed nią. Akceptował swoje odejście. Umarł, kiedy chciał, gdzie chciał. Przy kim chciał. Nieważne, że to nie ja przy nim siedziałam. Jego miłość do mnie nie miała z tym nic wspólnego. Po paru minutach znowu zapadłam w sen.

Kiedy się znowu obudziłam, było już przed południem. W pokoju było gorąco i zimny prysznic dobrze mi zrobił.

Kelner drzemał w kącie jadalnej sali. Był tu pewnie od siódmej. Jajecznicza albo sadzone. Kawa lub herbata.

Usłyszałam szuranie stóp po podłodze: nadchodziła kobieta z recepcji. Podeszła do mnie i z regularnym dygnięciem położyła na stoliku beżową kopertę. U Ba przyniósł ją wczesnym rankiem. Za gruba była jak na list... Otworzyłam. W środku było pięć starych, ręcznie barwionych zdjęć, przypominających mi pocztówki z lat dwudziestych. Na odwrocie napisano ołówkiem daty. Pierwsza była z roku 1949. Młoda kobieta siedziała w pozycji lotosu pod jakąś lekką ścianką. Miała na sobie czerwony kaftan i czerwone *longyi*, czarne, wysoko upięte włosy zdobił żółty kwiat. Na twarzy ślad uśmiechu. Musiała to być Mi Mi. U Ba nie przesadzał. Miała w sobie jakąś grację, jakieś piękno, które robiły na mnie głębokie wrażenie, a w rysach spokój, który mnie dziwnie poruszał. Spojrzenie było tak intensywne, jakby patrzyła na mnie i tylko na mnie. Obok niej siedział ośmio-, może dziewięcioletni chłopiec w białej koszuli. Syn któregoś z braci? Wpatrywał się w obiektyw szczerym, otwartym spojrzeniem.

Kolejne zdjęcia, robione co dziesięć lat, ukazywały Mi Mi w tej samej pozie. Na drugim praktycznie się nie postarzała. Za nią stał młody mężczyzna z rękami na jej ramionach. Oboje uśmiechali się tym samym otwartym, przyjaznym uśmiechem, jednak z wyczuwalną nutką melancholii.

Na kolejnym zdjęciu było już po niej leciutko widać upływ czasu, choć nie straciła nic ze swej promienności. Przeciwnie, starsza Mi Mi była w moich oczach jeszcze piękniejsza. U siebie, w Nowym Jorku, nie znałam ani jednej kobiety, która nie starałaby się powstrzymać albo przynajmniej zamaskować oznak starzenia się za pomocą kosmetyków czy chirurgii. Mi Mi wyglądała jak ktoś, kto starzeje się z godnością.

Na fotce znowu był jakiś mężczyzna.

Ostatnie zdjęcie zrobiono w roku 1989, na dwa lata przed powrotem mego ojca. Mi Mi schudła, wyglądała na znużoną i chorą. Obok niej siedział U Ba. Rozpoznałam go dopiero przy powtórnym spojrzeniu. Wyglądał młodziej niż w tej chwili. Rozłożyłam przed sobą zdjęcia i przyjrzałam się im uważnie jeszcze raz.

Serce pierwsze rozpoznało podobieństwo. Nagle zabiło tak

gwałtownie, że to aż bolało. Parę sekund trwało, zanim mózg sformułował niedorzeczną myśl i ubrał ją w słowa. Oczy biegały od jednego zdjęcia do drugiego. Mężczyzna na fotce z roku sześćdziesiątego dziewiątego był podobny do U Ba. Ten na wcześniejszych o dziesięć lat chyba też, a jego podobieństwo do siedzącego obok Mi Mi dziecka było niezaprzeczalne. Policzyłam. Przywołałam w wyobraźni twarz U Ba. Jego mocny nos. Jego śmiech. Jego łagodny głos. To, jak się drapie w głowę. Wiedziałam, kogo mi przypomina... Czemu mi nic nie powiedział? Bał się, że mu nie uwierzę? A może się oszukuję? Może tylko sobie wyobraziłam, że jest podobny do mojego ojca?

Musiałam natychmiast zobaczyć się z U Ba. Nie było go w domu. Sąsiadka powiedziała, że poszedł do wsi. Było już dobrze po południu. Szłam główną ulicą i wypytywałam o niego ludzi. Nikt go nie widział.

W herbaciarni już był. Zwykle zachodzi tu dwa razy dziennie, wyjaśnił, rozpoznając mnie, kelner. Dziś jednak na pewno już nie przyjdzie. Dziś jest piątnasty. Tin Win i Mi Mi umarli piątnastego, wie pani, i od czterech lat piątnastego każdego miesiąca ludzie z Kalaw urządzają wieczorem wspominki dwojga kochanków. U Ba musi być już teraz w drodze do domu Mi Mi. Wystarczy, że przejdę przez tory, a potem pójdę za ludźmi.

Trudno było cokolwiek przegapić. Już ze stacji zobaczyłam ciągnącą z boczem procesję. Kobiety niosły na głowach miski i kosze pełne bananów, mango i papai, mężczyźni świece, kadzidło i kwiaty. W zniżającym się ku zachodowi słońcu lśniła czerwień, błękit i zieleń ich *longyi* i świeża biel koszul i kaftanów. W połowie drogi uchwyciłam głosy dzieci. Śpiewały tę samą melodię, która parę dni temu dobiegała z górskiego klasztoru. Towarzyszyły im podzwaniające na wietrze dzwoneczki.

Nie poznałam domu Mi Mi. Był udekorowany barwnymi proporczykami, spod okapu dachu zwisał sznur maleńkich dzwoneczków. Podwórze i ganek wypełniał tłum ludzi, którzy z uśmiechem mnie pozdrawiali. Ostrożnie przebijałam się przez ciżbę. Obok ganku siedziały śpiewające dzieci; wielu dorosłych nuciło wraz z nimi. Coraz to wchodziło po schodkach i znikano we wnętrzu, gdy inni

tymczasem wychodzili na podwórko. Gdzie jest U Ba?

Przecisnęłam się do przodu i włączyłam w nurt prowadzący schodami na ganek.

Wnętrze domu składało się z jednego dużego pokoju. Z mebli stało tu jedynie łóżko. Okiennice były zamknięte. Dziesiątki świec, rozstawionych na podłodze, oblewało pokój ciepłą żółtoczerwonawą poświatą. Na półce pod sufitem stał wielki posąg Buddy. Kwiaty, półmiski z owocami, herbaciane listki, cygara, ryż, wszystko to zgromadzone było na łóżku, w całości pokrytym złotymi listkami. Nogi, rama, wezłowie, nawet listwy podtrzymujące niegdyś materac skrzyły się złotem w migotliwym blasku świec. Na podłodze stały wazony pełne kadzidełek i kolejne misy i półmiski z ofiarnymi darami. Pachniało kadzidłem i cygarami. Kobiety wymieniały stare owoce na świeże, usuwały zwiędłe kwiaty i stawiały w ich miejsce nowe bukiety.

Ludzie składali ukłon przed Buddą, podchodzili do łóżka, zamykali oczy, wznosili ramiona, po czym przeciągali palcami po drewnie. Tak jakby mogli w ten sposób przebudzić wirusa. Wirusa, co drzemie w każdym z nas.

Śmierć, powiedział U Ba, nie jest końcem życia, lecz jego częścią. Nikomu z zebranych nie potrzebowałby tego tłumaczyć.

Stałam bez ruchu w jednym z kątów izby. Na zewnątrz zapadła już ciemność. Przez szczelinę w ścianie widziałam podwórko, rozjarzone blaskiem świec.

Nagle obok mnie pojawił się U Ba. Uśmiechnął się, tak jakby nic się nie stało. Chciałam coś powiedzieć, ale położył palec na ustach na znak, bym milczała.

Patrzyłam na migotliwe ogniki świec, na łóżko, na kwiaty, na ludzi. Dotarłam do kresu podróży. Znalazłam, czego szukałam. Chciałam uchwycić to i zatrzymać, ale wiedziałam także, że to dar, którego nie mogę zapakować i zabrać ze sobą. Dar przeznaczony nie tylko dla mnie. Dar należący do wszystkich i do nikogo. Dar, który będzie mi dawał siłę do końca moich dni.

Spadek, jaki odziedziczyłam po ojcu i Mi Mi.

Dar miłości.

Podziękowania

Chciałbym podziękować moim przyjaciołom w Birmie, przede wszystkim Winstonowi i Tomy'emu, za ich wspaniałomyślną i niezmordowaną pomoc w poszukiwaniach, jakie prowadziłem w Kalaw i Rangunie.

Szczególnie wdzięczny jestem mojej żonie Annie. Bez jej rad, cierpliwości i miłości ta książka nigdy by nie powstała.